

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

ŁOWCY ZŁOTA

Curwood James Oliver

I. POGOŃ

Ponad olbrzymią pustką kanadyjskiej kniei królowała cisza południa. Łosie i karibu, które pasły się od wczesnego ranka, wypoczywały teraz w ciepłych promieniach letniego słońca. Ryś, zwinięty w kłębek w głębi skalnej rozpadliny, służącej mu za legowisko, czekał nadejścia wieczornego zmierzchu, by ruszyć na zbójceją wyprawę. Lis odbywał południową drzemkę.

O tej porze właśnie każdy doświadczony myśliwiec, znajdujący się na szlaku, zrzuca plecak, po cichu zbiera susz na ogień, je obiad i milcząc pali fajkę, wyęzając przy tym wzrok i słuch. Jeśli zaś przemówisz doń zwykłym głosem, a nie szeptem, odpowie ci wnet:

— Tss... cicho! Skąd wiesz, jak daleko od nas znajduje się zwierzyna? Wszystko najadło się rankiem, a teraz spoczywa. Żaden zwierz nie ruszy z miejsca prędzej niż za godzinę lub dwie. Może łoś lub karibu drzemie na odległość strzału...? Teraz nic nie usłyszysz.

Jednak właśnie o tej godzinie w martwej głuszy zbudził się ślad życia. Na razie była to jedynie ciemna plama na słonecznym stoku wzgórza. Potem plama ruszyła z miejsca, przeciągnęła się niby pies, wysuwając daleko przednie łapy i zniżając barki. Był to wilk.

Wilk jest po uccie upartym spiochem. Każdy myśliwy odgadłby z łatwością, że właśnie ten zwierz nażarł się do syta ubiegłej nocy. Zatem coś musiało go spłoszyć. Istotnie, do nozdrzy wilka dobiegła woń człowieka, najbardziej podniecająca ze wszystkich woni, jakie tylko może wyczuć czworonożny mieszkaniec kniei. Ponieważ jednak zwierz nie czuł głodu, więc zstąpił w dół wolno, obojętnie i mniej zręcznie, niż gdyby był na czczo. Przemierzył truchcikiem topniejący śnieg kotliny i stanął w miejscu, gdzie zapach ludzki był niezwykle silny. Tam uniósł łeb ku niebu i rzucił na lasy i doliny ostrzegawczy sygnał, przeznaczony dla dzikich współbraci, a mający ich uprzedzić o bliskości człowieczego! śladu. W pełnym blasku dnia wilk nie czyni zazwyczaj nic ponadto. Nocą często pójdzie tropem, a inne wilki wkrótce przyłączą się do pościgu. Lecz dniem rzuci swój zew i po chwili chyłkiem umknie na bok.

Tego wilka jednak coś trzymało na uwięzi. W powietrzu wyczuwał coś tajemniczego, będącego dlań zagadką. Wprost przed nim leżał szeroki sanny szlak, usiany odciskami psich łap. Może przed godziną przebiegła tędy poczta z Wabinosh House. Niedawna obecność ludzi i psów nie była jednak przyczyną, dla której wilk stał wciąż jeszcze, podniecony, czujny, gotów do ucieczki, a jednak pełen wahania. Coś nadciągało znowu, idąc z północy, wraz z wiatrem. Najpierw był to jedynie dźwięk, potem doszła woń. Wilk skręcił i cwałem umknął na słoneczne zbocze.

Tam, skąd nadbiegał głos a zapach, leżało niewielkie jezioro. Na jego najdalszym krańcu spośród gęstych zarośli wynurzył się nagle kłęb złożony z człowieka, sanek i psów. Przez chwilę zdawało się, że psy są uwikłane w uprzęży lub też toczą zacieklą walkę, co u półdzikiej hordy pociągowych zwierząt trafia się często, nawet w podróży. Raptem huknął ostry krzyk komendy, trzask bata, psi skowyt — i niesforny zaprząg rozciągnął się i wyrównał, mknąc po lodowej tafli jak błyskawica. Człowiek gnał tuż za saniami. Był wysoki, chudy i na pierwszy rzut oka łatwo w nim było poznać Indianina. Zaledwie sfora i jej dziki poganiacz przebiegli ćwierć szerokości jeziora, gdy zabrzmiał poza nimi nowy krzyk i drugie sanie wypadły z leśnej gęstwy. Za tymi saniami również mknął człowiek, gnając ile sił w nogach.

Teraz Indianin wskoczył na sanie, głosem zachęcając zaprząg do szybszego pędu, a batem wywijając raz po raz nad grzbietami psów. Drugi mężczyzna biegł nadal, toteż posuwał się naprzód o wiele szybciej. Gdy więc dotarli do przeciwległego brzegu jeziora, obie sfory gnały niemal na równej linii.

Tu pęd psich przewodyrów znacznie osłabł i w chwilę później sanie stanęły. Psy w uprząży zwały się na ziemię, dysząc ciężko i rozdziawiając paszcze, a śnieg czerwieniał wkoło ich łap. Ludzie również wydawali się bardzo znużeni. Indianin, prawdziwy syn Północy, był znacznie starszy od swego towarzysza. Ten, młody chłopak poniżej lat dwudziestu, szczupły, lecz silny i zręczny jak dzikie zwierzę, miał piękną twarz, ogorzałą od wiatru i słońca, a w żyłach również sporo krwi indiańskiej.

Dwaj wędrowcy byli to nasi dobrzy znajomi: Mukoki i Wabigoon; Mukoki, wierny stary wojownik i myśliwiec, oraz Wabi, dzielny półkrwi Indianin, syn agenta z Wabinosh House. Obaj byli niezwykle podnieceni. Przez chwilę, łowiąc ustami powietrze, w milczeniu przyglądali się sobie wzajem.

— Boję się, Muki — wykrztusił Wabigoon — że ich nie dościgniemy. Jak myślisz?

Urwał, gdyż Mukoki kucnął w śniegu o parę kroków od sanek. Widniał tam wyraźnie trop „psiej poczty” z Wabinosh House. Indianin długą chwilę obserwował smugi płóz i odciski psich łap. Potem podniósł głowę i z właściwym sobie chichotem rzekł:

— Złapiemy ich na pewno. Spójrz, sanie idą głęboko. Obaj jadą. To duży ciężar dla psów. Złapiemy ich!

— Ale nasze psy — upierał się Wabi, wciąż jeszcze pełen powątpiewania — nasze psy są zupełnie zgonione, a mój przewodyr okulał. Patrz, jak krwawią...

Istotnie, huski (tak nazywają się ogromne pociągowe wilczary na dalekiej Północy) były w stanie godnym pożałowania. Słońce nadważyło twardą skorupę śniegu tak, że za każdym skokiem łapy psów zapadały w głąb, raniąc się boleśnie na zębatych, ostrych krawędziach. Twarz Mukiego spoważniała, gdy uważnie badał zaprząg.

— Źle, bardzo źle... — mruczał — jacy my głupi!

— Że nie wzięliśmy dla nich mokasynów? — spytał Wabi. — Mam chyba tuzin na moich saniach, dla trzech psów wystarczy. Na Boga!

Urwał, skoczył do swych sań, chwycił psie mokasyny i podniecony wrócił do Mukiego.

— Jest tylko jeden sposób! — krzyczał prawie. — Wybierzemy najsilniejsze psy i jeden z nas pojedzie sam.

Na ostry krzyk komendy i groźny gwizd bata obie sfory porwały się na nogi. Wędrowcy śpiesznie wybrali trzy najtęższe zwierzęta i nałożyli im na łapy mokasyny z jeleniej skóry. Dodali jeszcze sześć psów spośród tych, które zdawały się posiadać jaki taki zasób sił, i skompletowany w ten sposób zaprząg uwiązali do sań Wabigoona. W chwilę później długi rząd wilczarów gnał szybko śladem poczty z Wabinosh House, a tuż za saniami pędził Wabi.

Wyczerpujący pościg trwał już od wczesnego świtu. Odpoczywano z rzadka, i to zaledwie po parę minut. Ludzie i psy mknęli przez jeziora i wzgórza, przez nagie pustkowia i gęstą knieję, obywając się bez posiłku, zaledwie czasem chwytając w przelocie łyk śniegu i ani na chwilę nie tracąc z oczu świeżego śladu płóz. Nawet dzikie huski zdawały się pojmować, że pogoń ta jest sprawą życia i śmierci i że należy rwać szlakiem uparcie a wytrwale, aż ludzie osiągną zamierzony cel. Woń człowieka biła coraz ostrzej w nozdrza wilczarów. Gdzieś na przedzie mknęli ludzie i psy; należało ich dogonić.

Cały zaprząg, choć okulały i broczący krwią, był pełen wojowniczego zapału. Ogromne zwierzęta, półpsy, półwilki, w miarę jak ludzka woń silniej łechtala im nozdrza, coraz groźniej szczękały białymi kłami. Udzielił się im gorączkowy upór młodego Indianina. Nieomylny instynkt dzikich stworzeń wytknął im drogę, więc wszelkie kierowanie stało się zbędne. Wierne do ostatka, wlokły swój ciężar, chociaż języki zwisały im z otwartych paszczy, serca słabły, a oczy napływały

krwią.' Niekiedy Wabi, zupełnie straciwszy oddech, siadał na sanie i chwilę wypoczywał, rozluźniając napięte mięśnie. Psy wyęczały wtedy resztki sił, by podolać zwiększonemu ciężarowi, i tylko nieznacznie zwalniały pęd. Raz olbrzymi łoś porwał się o sto metrów od szlaku i z trzaskiem runął w las, lecz huski nie zwróciły na niego żadnej uwagi. Nieco później ryś, któremu przerwano drzemkę na słonecznym stoku, jak kula przeleciał przez drogę; psy zboczyły nieco na widok śmiertelnego wroga, lecz gnały dalej.

Jednak pęd ich zaczął słabnąć. Wilczar najbliższy sań włókł się już z trudem, więc Wabi nożem przeciął rzemień łączący go z zaprzęgiem i pies pozostał z boku drogi. Dwa inne huski dobywały resztek sił, a trzeci coraz bardziej kulał. Szlak czerwieniał plamami krwi. Na twarzy młodego Indianina pogłębiał się wyraz rozpacz. Oczy miał równie szkarłatne od wysiłku jak każdy z jego psów, wargi rozchylone, a nogi, zazwyczaj nie mniej sprężyste od nóg czerwonego jelenia, odmawiały mu posłuszeństwa. Z trudem 'chwytając oddech, coraz częściej wskakiwał na sanie i coraz krócej mógł biec pomiędzy jednym wypoczynkiem a drugim. Czuł, że nadchodzi kres pogoni. Wiedział, że nie doścignie jadących przodem.

Z dzikim okrzykiem zachęty Wabi zeskoczył z sań, minął je w biegu, zmuszając psy do ostatniego wysiłku. Tutaj właśnie szlak wynurzał się spośród drzew i całymi milami przecinał białą, otwartą przestrzeń jeziora Nipigon. Bardzo daleko, wśród lśnienia śniegu i słońca, poruszał się jakiś przedmiot; półosłepłe oczy Wabigoona rozróżniały tylko nikłą, czarną smugę, ale chłopak wiedział, że to są właśnie sanie wiozące pocztę z Wabinosh House. Próbował krzyczeć, lecz głos jego niósł najwyżej o sto kroków. Zachwiał się, poczuł raptem w nogach olbrzymi ciężar i padł na śnieg. Wierna sfora otoczyła go natychmiast, liżąc ręce pana, a z jej zziębniętych pysków biły kłęby oddechu niby tumany pary. Przez chwilę Wabi miał wrażenie, że noc zajęła raptem miejsce dnia: Przymknął oczy, charczenie psów dobiegało go coraz słabiej, jakby cały za prząg znacznie się oddalił. Chłopak leciał gdzieś w dół, wciąż niżej i w coraz gęstszej ciemności.

Walczył rozpaczliwie z tą niemocą, chcąc za wszelką cenę odzyskać choć trochę sił. Miał jeszcze tylko jedną szansę, ostatnią. Znów usłyszał bliski oddech psów, wyczuł na twarzy i rękach dotyk ich języków. Powłókł się naprzód na kolanach i dłoniach, macając przed sobą drogę jak ślepiec. Jego własne sanki były tuż, a w dali, poza obrębem wzroku, mknęła poczta z Wabinosh House.

Z trudem wywikłał się z gmatwaniny zaprzęgu. Dotarł do sanek i zacisnął palce na chłodnej lufie fuzji. Ostatnia szansa. Ostatnia! Uniósł karabin do ramienia, mierząc w niebo, tak by nie postrzelić psów. Wypalił raz, drugi, trzeci. Po piątym strzale wyjął z ładownicy nowe naboje i palił wciąż, aż daleka czarna smuga na jeziorze przystanąła i po chwili zawróciła wstecz. Karabin jednak huczał bez przerwy; wreszcie lufa stała się gorąca, a pas z ładunkami opustoszał.

Wabieniu z wolna rozjaśniało się w oczach. Usłyszał wołanie. Wtedy wstał chwiejnie, wyciągnął ręce i wybełkotał jakieś imię, a zaprząg wiozący pocztę z Wabinosh House zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków od własnej sfory.

Z sań zeskoczył biały chłopak w wieku Wabigoona. Wydając okrzyk ni to zdumienia, ni to radości, podbiegł do młodego Indianina i objął go ramieniem, gdy ten, znów słabnąc, padał w śnieg.

— Wabi, co się stało? — wołał. — Czyś ranny, czy...? Indianin zebrał wszystkie siły, chcąc przezwyciężyć niemoc.

— Rod... — wyszeptał. — Rod... Minnetaki...

Przestał poruszać wargami i zwiśł ciężko w ramionach przyjaciela.

— Co się stało, Wabi? Mów? Mów prędko! — błagał tamten. Twarz mu zbieleła i głos drżał. — Co się stało z Minnetaki?

Młody Indianin zrobił jeszcze jeden wysiłek. Wykrztusił:

— Woongowie uprowadzili Minnetaki...
Tu zabrakło mu tchu i zeszywniał jak trup.

II. MINNETAKI W MOCY ZBÓJCÓW

Na razie Rod był pewien, że Indianin już nie żyje. Wabi leżał bez ruchu i tak blady, że biały chłopak zaczął doń mówić ze łzami w głosie. Pocztarz ukląkł obok dwu przyjaciół. Wsunął dłoń pod kurtkę Wabigoona, wyczekał chwilę i oznajmił:

— Żyje!

Szybko wyjął z kieszeni małą metalową flaszkę, odkorkował ją, przyłożył do warg Indianina i wlał w usta parę kropel płynu. Lekarstwo odniosło niemal natychmiastowy skutek. Wabi otworzył oczy, spojrzał na surową twarz pocztarza i znów zamknął powieki. Pocztarz z wyrazem ulgi wskazał dłonią psy z Wabinosh House. Wyczerpane zwierzęta wyciągnęły się na śniegu, złożony między przednie łapy. Nawet obecność drugiej sfory nie zdołała ich wyrwać z odrętwienia. Można by sądzić, że wszystkie pozdychały, gdyby nie to, że boki wydymały się im kurczowo.

— On nie jest chory ani ranny! — zawołał pocztarz. — Proszę spojrzeć na psy. On tylko biegł wraz z nimi, biegł póty, aż upadł.

To zapewnienie tylko częściowo uspokoiło Roda. Czuł, że Wabi z wolna powraca do życia, lecz widok zziębniętej i krwawiącej sfory oraz ostatnie słowa młodego Indianina napępiały go lękiem. Co się stało z Minnetaki? Dlaczego Wabi gnał za nim tak, daleko? Po co ścigał go do ostatniego tchu? Czy Minnetaki umarła? Czy Woongowie zamordowali śliczną siostrę Wabigoona?

Uparcie błagał przyjaciela o wyjaśnienia, aż wreszcie pocztarz odsunął go i zaniósł Wabiego do swoich sań.

— Proszę ułamać trochę gałęzi z tamtych sosen — komenderował. — Trzeba go napoić czymś ciepłym, natrzeć mocno i owinać w futra. Źle z nim, doprawdy źle...

Rod nie czekał dłużej, lecz pobiegł czym prędzej do wskazanej kępy drzew. Pomiędzy sosnami znalazł sporo brzoź, odarł szybko naręcze kory i nim pocztarz przywiódł sanie i zdjął z nich nieprzytomnego Wabigoona, ogień płonął już raźnie. Podczas gdy pocztarz rozbierał młodego Indianina i otulał go potem w miękkie niedźwiedzie futra, Rod rzucał w ogień naręcza suszu, aż ciepło płomieni rozeszło się na kilkanaście kroków w krąg. Po upływie paru minut nad ogniskiem (topniał garnek lodu, a pocztarz otwierał puszkę kondensowanej zupy.

Z twarzy Wabigoona znikła śmiertelna bladość. Rod, który klęczał tuż obok, cieszył się widząc, jak spomiędzy rozchylonych warg przyjaciela wydobywa się coraz regularniejszy oddech. Prócz radości jednak czuł ogromną trwogę. Co się stało z Minnetaki? Patrząc, jak Wabigoon z wolna przytomnieje, raz, po raz zadawał sobie to pytanie. Później cofnął się myślą wstecz i niemal w jednej chwili objął pamięcią wszystkie zdarzenia ubiegłego roku. Był oto znowu w Detroit wraz z matką. Po raz pierwszy spotkał Wabiego — syna agenta Anglika oraz pięknej księżniczki indiańskiej. Młody półkrwi Indianin miał uzupełnić swe wykształcenie wśród cywilizacji. Wspomnił przyjaźń, jaka się między nimi zawiązała, myślał o tygodniach i miesiącach wspólnych nauk oraz o długich pogawędkach na temat niezwykłych przygód, które czekają ich obu w ojczyźnie Wabigoona na dalekiej Północy.

Istotnie, przeżyli niemało przygód, gdy jako łowcy wilków wraz z Mukokim stawili czoło niebezpieczeństwu zamarzłych pustkowi. Wsłuchując się w oddech Wabiego, Rod myślał o niezwykłej jeździe czółnem od krańca kultury do serca głuszy przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy ujrzał łosia, jak zabił niedźwiedzia i jak spotkał śliczną Minnetaki.

Pociemniało mu w oczach i serce zabiło mu gwałtownie, gdy wyobraził sobie, co mogło się z nią stać. Widział ją teraz niby na jawie, taką jak przy pierwszym spotkaniu, gdy wypłynęła im naprzeciw.

Słońce lśniło w jej ciemnych włosach, policzki płonęły podnieceniem, oczy i zęby błyskały w powitalnym uśmiechu. Przypomniawszy sobie chwilę, gdy kapelusz wpadł mu do wody, a ona wyłowiła go wiosłem. Potem przypomniał sobie dni, kiedy wraz z Minnetaki zwiedzał las otaczający faktorię, przeżywał powtórnie porwanie dziewczyny, straszną walkę z Woongami i jej pomyślny wynik. Myślał później o niezwykłych przygodach, których doznał w towarzystwie Mukiego i Wabigoona: o miesiącach spędzonych w głuszy, o łowach, o zacieklej bitwie z Woongami, o starej chacie pełnej szkieletów i o znalezionym w dłoni kościotrupa skrawku kory brzoźowej, na którym widniał plan drogi wiodącej ku krainie złota.

Instynktownie zanurzył teraz dłoń w kieszeni, by się upewnić, że nie stracił dokładnej kopii tego planu, przerysowanej w swoim czasie z oryginału. Miał przecie wkrótce wrócić na daleką Północ, by wraz z dwoma Indianami ruszyć na romantyczną wyprawę po złote runo.

Ale oto zapomniał już o skarbie, gdyż ciałem Wabigoona wstrząsnął nagły dreszcz. Jeszcze chwila i młody Indianin otworzył oczy, spojrzał w twarz Roda i uśmiechnął się lekko. Spróbował mówić, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa i ponownie zamknął powieki. Rod z rozpaczą spojrzał na pocztarza. Niespełna dwadzieścia cztery godziny temu pożegnał się z Wabim w Wabinosh House; młody Indianin był wtedy w pełni sił, zahartowany długim pobytom wśród śnieżnych pustkowi, kipiący życiem i niecierpliwie wyczekujący wiosny, by ruszyć raz jeszcze na daleką, niezbadaną Północ.

I nagle co za zmiana. Nabiegłe krwią oczy przyjaciela, wychudzenie jego rysów, martwota rąk — wszystko to wywołało u Rodryga dreszcz trwogi. Czy możliwe, żeby człowiek tak się przeobraził w ciągu paru krótkich godzin? I gdzie jest Mukoki, wierny stary druh, spod opieki którego Wabi tylko z rzadka się wymykał?

Zdawało się, że minęła dobra godzina, nim Wabi znów otworzył oczy, i to tylko na chwilę. Tym razem Rod łagodnie uniósł go w ramionach, a pocztarz przyłożył do warg chorego kubek gorącej zupy. Ciepły pokarm wlał nowe siły w ciało wyczerpanego chłopca. Na razie pił bardzo wolno, potem raźniej, a gdy skończył, spróbował już usiąść.

— Wypiłbym jeszcze — rzekł słabo. — To bardzo dobre...

Drugi kubek przełknął o wiele prędej. Potem siadł, przeciągnął ramiona i przy wydatnej pomocy Roda zdołał wstać. Gdy spojrzał na przyjaciela, w jego nabiegłych krwią oczach lśnił dziwny blask.

— Bałem się, że cię nie złapię.

— Co się stało, Wabi? Mówiłeś o Minnetaki...

— Została porwana przez Woongów! Sam Woonga wziął ją do niewoli i uwozi teraz na północ. Rod, tylko ty możesz ją ocalić...!

— Tylko ja mogę ją ocalić? — wyrzekł Rod zdumiony. — Jak to, Wabi?

— Słuchaj! — krzyknął młody Indianin ściskając go za ramię. — Pamiętasz, jak po bitwie z Woongami i ucieczce z parowu umykaliśmy na południe i jak następnego dnia znalazłeś świeży trop? Szedłeś wtedy na polowanie, by zdobyć tłuszcz dla opatrzenia rany Mukiego. Mówiłeś nam, że posuwałeś się za śladem i że po pewnym czasie wędrowcy spotkali się z kilkoma ludźmi w raketach śnieżnych. Mówiłeś, że widziałeś na śniegu wgłębienia podobne do odcisków stóp Minnetaki. Gdy dotarliśmy do faktorii, powiedziano nam, że Minnetaki udała się do Kenogami House, i wywnioskowaliśmy, że to właśnie ludzie z Kenogami wyszli jej na spotkanie. Stało się jednak inaczej. To były ślady Woongów.

...Jeden z poganiaczy zdołał uniknąć i choć ciężko ranny, wczoraj wieczorem przyniósł wieść o napadzie. Niestety, lekarz mówi, że biedak nie przeżyje ani dnia. Jedyne nadzieje w tobie! Tylko ty i konający poganiacz wiecie, gdzie nastąpił napad. W ciągu dwóch dni panowała odwilż i szlak może być zatarty... Ale ty widziałeś odbicie nóg Minnetaki. Widziałeś ślady raket! Tylko ty jeden wiesz,

w jakim kierunku oni poszli...

Wabi mówił prędko, gorączkowo, a gdy skończył, opadł na sanie zupełnie wyczerpany.

— Gnamy za tobą od świtu, w dwa zaprzęgi — dodał jeszcze. — I niemal zamordowaliśmy psy. Wreszcie, nie widząc innego sposobu, wybraliśmy co cięższe zwierzęta i popędziłem już dalej sam. Mukoki został o dwanaście mil w tyle.

W Rodrygu krew zastygła na wiadomość; że Minnetaki znajduje się we władzy samego Woongi. Gwałtowna zmiana w twarzy Wabigoona nie dziwiła go już wcale. Słyszał niejednokrotnie, to od Minnetaki, to znów od jej brata, o wielkiej nienawiści, którą krwiożerczy Woonga żywił względem wszystkich mieszkańców Wabinosh House. Zresztą w ciągu ostatniej zimy przekonał się o niej osobiście. Brał udział w walce, widział trupy i rannych i omal nie padł ofiarą zemsty Woongi.

Teraz jednak myślał o czym innym. Wspominał powód zatargu i coś zdławiło mu gardło tak silnie, że nawet nie próbował mówić. Przed wielu laty młody Anglik Jerzy Newsome przybył do Wabinosh House, gdzie poznał i pokochał piękną indiańską księżniczkę, która pokochawszy go również, została wkrótce jego żoną. Woonga, wódz wojowniczego plemienia, ubiegał się także o rękę ślicznej Indianki, a gdy został pokonany przez białego przybysza, jego dzikie serce zapłonęło zemstą i nienawiścią. Odtąd zaczęło się istne polowanie na mieszkańców Wabinosh House. Ludzie Woongi z myśliwych i traperów stali się mordercami, a w całej okolicy znano ich pod mianem Woongów. Walka trwała latami. Wódz Woonga niby jastrząb krążył wokół faktorii, popełniając mord, to znów kradzież i wciąż szukając sposobności, by porwać żonę lub dzieci agenta. Nie tak dawno Rod zdołał ocalić Minnetaki. Teraz jednak dostała się nieodwołalnie w ręce złoczyńców, którzy wlekli ją na daleką Północ, w niezbadaną krainę, skąd nigdy zapewne nie miała wrócić.

Rod zwrócił się do Wabigoona, zaciskając pięści, z lśnącymi oczyma.

— Znajdę ślad, Wabi! Znajdę na pewno! I pójdziemy aż na biegun, jeśli tak będzie trzeba. Zwyciężyliśmy Woongów w parowie, zwyciężymy ich i teraz. Odbierzemy Minnetaki, choćbyśmy jej mieli szukać aż do dnia sądu ostatecznego!

Z dała dobiegł ku nim trzask bata, niby rewolwerowy strzał, i krzyk ludzki.

Wszyscy trzej nasłuchiwali uważnie jakiś czas. Krzyk się powtórzył.

— To Mukoki — rzekł Wabi. — Mukoki i drugi zaprząg.

III. NA TROPIE WOONGÓW

Głos zbliżał się, przerywany trzaskiem bata, którym Muki naglił do biegu wyczerpaną sforę. Jeszcze chwila i stary myśliwiec wraz z zaprzęgiem pojawił się na otwartej przestrzeni, a obaj chłopcy skoczyli mu na spotkanie. Rod zauważył, że mało brakło, a Muki padłby na szlaku tak jak Wabi. Obaj młodzi zaprowadzili wiernego Indianina do sań zarzuconych stosem futer i usadowili go wygodnie w oczekiwaniu na posiłek.

— Złapałeś go! — chichotał Mukoki radośnie.. — Złapałeś szybko...

— I przy tej okazji omal nie skończył z wyczerpania — dodał Rod. — A teraz — tu spojrzął kolejno na obu towarzyszy — mówcie, co mamy robić?

— Należy niezwłocznie odnaleźć trop Woongów — rzekł Wabi. — Każda minuta jest droga, a godzina spóźnienia może mieć fatalny skutek.

— Ale psy?

— Weźcie moje — przerwał pocztarz. — Jest ich sześć, wszystko mocne zwierzęta i nie przemęczone. Możecie do nich dodać parę własnych psów, a ja zabiorę pozostałe, aby odwieźć pocztę. Radziłbym wam jednak wypocząć godzinę lub dwie, posilić się i nakarmić sforę. Potem pojedziecie szybciej.

Mukoki kiwnął głową na znak zgody, a Rod zaczął wnet gromadzić paliwo na ogień. Obóz zawrzało życiem. Pocztarz rozpakowywał zapasy, a Wabi i Mukoki wybrali trzy spośród swoich najlepszych psów. Wilczary z Wabinosh House były bardzo zgłodniałe, toteż na widok wielkiego kawała mięsa, który pocztarz właśnie ciął na części, podniosły taki gwałt, że zagłuszyły prawie ludzkie głosy. Każdy pies dostał funt mięsa, a resztę zawieszono ponad rozpalonymi węglami, które w tym celu odgarnięto na bok z zarzewia ogniska. Tymczasem Rod rąbał gruby lód jeziora w poszukiwaniu wody. Po pewnym czasie Wabi odnalazł go przy tej robocie.

— Nasze sanie już gotowe — oznajmił, podczas gdy Rod wypoczywał chwilę. — Mamy trochę mało zapasów na dziewięć psów. i trzech ludzi, ale naboji jest pod dostatkiem. Upolujemy coś po drodze.

— W ostateczności królika.— rzekł Rod, na nowo biorąc się do roboty. Jeszcze parę uderzeń i woda trysnęła przez szczelinę lodu. Napelniwszy nią dwa wiadra, chłopcy wrócili do obozu.

Gdy ukończono posiłek, było już późno cienie wyniosłych cedrów padały daleko na zamarzłą powierzchnię jeziora, a słońce, wcześniej idące na spoczynek, nie grzało prawie wcale. Trzej myśliwi gotowali się do drogi. Minęła zaledwie trzecia, lecz panował przenikliwy chłód. Za pół godziny tam, gdzie na razie lśniło anemiczne słońce, miała pozostać tylko purpurowa zorza. Na dalekiej Północy noc nadlatuje tak szybko, jakby miała skrzydła; mrok zda się namacalnie ogarnia ludzi i przedmioty. Tak właśnie stało się i teraz, gdy zaprzęgano psy do sań, po czym Mukoki, Wabi i Rod pożegnali pocztarza.

— Za cztery godziny będziecie po drugiej stronie! — wołał pocztarz, gdy Mukoki krzykiem naglił psy do biegu. — Radzę potem założyć obóz!

Mukoki gnał przodem, nadając tempo i ubijając szlak. Wabi siedział na saniach, a Rod najbardziej wypoczęty z nich trzech, pędził z tyłu. Po chwili zbliżył się do młodego Indianina i wciąż biegnąc, położył mu dłoń na ramieniu.

— Czy znajdziemy jutro... nasz stary obóz na równinie? — pytał przerywając wpół zdania, by nabrać tchu.

— Tak — powiedział Wabi — Mukoki poprowadzi nas naj krótszą drogą. Potem wszystko

będzie już zależało tylko od ciebie.

Rod wrócił na utarty szlak za saniami: tu oddychał o wiele łatwiej. Umysł jego pracował z natężeniem. Czy zdoła odnaleźć trop Minnetaki, gdy dotrą do miejsca, gdzie Mukoki leczył ranę zadaną mu w czasie bitwy z Woongami? Był zupełnie pewny siebie, a jednak odczuł nieokreślone podniecenie, gdy stwierdził, jak wielkie zmiany wywołało słońce w ciągu tego dnia. Nerwy czy też obawa przegranej? Bezwzględnie znajdzie szlak, choćby ten był całkowicie zatarty! Wolałby jednak, żeby w takim wypadku Wabi lub Mukoki kierowali poszukiwaniami. Obaj Indianie dążyliby do celu z tą niezachwianą pewnością, z jaką lis odnajdzie świeży ślad, grubo okryty pokrowcem jesiennych liści. Bo jeśli zblądzi...?

Drgnął myśląc o losie, jaki wtedy czekałby Minnetaki. Zaledwie przed paroma godzinami był jednym z najszcześliwszych chłopców na świecie. Wierzył, że śliczna siostra Wabiego dojechała bezpiecznie do Kenogami House; pożegnał na krótki czas przyjaciół z faktorii; każda minuta przybliżała go do ukochanej matki, zamieszkałej w dalekim mieście na południu. I oto, tak nagle, że ledwo zdołał objąć myślą sytuację, porwał go wir przygód najtragiczniejszych, być może, jakie przeżywał kiedykolwiek.

Podniecony, wyprzedził sanki i przynaglał Mukiego, Co dziesięć minut jadący na saniach zmieniał miejsce z którymś z biegnących, tak że każdy z trzech przyjaciół miał co pół godziny parę chwil wypoczynku. Czerwona zorza na południo-zachodzie gasła szybko; mrok gęstniał. Daleko przed nimi, jak ogromna płachta częściowo pogrążona w ciemności, rozpościerała się pokryta lodem i śniegiem powierzchnia jeziora Nipigon. Brakowało tu drzew i skał, które by oznaczyły kierunek na tej bezdrożnej pustyni, a mimo to zarówno Mukoki, jak i Wabi nie wahali się ani chwili. Na niebie zabłysły jaskrawe gwiazdy; purpurowy dysk księżyca jak ognista kula wytrysnął ponad śniegi i bory.

Mila płynęła za milą, godzina za godziną, a bieg przez je zioro Nipigon trwał bezustannie, przerywany tylko dla każdego z uczestników krótkimi chwilami wypoczynku.

Księżyc wzniósł się wyżej; jego czerwień zbladła i przybrała delikatny, różowy odcień; potem tarcza błysnęła bielą, aż wreszcie, stojąc już u szczytu swej wędrówki, lśniła jak klejnot wykuty ze złota i srebra. W przepychu tych blasków pustynia lodowa i śnieżna migotała bez ustanku. Panowała zupełna cisza. Brzmiał jedynie skrzyp płóz, miękki tupot psich łap obutych w skórzane mokasyny i czasem dźwięk paru krótkich słów rzuconych przez Roda lub jego towarzyszy. Zegarek białego chłopca wskazywał parę minut po ósmej, gdy jezioro przed nimi zaczęło zmieniać wygląd. Wabi, siedzący właśnie na saniach, pierwszy to zauważył i krzyknął w stronę Roda:

— Oto las!. Jesteśmy po drugiej stronie!

Na te słowa zmęczone psy nabrały, zda się, nowych sił, a czołowy wilczar zaskowytał radośnie. Woń żywicy i szyszek stawała się coraz silniejsza. W białej poświacie ostre wierzchołki, drzew rysowały się coraz wyraźniej, w miarę jak same mknęły naprzód. W pięć minut później cały zaprząg dobiegi do brzegu i stanął zbity w zziąjany kłęb. Tego dnia psy i ludzie z Wabinosh House zrobili sześćdziesiąt mil drogi.

— Tu rozbijemy obóz — powiedział Wabi padając na sanki. — Tu rozbijemy obóz, bo inaczej skonom na szlaku!

Muki, choć wyczerpany do ostatka, ujął w dłoń siekiere.

— Teraz nie wolno wypoczywać — przestrzegał. — Zbyt jesteśmy zmęczeni! Jeśli siądziemy choć na chwilę, nie wstaniemy potem. Najpierw założymy obóz, a potem będziemy wypoczywać.

— Masz rację, Muki! — krzyknął Wabigoon, zrywając się z udanym zapałem. — Jeśli posiedzę z pięć minut, zasnę natychmiast. Rod, ułóż ognisko! Muki i ja zbudujemy szałas!

Nie upłynęło nawet pół godziny, a już szałas z gałęzi jodłowych był gotów, przed wejściem zaś

płonął ogień rozsiewając światło i ciepło na dwadzieścia kroków wkoło. Z głębi boru trzej wędrowcy wspólnymi siłami przywlekli kilka mniejszych pni. Zaledwie rzucono je w płomienie, już Wabi i Mukoki owinięci w futra, legli pod szaląsem na ściółce pachnącej żywicą. W tym dniu Rod nie miał tak wyczerpujących przejść jak obaj jego towarzysze, toteż gdy tamci zasnęli, biały chłopak, siadłszy tuż przy ogniu, myślał znów o dziwnych kolejach swego losu i patrzył, jak drżący blask płomieni tworzy na ciemnym tle otaczających drzew tysiące dziwacznych kształtów. Psy przypełzły do tłących głowni i leżały tak cicho, jakby życie już uciekło z ich burych cielsk. Z daleka dobiegało samotne wycie wilka. Olbrzymia Mała sowa poszybowała w pobliżu obozu, hukając obłąkanym, na pół ludzkim głosem. Drzewa trzaskały na tężejącym mrozie, lecz ani ten trzask, ani wycie wilka, ani zew koszmarnego ptaka nie zdołały obudzić śpiących.

Upłynęła godzina, a Rod wciąż jeszcze siedział przy ogniu z karabinem złożonym w poprzek kolan. Przez ten czas jego wyobraźnia odtworzyła tysiące obrazów. Myśl nie przestała działać ani na chwilę. Kędyś, w głuszy, był inny obóz, gdzie również płonęło ognisko, i w tym obozie więziono Minnetaki. Nieokreślone przeczucie mówiło mu, że dziewczyna czuwa i myślą dąży do swych przyjaciół. Czy był to sen, czy tak zwana telepatia zarysowała w jego mózgu następujący obraz? Zobaczył dziewczynę siedzącą przy ognisku. Jej piękne włosy, lśniące w blasku płomienia głęboką czernią, były przerzucone przez ramię. Patrzyła nieprzytomnie w ogień, jakby lada chwila gotowa weń skoczyć, a tuż za Minnetaki, tak blisko, że mógł ją dotknąć wyciągniętą ręką, znajdował się mężczyzna, na którego widok Rod zadrzał pełen wstrętu. Był to Woonga, wódz zbójckiego plemienia. Mówił coś. Jego czerwona twarz miała demoniczny wyraz. Wyciągał ramię.

Krzyknąwszy tak głośno, że aż psy się zbudziły, Rod skoczył na równe nogi. Drżał jak w febrze. Czyżby to był sen? Przypomniał sobie koszmara, jaki go nawiedził kiedyś w tajemniczym parowie. Próżno starał się przewyciężyć zdenerwowanie i strach. Dlaczego Woonga wyciągnął ramię w stronę Minne taki? Próbował zrzucić gniotący ciężar. Grzebał kijem w ognisku, aż kłęby iskier buchnęły wysoko w mroczną gęstwę konarów, i dodał całe naręcze suszu.

Potem usiadł i po raz dwudziesty od chwili wyjazdu z Wabinosh House wyciągnął z kieszeni plan, który miał ich prowadzić na poszukiwanie złota. Zdobył go kiedyś dzięki sennym widziadłom i obecnie myśl o tym zdarzeniu była dla niego przykra. Przed chwilą widział Minnetaki tak wyraźnie, jakby siedziała obok. Gotów był prawie postać kulę w głowę czerwonoskórego opryszka, w chwili gdy ten wyciągał rękę ku młodej dziewczynie.

Znów podsycił ogień, rozbudził jednego z psów; by wyczuć lepiej obecność żywej istoty, i położył się wreszcie między Mukokim a Wabim, próbując zasnąć. W ciągu kilku następnych godzin zdrzemnął się jedynie na parę chwil. Ilekroć tracił przytomność, zaraz pojawiała się przed nim Minnetaki. Widział ją zawsze tak samo, przy ogniu; walczyła zaciekle, by się uwolnić z potężnych objęć Woongi. W pewnej chwili bójka między młodą dziewczyną a mocarnym Indianinem stała się niezwykle gwałtowna. Wreszcie Woonga porwał Minnetaki na ręce i zniknął wraz z nią w mroku leśnym.

Rod zbudził się i nie próbował już nawet usnąć. Minęła dopiero północ. Jego towarzysze wypoczywali od czterech godzin. Za godzinę postanowił ich zbudzić. Po cichu zaczął przygotowywać śniadanie i karmić psy. O pół do drugiej potrząsnął Wabiego za ramię.

— Wstawaj! — zawołał, gdy młody Indianin usiadł na posłaniu. — Pora ruszać!

Gdy Wabi i Mukoki znaleźli się wraz z nim przy ogniu. Rod próbował opanować podniecone nerwy. Postanowił nie mówić im o swych widzeniach, gdyż i tak mieli dość ponurych trosk. Lecz postanowił również spieszyć. Pierwszy skończył śniadanie, pierwszy zakrzętnął się koło psów, a gdy Mukoki ruszył w drogę przez las, na czele zaprzęgu, biegł tuż za nim, nagłąc do większego wysiłku.

— Jak daleko jesteście od obozu, Muki? — pytał.

— Cztery godziny, dwadzieścia mil — odpowiedział lakonicznie stary myśliwiec.

— Dwadzieścia mil... Powinniśmy tam być o brzasku. Mukoki nic nie odpowiedział, lecz przyspieszył biegu. Krajobraz zmienił się: cedry i jodły ustąpiły miejsca nagiej równinie rozesełanej na przestrzeni paru mil. Księżyc świecił jeszcze całą godzinę; potem, w miarę jak ginał na zachodnim skłonie nieba, mrok gęstniał, aż wreszcie tylko gwiazdy znaczyły drogę pogoni. Potem i te zaczęły blednąć Mukoki wstrzymał na szczycie wzgórza zdyszany zaprząg i wskazał na północ.

— Preria...

Wszyscy trzej stali chwilę w milczeniu, spoglądając w mroczną dal nizin, które słały się niemal bez przerwy aż do Zatoki Hudsona. Rod czuł podniecenie wywołane tajemniczym romantyzmem dzikiej głuszy, sięgającej o setki mil na północ, gdzie nie deptała prawie stopa białego człowieka.

Przed nim, spowity w mrok nocy, spał ogromny, niezbadany kraj, ziemia, której przeszłość bieg lat pokrył zagadkową patyną. Co za dramaty kryje ta milcząca pustka? Co za skarby tam istnieją? Przed półwiekiem ludzie, których szkielety znaleziono w starej chacie, stawili czoło niebezpieczeństwu dziewiczych pustkowi. Kędyś, o setki mil w głąb ciemnej równiny, znaleźli złoto, to złoto, które po odkryciu planu z kory brzoźowej przypadło w udziale Rodrygowi i jego towarzyszom. I kędyś tam daleko jest Minnetaki... Zaledwie przed paroma dniami trzej myśliwcy umykali tą samą równiną przed krwiożerczą bandą Woongów. Teraz przemierzali ją powtórnie, szybciej jeszcze, gdyż mieli sanie i psy. Po pewnym czasie zresztą Mukoki zwolnił tempo tak bardzo, że szedł już tylko spacerowym krokiem. Wyteżał wzrok. Nieraz zatrzymywał psy i sam jeden zapuszczał się to na prawo, to na lewo od szlaku. Nie odzywał się wcale do towarzyszy, a zarówno Rod, jak i Wabi zachowywali całkowite milczenie. Wiedzieli bez pytań, że stary obóz już blisko. Jak doświadczony myśliwiec nie wydaje dźwięku i nie czyni zbytecznych gestów, gdy jego pies odnajduje zatarty trop — tak oni przestrzegali bez względnej ciszy, podczas gdy Mukoki, najwytrawniejszy łowiec w całej okolicy, z wolna prowadził ich naprzód. Ostatnie gwiazdy zgasły. Na jakiś czas czerń nocy stała się głębsza, po czym na południo-wschodzie zapłonął pierwszy, słaby odbłask zorzy porannej. W tych stronach dzień rodzi się równie szybko jak noc i wkrótce już było tak jasno, że Mukoki ruszył kłusem. Jeszcze chwila i przed nimi na białej równinie wyrosła kępa iglastych drzew. Zarówno Rod, jak i Wabi nie domyślili się niczego, aż stary myśliwy z wyrazem triumfu na twarzy wstrzymał psy u skraju gęstwy.

— Obóz! — wyszeptał Wabi. — Obóz!

Głosem, który dygotał od hamowanego podniecenia, młody Indianin zwrócił się do Rodryga Drew:

— Rod! Cała nadzieja w tobie!

Mukoki zbliżał się również.

— Tu obóz! — rzekł. — A teraz, gdzie szlak Minnetaki? Oczy starego myśliwca lśniły gorączkowo.

— No gdzie?

O kilkanaście kroków stał szałas jodłowy, zbudowany przed dziesięcioma dniami. To było jednak wszystko. Na śniegu nie pozostał najmniejszy ślad. Ciepłe słońce zatarło wszelkie tropy.

Jeśli ich ślady znikły, jakże znaleźć delikatne wgłębienia małych nówek Minnetaki?

W głębi serca Rod modlił się o pomoc.

IV. CZŁOWIEK — NIEDŹWIEDŹ

Muszę poczekać, aż się rozjaśni — rzekł Rod. Starął się opanować wzburzone nerwy i odzyskać straconą pewność siebie.

— Zjemy teraz śniadanie — zaproponował Wabi. — Mamy zimną pieczeń, więc nie potrzebujemy rozpalać ognia.

Rod pierwszy skończył jeść, po czym wziął karabin i wyszedł z gęstwy. Wabi zrobił ruch, jakby chciał iść za nim, lecz Mukoki go zatrzymał. W oczach miał chytre ogniki.

— Lepiej niech będzie sam — przestrzegął.

Lśniące czerwienią słońce stało wysoko nad lasem i Rod mógł teraz zatoczyć wzrokiem duży krąg. Tak samo właśnie wyszedł spomiędzy cedrów w dniu, gdy dążąc na polowanie, znalazł trop Minnetaki. O milę na przedzie widział ośnieżone wzgórze, gdzie szukał łosi. To wzgórze było pierwszym punktem wytycznym, toteż pośpieszył ku niemu, podczas gdy Wabi i Mukoki szli daleko w tyle, wiodąc sanie i psy. Nim dotarł na szczyt, stracił prawie oddech. Radośnie spojrzał ku północy. Tego popołudnia, gdy odnalazł tajemniczy trop, dążył właśnie w tamtym kierunku. Ale jego oczy nie napotkały żadnych znajomych szczegółów; żadne załamania gruntu lub osobliwe drzewa nie znaczyły kierunku ówczesnej wędrówki. Próżno bobrował wzdłuż górskiego garbu, starając się odkryć jakieś ślady swego pobytu. Wszystko znikło. Słońce zniweczyło wszelką nadzieję.

Był rad, że Wabi i Mukoki znajdują się u stóp wzgórza, wie dział bowiem, że ma łyzy w oczach. Los Minnetaki leżał w jego ręku, a on zawiódł. Bał się spotkać towarzyszy, gdyż nie chciał, by zobaczyli jego twarz. Po raz pierwszy w życiu dzielny Rodryg Drew pomyślał o samobójstwie.

Raptem, gdy jego oczy w poszukiwaniu znajomego przedmiotu sunęły poprzez nieskończoną śnieżną pustkę, zobaczył coś, co w dali w porannym słońcu lśniło niby szklana tafla. Krzyknął radośnie. Teraz pamiętał, że już poprzednio zauważył to dziwaczne lśnienie, że udał się ku niemu, idąc prosto w dół stoku, i że znalazł bryłkę lodu zamarzlą na zboczu skały, gdzie latem zapewne było źródło. Nie czekając na towarzyszy zbiegł w dół pochyłości i niby jelen pomknął przez wąski pas prerii. Po pięciu minutach biegu znalazł się u stóp skały i tu stanął na chwilę, a serce waliło mu w piersi jak młotem. Tuż za tym źródłem po raz pierwszy ujrzał dziwny trop. Na śniegu nie było teraz żadnych śladów, ale Rod widział inne rzeczy, które kierowały jego krokami: ogromny głąz rysujący się ostro na tle białego chaosu, martwą topolę, co wówczas zastąpiła mu drogę, i wreszcie, o pół mili na przedzie, skraj gęstego boru.

Odwrócił się i gwałtownie zamachał rękoma w stronę obu Indian pozostałych daleko w tyle. Potem pobiegł, a gdy dosięgnął lasu, znów powtórzył ten sam manewr, wyrażając radość głośnym krzykiem. Oto pień, na którym siedziała Minnetaki w oczekiwaniu fantazji zwycięzców. Rod oznaczył nawet dokładnie skrawek ziemi tuż u wystającego korzenia, gdzie spoczywały jej nogi. Czerwonoskórzy oraz ich jeńcy zatrzymali się tu na krótki czas i rozpalili ogień, a tak wiele stóp ubiło śnieg, że tu i ówdzie pozostały jeszcze wyraźne ślady.

Gdy Mukoki i Wabigoon podeszli bliżej, Rod wskazał im te tropy.

Jakiś czas żaden nie wymówił ani słowa. Stary myśliwiec, zgięty tak, że jego oczy znajdowały się tuż nad ziemią, badał cal po calu małą polankę, na której płonęło ognisko Woongów. Gdy wyprostował się wreszcie, na jego twarzy malowało się ogromne zdumienie.

Chłopcy zauważyli, że półzatarłe ślady wyjawily mu rzecz niezmiernie dziwną, mającą być może doniosłe znaczenie.

— Co się stało, Muki? — spytał młody Indianin. Mukoki nic nie odpowiedział, lecz wróciwszy

ku zwęglonym

resztkom ogniska, przykucnął i powtórzył badania, przeprowadzając je jeszcze bardziej drobiazgowo niż przedtem. Gdy wstał, znów miał na twarzy wyraz głębokiego zdumienia.

— Tylko sześciu! — wykrzyknął. — Dwóch poganiaczy z Wabinosh House i czterech Woongów!

— Ależ ranny poganiacz twierdził, że napastników było co najmniej tuzin! — rzekł Wabi.

Stary myśliwiec zachichotał, a twarz jego pokryły ironiczne zmarszczki.

— Poganiacz kłamie — oświadczył. — Uciekł zaraz na początku walki. Gdy zmykał, postrzelono go z tyłu.

Wskazał dłonią chłodną głąb boru.

— Tam nie ma słońca. Łatwo będzie iść tropem.

Ruchy Mukiego cechowała teraz absolutna pewność siebie. Oczy mu lśniły, ale był to płomień walki, nie zaś gorączka jałowego podniecenia. Rod widział już podobny wyraz na twarzy starego myśliwca wtedy, gdy gotował się do walki, by oswobodzić Wabiego. Teraz mieli ocalić Minnetaki. Wiedział, co oznacza podobne przedsięwzięcie. Ostrożnie dali nurka w leśną gęstwę, wyęzając wzrok i słuch. Jak słusznie przewidział Muki, trop czerwonoskórych był zupełnie wyraźny. Ponieważ Woongowie zabrali obie pary zbędnych sań, Rod wiedział, że na jednych jedzie Minnetaki. Zaledwie uszli sto kroków, gdy Mukoki, idąc przodem, stanął nagle. W poprzek tropu leżało martwe ciało mężczyzny. Wystarczył jeden rzut oka na twarz obróconą ku górze, by poznać, że jest to poganiacz z Wabinosh House.

— Czaszka rozłupana! — rzekł Mukoki oprowadzając zaprzęg wokół trupa. — Pewnie zamordowano go siekierą.

Psy, mijając zabitego, sapały i jeżyły sierść. Rod drżał. Mimo woli pomyślał o losie, jaki mógł spotkać Minnetaki. Zauważył też, że po odnalezieniu trupa Mukoki przyspieszył tempo pogoni. Szli całą godzinę bez przerwy. Woongowie posuwali się naprzód wąskim pasmem, jeden za drugim, wiodąc sanie między sobą. Po upływie godziny trzej myśliwi ujrzeli pozostałości nowego obozu: wygasłe resztki ognia i dwa szałas z gałęzi cedrowych. Tropy na śniegu były tu o wiele świeższe; miejscami zdawało się nawet, że pozostawiono je bardzo niedawno. Nigdzie jednak niepodobna było znaleźć dowodu obecności porwanej dziewczyny. Chłopcy zauważyli, że nawet Mukoki nie umie wytłumaczyć, dlaczego szlak jest tak świeży i dlaczego wcale nie widać odcisków nóg Minnetaki. Stary myśliwy bezustannie przemierzał obóz we wszystkich kierunkach. Żaden szczegół nie umknął jego uwagi. Oglądał każde wgłębienie gruntu, każdą ułamaną gałąź. Rod wiedział, że Minnetaki została porwana przynajmniej przed trzema dniami, tymczasem niektóre ślady wokół obozu miały najwyżej dobę. Co to znaczy?

Tajemniczość biegu wypadków poważnie go niepokoiła. Dlaczego Woongowie przerwali ucieczkę? Dlaczego zdecydowali się na postój w pobliżu miejsca zbrodni? Spojrzał na Wabigoona, lecz młody Indianin był również zaskoczony, jak on sam. I w jego oczach także lśnił lęk przed czymś nieznanym.

Mukoki kucnął nad zetłalymi resztkami ogniska. Wsunął ręce głęboko między popiół i węgle, a gdy wstał, uczynił wymowny ruch w stronę zegarka Roda.

— Ósma godzina, Muki.

— Woongowie byli tu jeszcze ubiegłej nocy — oznajmił z wolna stary Indianin. — Opuścili obóz cztery godziny temu.

Co to miało znaczyć?

Czy Minnetaki była ranna, ranna tak ciężko, że Woongowie nie odważyli się ruszyć jej z miejsca?

Rod nie zadawał sobie dalszych pytań. Nie mógł tylko opanować drżenia. Mukoki i Wabigoon

pierwsi ruszyli dalej, milcząc, z wyrazem dziwnego skupienia na twarzach. Nie umieli przeniknąć zagadki. Byli natomiast pewni, że cokolwiek tu zaszło, depcą już po piętach zbójów. Każdy krok zbliżał ich do ściganej bandy, gdyż z każdą milą ślad stawał się coraz świeższy. Czekala ich jednak nowa niespodzianka.

Trop się rozdwajał.

U skraju niewielkiej polany Indianie rozdzielili się na dwie- grupy. Szlak jednym sań wiódł na północo-wschód, szlak drugich na północo-zachód.

Na których saniach jechała Minnetaki? Trzej mężczyźni niepewnie spojrzeli sobie w oczy.

Mukoki wskazał szlak północno-zachodni.

— Musimy znaleźć jakiś znak pozostawiony przez Minnetaki. Ja pójdę tędy, a wy tamtędy!

Rod ruszył kłusem po tym szlaku, który wiódł bardziej na wschód. U skraju polany, w miejscu gdzie sanie dały nurka w gąszcz leszczyny, stanął nagle i po raz drugi tego ranka krzyknął radośnie. Z wystającej ciernistej gałęzi, lśniąc w słonecznym blasku, zwisało długie, jedwabiste pasmo włosów.. Rod wyciągnął ramię, chcąc je zdjąć, ale Wabi mu przeszkodził, a za chwilę Mukoki stał już obok. Stary Indianin ostrożnie ujął włosy palcami, a jego głęboko osadzone oczy lśniły niby dwa żuzle. Jedwabiste pasmo należało do Minnetaki; żaden z trzech o tym nie wątpił. Tylko znaczna ilość wydartych włosów napełniała ich zgrozą i zdumieniem. Nagle Mukoki szarpnął lekko i pasmo pozostało w jego ręku.

W następnej chwili Mukoki wydał dźwięk mający oznaczać: najwyższą pogardę. Był to przeciągły syk, używany jedynie wtedy, gdy znajomość angielszczyzny okazywała się niedostateczna.

— Minnetaki jest na drugich saniach! Pokazał chłopcom koniec ciemnego pasma.

— Patrzcie, włosy zostały ucięte, nie wydarte szarpnięciem. Woonga powiesił je tutaj, by nam zmylić drogę.

Nie czekał na odpowiedź, lecz pobiegł w kierunku drugiego szlaku, a Wabi i Rod mknęli tuż za nim. O ćwierć mili dalej stary myśliwiec przystanął i w radosnym milczeniu, wskazał palcem odcisk drobnej stopy, odbitej tuż obok wcięcia płóz. Ślady mokasynów Minnetaki znajdowali teraz niemal w regu larnych odstępach. Dwaj Woongowie biegli przed saniami i zdawało się, że siostra Wabigoona korzysta z okazji, by pozostawić za sobą znaki przeznaczone dla tych, którzy bez wątpienia pośpieszą jej z pomocą. Jednakże w miarę jak szlak wiodący na północo-wschód pozostawał coraz bardziej w tyle, Rod jął odczuwać nieokreślony niepokój. A jeśli Mukoki się omylił? Zazwyczaj wierzył niezachwianie w rozum i przenikliwość starego wojownika, lecz teraz przyszło mu na myśl, że gdy Woongowie mogli uciąć pasmo włosów Minnetaki, mogli równie dobrze zdjąć jej trzewik. Parokrotnie już gotów był głośno wyrazić swoje wątpliwości, lecz powstrzymywał się, widząc, z jaką pewnością Wabi i Mukoki dążą naprzód.

Wreszcie nie mógł już wytrzymać.

— Wabi, ja wracam! — krzyknął półgłosem, równając się na chwilę z towarzyszem. — Wracam i pójdę tamtym śladem! Jeśli na przestrzeni mili nie zauważę nic szczególnego, zawrócę i dogonię was niedługo!

Próżno Wabi usiłował zachwiać jego decyzję. Rod uparł się i po chwili znalazł się znów na polanie. Pod wpływem nieokreślonego przecucia serce biło mu szybciej i oddech stał się głębszy. Mknął właśnie przez krzewy, wśród których znaleziono pasmo włosów Minnetaki. Coś pchało go naprzód, wciąż dalej i dalej, nawet wtedy, gdy ubiegł parę mil nie znalazłszy nic godnego uwagi; Rod sam nie umiałby wyjaśnić, co mianowicie. Biały chłopak nie był przesądny. Nie wierzył w sny. Jednak, choć bez widocznego powodu, upewniał się coraz bardziej, że Mukoki popełnił błąd i że Minnetaki znajduje się na tym szlaku.

Kraina, w którą się zagłębiał, była coraz dziksza. Po obu stronach sterczały skalne garby, poszczerbione, pocięte rozpadlinami, kędy wiosną zapewne mknęły potoki. Rod wytrzymał słuch i szedł ostrożnie. Przypominał sobie niezwykłą wyprawę do tajemniczego parowu i samotny nocleg przy obozowym ognisku, kiedy to śnił o starych szkieletach. Myślał właśnie o tym okrążając ogromny blok skalny, stojący mu na drodze niby wielki dom. Raptem na śniegu tuż u swych stóp zobaczył coś, co mu zmroziło krew w żyłach. Po raz drugi w tym dniu oglądał wykrzywioną agonią rysy trupa. W poprzek szlaku leżał zamordowany Indianin, szeroko rozkładając ręce, z twarzą zwróconą wprost ku niebu. Śnieg koło jego głowy lśnił w blasku słońca ohydą czerwienią. Rod ze wstrętem patrzył dobrą minutę na ten straszny obraz. Nie było żadnych oznak walki; żadnych kroków na śniegu. Człowiek został zabity na saniach i jedynym śladem był ślad upadku.

Kto go zabił?

Czy Minnetaki, ratując siebie, pchnęła nożem swego ciemiężcę?

Na chwilę Rod uwierzył, że tak właśnie było. Obejrzał plamy na śniegu i stwierdził, że krew jeszcze nie zakrzepła. Nabrał stąd przekonania, że mord został dokonany najwyżej przed godziną. Bardzo ostrożnie, choć jeszcze szybciej podążył śladem sanek, z karabinem każdej chwili gotowym do strzału. Teren stał się trudny, miejscami prawie niedostępny. Jednak sanie wybrały drogę właśnie między gmatwaniną głazów, a ich dziki kierowca nie zawahał się ani chwili w wyborze kierunku. Szlak miarowo dążył wzwyż, aż dotarł do szczytu rozległego zbocza. Zaledwie Rod wgramolił się na końcowy garb, gdy inny ślad przeciął wyłobienie płóz.

Głęboko odcisnięte na miękkim śniegu, widniały odbicia niedźwiedzich łap.

Rod pomyślał, że pierwsze ciepłe promienie słońca zbudziły zwierza z zimowego snu i że ten porzucił na krótko legowisko. W miejscu gdzie krzyżowały się oba tropy, sanie ostro skręciły i poszły w kierunku, skąd przybył niedźwiedź.

Rod, nie zdając sobie wcale sprawy, dlaczego tak czyni, zaczął zstępować w dół stoku, idąc śladem łap niedźwiedzich, a jednocześnie nie spuszczał oczu ze smugi płóz i z dalekiej linii boru. U stóp zbocza przeciął mu drogę ogromny pień zwalonego drzewa. Zamierzał przesadzić przeszkodę, lecz wstrzymał się raptem i zdumiony krzyknął prawie. Niedźwiedź najwidoczniej gramolił się przez pień i w miejscu, gdzie jego futro zmiotło nieco śniegu, widniało wyraźnie odbicie ludzkiej dłoni.

Rod stał długą chwilę jak urzeczony, a z podniecenia przestał prawie oddychać. Pięć palców i dłoni odbiły się na śniegu niezwykle wyraźnie. Palce były długie i smukłe, a dłoń wąska. Z pewnością nie spoczywała tu ręka mężczyzny.

Wreszcie Rod oprzytomniał i rozejrzał się wokół. Na śniegu nie było żadnych śladów prócz tropu niedźwiedzia. Czyżby się więc omylił? Ponownie zbadał odbicie tajemniczej dłoni. A gdy patrzył, wstrząsnął nim dreszcz; wiedział, że dygocze, mimo że starał się zachować spokój. Zawrócił i szybko pobiegł własnym szlakiem na szczyt wzgórza, minął ślady płóz i zszedł znów w dół parowu, jednak po drugiej stronie garbu. Nie zrobił jeszcze stu kroków, a już bezgłośnie opadł na śnieg i skrył się za skałę. Nie zauważył przed sobą żadnego ruchu. Nie usłyszał żadnego dźwięku. W tej chwili był jednak podniecony do najwyższych granic.

Gdyż trop niedźwiedzia — znikł.

Przed nim zamiast śladów zwierza widniały odbicia męskich nóg.

V. WALKA O ŻYCIE

Upłynęło sporo czasu, nim Rod odważył się wyjść z ukrycia. Nie lęk bynajmniej trzymał go na uwięzi, lecz świadomość, że należy zważyć dalsze postęпки, obmyślić dalsze kroki. Na razie był oszołomiony paroma kolejnymi niespodziankami, a czuł przecie, że teraz bardziej niż kiedykolwiek powinien zachować zimną krew. Nie próbował rozwikłać tajemniczych śladów, ograniczając się jedynie do dwóch niezaprzeczonych faktów: że trop na śniegu nie był tropem niedźwiedzia, a odcisk dłoni na pniu nie stanowił odbicia męskiej ręki. Jednego przy tym był pewien: tak czy inaczej, obie zagadki dotyczyły Minnetaki.

Podjąwszy na nowo pościg, posuwał się niezwykle ostrożnie. Na każdym zakręcie, ukryty za skałą lub kępą krzewów, badał parów oczyma, jak daleko mógł wzrokiem sięgnąć. Lecz pole jego widzenia zaciemniało się coraz bardziej. Stok po lewej stronie stał się niemal prostopadłym murem; po prawej inny stok zbliżał się z każdą chwilą, aż wreszcie parów zachował rozpiętość najwyższą czterdziestu metrów, przy czym jego dno było usiane ogromnymi blokami gładkich i odpryskami skał. Rod zauważył wkrótce, że tajemniczy uciekinier czuje się w tym chaosie jak u siebie w domu. Jego ślady prosto jak strzelił wiodły z jednego przesmyku w drugi przesmyk. Nie zabłądził nigdy. Raz zdawało się, że trop się kończy u stóp gładkiej skalnej ściany, lecz tu Rod znalazł wąską szparę w granitowym murze i bardzo ostrożnie przedostał się przez nią. W miejscu gdzie się urywał skalny korytarz, uciekinier wypoczął chwilę, przy czym położył na śniegu jakiś ciężar. Wystarczył jeden rzut oka, by zgadnąć, co to było, gdyż na białym całunnie widniał ten sam wyraźny odcisk kobiecej dłoni.

Rod nie miał już żadnych wątpliwości. Znajdował się na tropie jednego z Woongów: opryszek niósł Minnetaki w ramionach. Minnetaki była ranna? Może już umarła? Ogarnął go lęk. Spojrzał ponownie na ślad pozostawiony na śniegu. Palce były szeroko rozchylone, dłoń zupełnie gładka. Jedynie żywa ręka mogła zostawić podobne odbicie.

Jak wtedy w lesie, gdy walczył o wolność dziewczyny, tak i teraz opuściła go niepewność i trwoga. Krew wrzała w nim raczej tylko ze zniecierpliwienia i był rad, że za chwilę znów postawi na szali własne życie, by ocalić siostrę Wabigoona. Postanowił, że stosownie do praw ustalonych przez Woongów, strzeli z ukrycia, o ile tylko nadarzy się po temu sposobność. Z drugiej strony jednak nie obawiał się wcale walki pierś o pierś. Opatrzył swój karabin, odpiął zamknięcie futerału, w którym nosił duży, wojskowy rewolwer, i sprawdził, że nóż lekko wychodzi z pochwy. Opodal skalnej szczeliny opryszek odpoczywał po raz drugi, lecz tym razem, gdy na nowo podjął, ucieczkę, Minnetaki szła obok niego.

Roda uderzył szczególnie wygląd jej śladów i przez pewien czas nie umiał sobie zdać sprawy, o co tu właściwie chodzi. Jedna z obutych w mokasyny nówek Minnetaki pozostawiała bardzo wyraźne wgłębienia, druga natomiast czyniła na śniegu małą nieforemną jamkę. Wreszcie chłopak przypomniał sobie ślady, które wiodły Mukiego oraz Wabigoona, i mimo całego tragizmu sytuacji nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Okazało się, że miał rację. Woongowie zdjęli jeden z mokasynów Minnetaki i nim znaczyli fałszywy ślad na północo-zachód. Nieforemne wgłębienia na śniegu wskazywały wyraźnie, że jedna z nóg dziewczyny została owinięta w kawał materiału lub futra dla ochrony od zimna.

Wkrótce Rod zauważył, że ucieczka Woongi i jego branki odbywała się tu w szybszym tempie, więc sam również przyśpieszył kroku. Parów był coraz bardziej dziki. Miejscami wydawał się zupełnie niedostępny, lecz szlak idących przodem wiodł zawsze do jakiejś ukrytej szczeliny. Biały chłopak dążył więc za nimi, wstrzymując prawie dech na myśl o tym, co lada chwila może nastąpić.

Nagle Rod stanął. Był pewien, że przed nim rozbrzmiał jakiś dźwięk. Przestał niemal oddychać i nateżał słuch. Ale głos się nie powtórzył. Może po prostu zwierzę, wilk lub lis, strąciło kamień ze stromego zbocza. Chłopak ruszył dalej, nasłuchując i patrząc bystro. O parę kroków stanął ponownie. W powietrzu rozsnuł się słaby, podejrzany zapach. Rod okrążył duży skalny występ i nozdrza jego napełniły się tą wonią. Był to dym, połączony z aromatem płonącego cedru.

Zatem przed nim płonął ogień. I to bliżej niż na odległość strzału.

Rod stał minutę bez ruchu, gotując się do decydującej rozprawy. Ustalił już plan działania. Podpełźnie w pobliże opryszka i jednym strzałem położy go trupem. Nie rzuci mu żadnej przestrogi, nie będzie się z nim układać ani go oszczędzać. Sunął naprzód cał za całem, przemyślnie jak lis. Woń dymu dobiegała go coraz wyraźniej; ponad głową dojrzał sine smużki, leniwie płynące poprzez parów. Dym nadchodził z za skalnego muru, który jak poprzednio inne, zdawał się mu przegradzać drogę. Ognisko płonęło chyba akurat naprzeciw po drugiej stronie. Rod, unosząc karabin do ramienia, prześliznął się przez wąską szczelinę. Nim ją opuścił, wyrzwał na zewnątrz, powolutku wysuwając głowę. Ogarniał wzrokiem coraz szerszy horyzont. Przed nim nie było już śladu stóp. Opryszek i jego branka znajdowali się za skałą.

Rod przyłożył karabin do ramienia, odważnie wyszedł z ukrycia i skręcił w lewo. O parę metrów dalej, niemal zupełnie osłonięta zwałiskiem głazów, stała mała chata. Wokół niej nie widniał żaden ślad życia; jedynie z komina na tle ściany parowu biła w górę upiorna smuga dymu. Nie odzywał się żaden głos. Wskazujący palec Roda drgnął na spuście fuzji. Czy będzie czekał, aż opryszek pojawi się na zewnątrz? Stał minutę, dwie, trzy, lecz w dalszym ciągu nic nie widział i nic nie słyszał. Postąpił naprzód krok i jeszcze krok, aż zobaczył otwarte drzwi chaty. I kiedy znów trwał bez ruchu z podniesionym karabinem, dobiegł ku niemu słaby, łkający głos. Ten dźwięk poderwał go z miejsca. Błyskawicznie rzucił się aż do drzwi chaty.

W izbie była Minnetaki sama! Siedziała skulona na podłodze, wspaniałe włosy skłębioną falą opadały jej na ramiona i biodra, a twarz, śmiertelnie blada, z obłąkanym wyrazem zwracała się ku młodemu chłopcu, który stanął przed nią niby senna zjawa.

W jednej chwili Rod znalazł się przy dziewczynie i klęknął obok. Na mgnienie poniechał wszelkiej ostrożności i dopiero okropny krzyk Minnetaki kazał mu odwrócić głowę w stronę drzwi. Na progu, gotów do ataku, stał jeden z najgroźniejszych ludzi, jakich Rod widział kiedykolwiek. Chłopak objął spojrzeniem potworne kształty Indianina, dziką twarz i błysk uniesionego w górę noża. W takich chwilach czyny ludzkie są prawie machinalne, jak gdyby samo życie broniło swego istnienia. Rod o niczym nie myślał i nie czynił żadnych planów. Instynktownie padł twarzą na podłogę. Ten ruch go ocalił. Dziki skoczył naprzód z gardłowym okrzykiem, zamachnął się nożem, chybił, potknął się o ciało chłopca i runął obok niego.

Długie miesiące życia w puszczy wyrobiły u Roda zwinność rysią i zahartowały mu mięśnie na żywą stal. Nie wstając przygniótł Indianina własnym ciałem i błysnął nożem nad jego piersią. Lecz Woonga był równie szybki. Błyskawicznie wyrzucił w górę potężne ramię i cios Roda trafił w ziemię. W następnej chwili wolna ręka czerwonoskórego opasała szyję Roda i zwarli się obaj w miażdżącym uścisku. Żaden nie mógł użyć swego noża, gdyż wszelki ruch zmniejszał jego własne szanse. W czasie krótkiej przerwy, po której nastąpić mogła jedynie śmierć, Rod myślał gorączkowo. Biały chłopak leżał piersią na piersi swego wroga. Woonga spoczywał na grzbiecie, mając ramię z nożem wyciągnięte ponad głowę; przytrzymywała je uzbrojona ręka Roda. By zadać cios, obie te ręce musiały być wolne. Czerwonoskóry, którego mięśnie były silnie napięte, mógł uderzyć natychmiast, Rod zaś musiał się wpierw zamachnąć. Inaczej mówiąc, nim nóż Roda opadłby w dół, stal Woongi już by wniknęła w jego pierś. Biały chłopak dobrze rozumiał tragizm sytuacji. Koniec

był bliski. Nie bał się śmierci, lecz wiedział, że jeśli on umrze, Minnetaki nieodwołalnie stanie się własnością zbója.

Pozostawała mu jedyna szansa ratunku. Należało skoczyć wstecz lub przynajmniej oswobodzić się o tyle, by móc ująć rewolwer. Gotował się właśnie do tej ostateczności, gdy obróciwszy nieco głowę, dojrzał Minnetaki. Dziewczyna zerwała się na nogi i chłopak dostrzegł, że ręce ma związane na plecach. Ona również zrozumiała tragizm pozycji Roda. Z głośnym okrzykiem podbiegła ku głowie Indianina i całym swym ciężarem skoczyła na jego wyciągnięte ramię.

— Prędeż Rod! Prędeż — wołała. — Uderzaj! Uderzaj! Z przeraźliwym krzykiem mocarny Indianin wyswobodził swoje ramię. Nadludzkim wysiłkiem wyrzucił dłoń ku górze i kiedy nóż Roda ginał w jego piersi po rękojeść, stał Woongi wpiła się w pachę białego chłopca. Rod krzyknął głośno i porwał się na nogi, a nóż, czerwony od krwi, upadł na podłogę. Z trudem zachowując równowagę, Rod podniósł go i przeciął więzy na rękach dziewczyny.

Zakręciło mu się w głowie, a w nogach poczuł dziwną słabość. Wiedział, że pada, i wiedział również, że obejmują go czyjeś ręce, a jakiś bardzo daleki głos wymawia jego imię. Potem zapadł w głęboki i bezbolesny sen.

Gdy oprzytomniał, oczy miał zwrócone ku drzwiom, które wciąż jeszcze stały otworem. Na zewnątrz bił srebrny połysk śniegu. Czyjaś dłoń łagodnie gładziła mu twarz.

— Rod...

Minnetaki przemówiła szeptem, a w jej głosie brzmiała radość i ulga. Rod uśmiechnął się. Z trudem unióś dłoń i musnął schyloną nad nim bladą twarzyczkę.

— Cieszę się, że cię widzę, Minnetaki! — szepnął. Dziewczyna podała mu zaraz czarkę chłodnej wody.

— Nie powinieneś się ruszać — rzekła miękko; oczy jej silnie błyszczały. — Rana nie jest zbyt groźna i opatrzyłam ją starannie. Ale leż cicho i nie mów nic, bo znowu zaczniesz krwawić.

— Kiedy tak się cieszę, że znów cię widzę, Minnetaki! — upierał się chłopak. — Nie masz pojęcia, jaki byłem rozczarowany, kiedy nie zastałem cię w domu po powrocie do Wabinosh House. Wabi i Mukoki...

— Tsss...

Minnetaki położyła mu palec na ustach.

— Musisz być cicho! Przecież rozumiesz, że bardzo chciałabym wiedzieć, jak się tu dostałeś. Ale teraz nie powinieneś mówić! Pozwól mi opowiadać, dobrze? Bardzo proszę...

Mimo woli dziewczyna spojrzała w bok i Rod, z trudem śledząc kierunek jej wzroku, dostrzegł na podłodze nieforemny kształt przykryty kocem. Wzdrygnął się, a Minnetaki, czując ten dreszcz, szybko odwróciła się ku niemu. Była jeszcze bledsza niż poprzednio, ale oczy jej lśniły jasnym blaskiem.

— To Woonga! — szepnęła podniecona. — To wódz Woonga, i on nie żyje!

Teraz Rod zrozumiał, co oznacza wyraz jej twarzy. Woonga — przekleństwo tych stron, wódz zbójeckiego plemienia, przysięgły wróg Wabinosh House, którego mordercza dłoń niby groźna chmura wisiała nad głowami agenta, jego żony i dzieci — umarł! A zabił go on, Rodryg Drew, który już raz poprzednio ocalił życie Minnetaki. Pomimo bólu i osłabienia chłopak uśmiechnął się i rzekł:

— Cieszę się, Minne...

Nie skończył. Przed drzwiami skrzypnął śnieg, a w następnej chwili Mukoki i Wabigoon weszli do chaty.

VI. CIENIE ŚMIERCI

Rod tylko częściowo zdawał sobie sprawą, co się działo w ciągu następnej półgodziny. Podniecenie, w jakie go wprowadziło nieoczekiwane nadejście brata Minnetaki oraz starego Indianina, spowodowało zawrót głowy, toteż opadł wstecz na posłanie, z którego przed chwilą próbował się unieść. Usłyszał jeszcze ostrzegawczy głos Minnetaki, po czym uczuł na twarzy jakiś chłód. Minęło, zda się, sporo czasu, nim do jego świadomości przeniknął znowu określony dźwięk. Sprężył się wtedy cały, zwalczając wielką słabość, lecz do jego uszu dobiegł łagodny szept, który polecał mu unikać wszelkich poruszeń. Mówiła Minnetaki i Rod usłuchał jej.

W pewnej chwili posłyszał ciche głosy oraz szmer ruchów i otworzył oczy. Na twarzy i włosach czuł delikatną dłoń Minnetaki; jej pieszczota zdawała się go nakłaniać do snu. U nóg zobaczył Mukiego. Stary wojownik siedział skulony i nie spuszczał z rannego szeroko otwartych oczu. Wyraz, z jakim patrzył, oczarował Rodryga. Widywał go już poprzednio w żrenicach Indianina, ale tylko wtedy, gdy tym, których Mukoki kochał, groziło niebezpieczeństwo. Gdy więc zobaczył go teraz, zrozumiał od razu, że i on również stał się bliski sercu starego myśliwca. Podniecony pieszczotą rąk Minnetaki i wyraźnym niepokojem Mukiego, Rod, zanim nawet pojął, że żyje, wyszeptał machinalnie dwa słowa:

— Halo, Muki!

Stary Indianin natychmiast przysunął się tuż i ukląkł obok Roda, drżąc z radosnego wzruszenia. Jego miejsce u stóp rannego zajął Wabigoon, uśmiechnięty i tak podniecony, że tylko ciche „tss-ss” Minnetaki i nacisk jej dłoni utrzymywały go we względny spokój.

— Miałeś rację, a ja nie — mówił Mukoki. — Ocaliłeś, Minnetaki, zabiłeś Woongę! Jesteś bardzo, bardzo dzielny chłopak!

Minnetaki grzecznie, ale stanowczo odsunęła na bok starego myśliwca, po czym przyłożyła do warg Rodryga czarkę źródlanej wody. Chłopak czuł pragnienie i woda orzeźwiła go przyjemnie. Zwrócił twarz w stronę dziewczyny, a ona uśmiechnęła się do niego. Potem zauważył, że trup Woongi został usunięty z chaty. Spróbował się i Minnetaki dopomogła mu w tym, podsuwając pod plecy zwinięte dery.

— Nie jesteś tak ciężko ranny, jak myślałam — rzekła. — Twoja rana nie jest zbyt groźna. Mukoki opatrzył ją i wkrótce będziesz się czuł znacznie lepiej.

W tej chwili Wabi podszedł do siostry, objął ją i ucałował serdecznie kilka razy.

— Rod, jesteś bohaterem! — wykrzyknął szczerze, ujmując w swoje dłonie przyjaciela. — Niech ci Bóg dopomaga!

Rod poczerwieniał i by lepiej ukryć wzruszenie, zamknął oczy. W ciągu następnej półgodziny Minnetaki gotowała kawę i piekła mięso, a Wabi wraz z Mukim oporządzali psy pociągowe.

— Jeśli będziesz się jutro czuł nieco lepiej — powiedziała do Roda Minnetaki — zawieziemy cię do Kenogami House. Będziesz mi mógł wtenczas opowiedzieć wszystkie zimowe przygody. Wabi wspomniał mi właśnie o waszej potyczce z Woongami, o starych szkieletach i o złocie, więc umieram z ciekawości. Ach, jakżebym chciała pojechać wraz z wami na tę wyprawę!

— I ja bardzo bym tego pragnęła! — zawołał biały chłopak. — Namawiaj Wabiego, Minnetaki, namawiaj go jak najusilniej!

— I ty także musisz go namawiać, Rod! Wątpię jednak, żeby to co pomogło. Zresztą mama i ojciec ani słuchać nie zechcą o podobnych planach. Wszyscy tak się o mnie boją! Dlatego przecie wysłano mnie do Kenogami House tuż przed waszym powrotem. Widzisz, Woongowie zachowywali

się coraz bardziej wrogo, a rodzice myśleli, że tam będę bezpieczniejsza. Tak bym chciała z wami pojechać! Marzę o polowaniu na niedźwiedzie, wilki i łosie. Pomagałabym także w poszukiwaniu złota. Proszę cię, Rod, namawiaj Wabiego, żeby się wstawił za mną.

Tegoż dnia, gdy Rod wzmocnił się o tyle, że mógł już usiąść o własnych siłach, zaczął namawiać Wabiego, by popierał plany dotyczące Minnetaki. Wabi jednak stanowczo odmówił, a Mukoki, usłyszawszy o jej marzeniach, chichotał i chrząkał dobre pół godziny.

— Minnetaki jest bardzo, bardzo dzielną dziewczyną — zwierzał się później Rodowi — ale tam grozi jej śmierć. Takie jest moje zdanie. Czy chcesz, by Minnetaki umarła?

Rod zapewnił go, że bynajmniej tego nie pragnie, i plan sam przez się upadł.

Ten dzień i ta noc były jedne z najprzyjemniejszych w życiu Roda, choć rana dokuczała mu poważnie. W kamiennym piecyku płonął wesóły ogień, podsycany suchymi gałęziami topoli oraz jedliną, a gdy Minnetaki oznajmiła, że kolacja gotowa, Rodrygowi po raz pierwszy pozwolono opuścić postanie. Wabi i Mukoki spędzili większą część dnia na włóczędztwie po parowie i górach, starając się odszukać ślady czerwonoskórych złoczyńców, nie znaleźli jednak nic, co by mogło wzbudzić niepokój. Chociaż to się może wydać dziwne, bez wątpienia tylko wódz Woonga wiedział o istnieniu starej chaty. Nasza czwórka, jedząc i pijąc przy ciepłym blasku ognia, omawiała wszelkie szczegóły niedawnych wydarzeń, aż wyjaśniły się tajemnice najbardziej zawile. Minnetaki opisała napad i wytłumaczyła, dlaczego uciekano potem tak wolno. Woonga był chory i chciał zupełnie wydobrzeć przed wyruszeniem w dalszą drogę.

— Ale dlaczego Woonga zabił w czasie jazdy swego towarzysza? — spytał Rod.

Minnetaki drgnęła na wspomnienie okropnej sceny.

— Słyszałam kłótnię — rzekła — ale nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Wiem tylko, że wymawiali moje imię. Ujechaliśmy zaledwie parę mil od miejsca, gdzie sanie się rozdzieliły, gdy raptem Woonga, siedzący na przedzie obrócił się i strzelił tamtemu w pierś. To było straszne! Ale potem ruszył dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

— A w jaki sposób zostawił za sobą trop niedźwiedzia? — zawołał Rod.

— Były to ogromne niedźwiedzie łapy, do których wsunął swoje nogi wraz z mokasynami — wyjaśniała Minnetaki. — Mówił mi, że psy same pobiegną do Kenogami House i że jeżeli nadejdzie pościg, wszyscy podążą śladem sań, a nikt tropem niedźwiedzia.

Mukoki zachichotał.

— Rod nie jest głupi! — rzekł. — To bardzo sprytny chłopak.

— Szczególnie gdy idzie śladem Minnetaki! — wybuchnął Wabi radosnym śmiechem.

— A czy to nie Rod również wyjaśnił tajemnicę zaginionego złota, choć wy dawno opuściliście ręce? — odparła Minnetaki.

Zaginione złoto!

Słowa, które padły z ust młodej dziewczyny, znalazły żywy oddźwięk w sercach trzech myśliwców. Noc już nadeszła i tylko kapryśne błyski płomieni oświecały wnętrze starej chaty. Skończono posiłek i kiedy wszyscy czworo zgromadzili się wokół ognia, zapanowała cisza. Zaginione złoto! Rod spojrzał na Wabigoona, którego brunatna twarz była na pół ukryta w cieniu, potem na lśniące jak miedź, pomarszczone oblicze Mukiego, który spoglądał badawczo na tańczące języki ognia. Ale kiedy Rodryg zwrócił wzrok na Minnetaki, uczuł nowy przyływ radości. Dostrzegł wyraz jej lśniących oczu i wiedział, że patrzy tak, bo uważa go za bohatera.

Długą chwilę nikt nie przerywał milczenia. Ogień wygasał, a w miarę jak zamierał blask jego płomieni, gęstniał mrok w kątach chaty i twarze obecnych nabierały cech widmowych. Wabi dorzucił do ognia naręcze suszu, poprawił czerwone węgle i odezwał się pierwszy:

— Tak, to wszystko zdziałał Rod! Minnetaki, oto mapa, którą on znalazł.

Ukląkł obok siostry i wyjął cenny dokument, tak starannie chroniony przez szkielety. Dziewczyna krzyknęła lekko i wzięła plan do ręki. Krok za krokiem, przygoda za przygodą, opowiedziano jej teraz niezwykle dzieje łowców wilków, aż wczesny ranek zastąpił późną noc. Minnetaki powracała dwukrotnie do dziwnego przeżycia Rada w tajemniczym parowie, a gdy biały chłopak mówił o nocnych strachach i niesamowitych dźwiękach, uczył, jak tuli się do niego czyjaś nieśmiała, drobna rączka. Potem zabrał głos Wabi. Opowiadał o mapie znalezionej w dłoni kościotrupa, o tragedii i mordach, które wyjawiono dzięki niej — a oddech dziewczyny stał się szybki i nierówny.

— Wracacie tam na wiosnę? — spytała.

— Na wiosnę — odpowiedział Rod.

Wabi zaczął ponownie namawiać przyjaciela, żeby zamiast wracać do Detroit, zachęcił matkę, by przyjechała do Wabinoosh House. Dowodził, że w ten sposób oszczędzi się mnóstwo czasu. Można będzie już za parę tygodni wyruszyć na poszukiwanie złota. Rod jednak nie dał się przekonać.

— Postąpiłbym nieładnie wobec mamy — twierdził. — Muszę najpierw sam wrócić do domu, choćbym nawet miał wynająć specjalny zaprząg!

Lecz pomimo stanowczego brzmienia jego głosu, los przeznaczył mu zupełnie inną przyszłość. Gdy mówiono sobie wzajem dobranoc, obaj Indianie oraz Minnetaki zauważyli już pierwsze groźne oznaki na twarzy Rodryga Drew. Opanowała go gorączka wieszcząca śmierć — o ile w pobliżu nie ma dobrego lekarza — gorączka gnilna. Nawet Mukoki, świadom tajemnic natury, od pół wieku niemal ratujący życia ludzkie wśród tych wielkich, pustynnych przestrzeni, wiedział, że tym razem sztuka jego nie może pomóc skutecznie.

Owinięto więc Roda w koce i futra i rozpoczęto bieg na śmierć i życie w stronę Kenogami House. Biały chłopak mógł się jedynie domyślać, że chodzi tu o coś ważnego, nie wiedział bowiem wcale, że tuż za nim pędzi śmierć. Szereg dni i nocy dręczyła go. maligna. Pewnego ranka zbudził się niby z okropnego snu, w którym piekł się i smażył jak potępieniec, a gdy otworzył oczy, zobaczył po raz pierwszy, że obok niego siedzi Minnetaki i że jej rączka łagodnie pieści mu czoło i włosy. Odtąd szybko zaczął odzyskiwać siły, minął jednak miesiąc, nim zdołał sięść, a dopiero po dalszych dwóch tygodniach mógł ustać na nogach. Tak więc upłynęły dwa miesiące od dnia, gdy Rod uwolnił siostrę Wabiego i zabił Woongę.

Pewnego dnia Minnetaki zdradziła mu niezwykle nowinę. Rod nigdy nie widział jej tak ślicznej, a jednocześnie tak zażenowanej jak owego ranka.

— Czy przebaczysz mi, że... że chowałam przed tobą w tajemnicy pewną rzecz? — spytała nieśmiało. Nie czekała zresztą, aż chłopak odpowie, lecz mówiła dalej. — Gdy byłeś taki chory i baliśmy się, że umrzesz, napisaliśmy do twojej mamy i posłaliśmy ten list przez umyślnego.. Och, Rod, nie mogę dłużej milczeć, choćbyś się miał na mnie gniewać! Twoja mama przyjechała i jest teraz w Wabinoosh House.

Na chwilę Rod jakby skamieniał. Potem wydał serię wojennych okrzyków, a gdy Wabi przybiegł zaniepokojony tym hałasem, zastał Roda tańczącego niby w obłędzie wokół Minnetaki.

— Przebaczyć ci! — krzyczał Rod. — Minnetaki, jesteś wspaniałą dziewczyną!

Zaledwie Wabi dowiedział się o przyczynie tej radości, zaczął się cieszyć wraz z Rodem, aż ich krzyki i śmiechy rozbrzmiały po całym Kenogami. Mukoki podzielał także zadowolenie chłopców. Wabi porwał siostrę w ramiona i całował póty, aż jej śliczna twarzyczka wyglądała jak kwiat głogu.

— Hura! — wrzeszczał. — To znaczy, że w ciągu dwu tygodni ruszamy na poszukiwanie złota!

— To znaczy... — zaczął Rod.

— To znaczy — przerwała Minnetaki — wszyscy są zadowoleni prócz mnie. Bardzo się cieszę

ze względu na Roda i pragnę poznać jego mamę. Ale potem wy pojedziecie, a ja zostaję!

Głos jej był pozbawiony cienia wesołości, toteż gdy się odwróciła, obaj chłopcy spoważnieli.

— Bardzo mi przykro — zaczął Wabi — ale nie mogę na to nic poradzić.

Zapadło milczenie, które przerwał Mukoki. — Jakże pięknie świeci słońce! — wykrzyknął. — Śnieg i lód już stopniały! Wiosna!

VII. W POGONI ZA ZŁOTEM

Każdego ranka słońce wstawało wcześniej, dni były dłuższe, a powietrze łagodniejsze. Wraz z ciepłem płynęły wonie zbudzonej ziemi i tysiączne głosy niewidzialnych leśnych istot, wstających z długiego snu pod białym całunem śniegu. Kanadyjskie sójki nuciły pieśni miłosne i to w powietrzu, to w gęstwinie krzewów wiodły od rana do nocy wiosenny flirt. Drozdy i wrony puszyły w słońcu lśniące pióra. Pąki topoli pęczniały szybko, aż pękły jak przejrzałe strąki grochu, i kuropatwy ucztowały, sięgając niższych gałęzi.

Mama niedźwiedzica wylazła z zimowego legowiska, a wraz z nią jej małe, urodzone przed dwoma miesiącami. Niedźwiedzica uczyła swoich malców, jak zginać wiotkie krzewy, by łatwiej dostać słodkie pąki. Łosie opuściły szczyty wzgórz, na północy noszące miano gór. Tam spędziły zimę wśród śnieżyc i zamieci, niepokojone przez wilki, które raz po raz mordowały słabsze lub chore sztuki. Wszędy gnały potoki utworzone z topniejących śniegów. Wszędy brzmiał łoskot walących się lodów, a co noc chłodne, blade lśnienia zorzy polarnej pełzły dalej w stronę bieguna w zamierającym przepychu barw.

Szła wiosna. W Wabinosh House, gdzie Rodryg Drew witał swą matkę, przyjmowano ją radośniej niż gdziekolwiek. Nie mamy niestety dość czasu, by rozwdzić się szerzej nad przebiegiem wypadków w starej faktorii Kompanii Zatoki Hudsona — nad wzajemną sympatią, jaka połączyła matkę Roda z Minnetaki i żoną agenta, nad odejściem żołnierzy, których pomoc okazała się zbyt cenna z chwilą, gdy wódz Woonga zginął, oraz nad przygotowaniem do wyprawy łowców złota.

Pewnego kwietniowego wieczora Wabi, Mukoki i Rod zgromadzili się w pokoju białego chłopca. Następnego ranka mieli rozpocząć długą i ciekawą wyprawę na daleką Północ, więc przeglądali wszystkie szczegóły uzbrojenia i ekwipunku, by się upewnić, że nic nie zapomniano. Tej nocy Rod spał bardzo mało. Po raz drugi w życiu ogarnęła go gorączka przygód. Gdy dwaj Indianie odeszli, biały chłopak badał cenną starą mapę, aż mu oczy zasły mgłą. W półśnie, w który później zapadł, jego myśl nie przestała pracować. Widział ponownie starą, tajemniczą chatę i zetlały woreczek z jeleniej skóry, pełen grudek rodzimego złota.

Wstał przed świtem, zanim jeszcze gwiazdy zaczęły blednąć na niebie. W dużej sali jadalnej, w której w ciągu dwu stuleci agenci Kompanii Zatoki Hudsona zasiadali do posiłku, chłopcy jedli śniadanie po raz ostatni w towarzystwie bliskich im osób. Mieli się przecie rozstać na szereg tygodni, może nawet miesięcy. Jerzy Newsome zachowywał hałaśliwą wesołość, pragnąc podtrzymać dobry humor pani Drew i swej żony, a Minnetaki śmiała się i mówiła bez przerwy, choć oczy jej były czerwone i wszyscy wiedzieli, że płakała całą noc. Rod był zadowolony, gdy posiłek się skończył i całe towarzystwo wyszło na próg domu, gdzie powitał ich wnet chłód poranka. Stamtąd udali się nad jezioro, kędy czekało wielkie czółno z kory brzozonej, wyposażone w przrządami, bronią i prowiantem. Tu nastąpiło ostateczne pożegnanie. Kiedy Wabi ucałował siostrę, ta wybuchnęła płaczem. Ujmując drobną rączkę dziewczyny w swoje dłonie, Rod uczył przykre ściskanie w gardle.

— Do widzenia, Minnetaki — szepnął.

Odwrócił się i zajął miejsce w czółnie. Wabi rzucił ostatni pożegnalny okrzyk, odepchnął się wiosłem od brzegu i czółno skoczyło w mrok otulający jezioro.

Jakiś czas panowało milczenie, przerywane jedynie rytmicznym pluskiem trzech wiosł. Raz doleciało ku nim słabe wołanie Minnetaki i odpowiedzieli na nie zgodnym okrzykiem. Ale to było

wszystko. Po chwili Rod rzekł:

— Daję słowo, pożegnanie jest jednak najgorszą rzeczą na świecie!

To odezwanie się rozproszyło panujące przygnębienie.

— Kiedy opuszczani Minnetaki, jest mi zawsze bardzo przykro — dodał Wabigoon. — Muszę ją wziąć kiedy na jaką wyprawę.

— Ona jest niezwykłą dziewczyną! — zapalczywie krzyknął Rod.

Z rufy dobiegł radosny chichot Mukiego.

— Dzielna, umie strzelać, umie polować! — odezwał się stary Indianin, a obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem. Wabi przy świetle zapalki rzucił okiem na kompas.

— Przetniemy jezioro zamiast posuwać się wzdłuż brzegu. Co o tym myślisz, Mukoki? — zawołał.

Stary myśliwiec milczał. Wabi, zdziwiony, przestał wiosłować i powtórzył pytanie.

— Sądysz, że to nie jest bezpieczne? — dodał. Mukoki umoczył palce w wodzie i uniósł nad głową.

— Wiatr wieje z północy — rzekł. — Być może zresztą nie wzmocni się zbyt, ale...

— Ale jeżeli wiatr się wzmoże — dodał sceptycznie Rod, który już poprzednio zauważył silne przeładowanie czółna — wywrócimy się na pewno!

— Jazda wzdłuż brzegu zajmie nam cały dzień dzisiejszy i połowę jutrzejszego — nastawał Wabi. — Gdy zaś przetniemy jezioro, będziemy po drugiej stronie zaraz po południu. Zaryzykujemy więc!

Mukoki burknął coś, co raczej nie wyrażało zgody, a gdy wiotkie brzoźowe czółno znalazło się na roztoczy wielkiego jeziora, Rod doznał dziwnego uczucia. Miarowe, silne pchnięcia wiosła gnały łódź z szybkością czterech mil na godzinę i zanim błysnął dzień, w oddali znaczył się porośły lasem brzeg, niby mglista smuga. Lęk, którego Rod nie śmiał głośno wyznać.

Znikł bez śladu, gdy tylko ciepłe promienne, słońce załśniło nad migotliwą powierzchnią wody, odganiając precz chłód nocy, a niosąc w zamian z dalekich krańców słodką woń leśnych gąszczy. Biały chłopak radośnie pracował wiosłem, gdyż pogodny nastrój poranka nasycił jego ramiona siłą młodego olbrzyma. Wabi gwizdał i nucił zwrotki dzikich indiańskich pieśni; Rod śpiewał *Yankee Doodle* oraz *Gwiazdzisty Sztandar*. Nawet milczący Mukoki od czasu do czasu pohukiwał donośnie, by podkreślić, że cieszy się wraz z nimi.

Trzej podróżnicy byli ogarnięci jedną myślą. Rozpoczęli oto najciekawszą ze wszystkich wypraw — wyprawę po złoto. Znali tajemnicę wielkiej fortuny. Czekali ich przygody i odkrycia. Leżał przed nimi rozległy obszar dalekiej Północy, kraj pokryty patyną lat, gdzie zda się nawet wiatry szeptały o dziwnych zdarzeniach sprzed wieków. Mieli uchylić rąbka tajemnic, wydrzeć złoty skarb z łona ziemi — i myśl ta podniecała ich coraz bardziej. Co poznają? Jakich odkryć zdołają dokonać? Co za niezwykle przygody czekają ich w nieznanym kraju, zamieszkałym jedynie przez dzikie zwierzęta, a pociętym szlakami zamiast dróg?

Jezioro roilo się od kaczek. Były całe stada czarnych, błękitnych i zwykłych dzikich. Czasem, gdy gromada większa niż inne, pojawiała się na wodzie przed czółnem, któryś z trzech myśliwych posyłał strzał w gęstwę ptaków. Gdy Rod i Mukoki zabili już po dwie kaczki, a Wabi trzy, stary wojownik dał znak, że należy na tym poprzestać.

— Nie traćmy zbyt wiele naboju — przestrzegał. — Trzeba zachować kule na grubszą zwierzynę.

W ciągu ranka wypoczywano parokrotnie, a w południe zaprzestano wiosłować prawie na całą godzinę, by zjeść obfity obiad z zapasów zabranych z Wabinosh House. Brzeg, na który należało się przedostać, był już wyraźnie widoczny, a w miarę jak nadchodził wieczór, oczy wędrowców szukały

ujścia Ombabiki i miejsca, gdzie się zaczęły przygody ubiegłej zimy. Wabi od dawna śledził wzrokiem długą, białą smugę położoną wzdłuż wybrzeża. Teraz zwrócił na nią uwagę towarzyszy.

— Zdaje się poruszać — rzekł do Mukiego. — Ale czy to możliwe, żeby...

— Co to takiego? — pytał Rod.

— Żeby to były łabędzie? — kończył Wabi.

— Łabędzie! — wykrzyknął biały chłopak. — O Boże, czy sądzisz naprawdę, że mogłoby ich być tak wiele?

— Łabędzie opadają nieraz na jezioro w ilości paru tysięcy — mówił Wabi. — Widziałem, jak białeły wszędzie tak daleko, jak tylko wzrok mógł sięgnąć.

— Bywają stada tak wielkie, że nie zliczyłbyś ich w ciągu dwudziestu tysięcy lat! — poważnie dowodził Mukoki.

Po chwili jednak dodał:

— Ale to nie są łabędzie. To lód!

Gdy wymawiał te słowa, głos jego miał przykre brzmienie, i chociaż Rod nie mógł pojąć doniosłości tych wyrazów, zauważył jednak, że wywarły one na Wabim złe wrażenie. Trudno się zresztą było łudzić. Po półgodzinnej pracy przy wiosłach czółno dotarło do lodowego pola, które ciągnęło się na dobre ćwierć mili od brzegu. W prawo i w lewo biała tafla szła dalej, niż mógł sięgnąć wzrok. Wabi miał na twarzy wyraz osłupienia. Mukoki siedział milcząc, złożywszy wiosło w poprzek kolan.

— Co się stało? — pytał Rod. — Czy nie można tego wyminąć?

— Owszem, można! — wybuchnął Wabi. — Tylko że to potrwa dzień lub nawet dwa!

— Czy nie uda się przejść po lodzie?

— W tym sęk. Krawędź jest już zbyt krucha.

Czółno chybotąło się z wolna wzdłuż białej tafli. Rod zaczął próbować lód wiosłem. Pierwsze ćwierć metra pryskało jak szkło, dalej jednak masa była trwalsza.

— Zdaje mi się, że gdyby tak przebić korytarz na długość czółna, dalej już byśmy się mogli na lodzie utrzymać. — zawyrokował.

Wabi ujął w dłoń siekiere.

— Spróbujemy — rzekł.

Muki przecząco ruszył głową. — Nie radzę — bąknął.

Lecz po raz drugi tego dnia Wabi postąpił wbrew zdaniu starego myśliwca. Metr za metrem rąbał lód zamykający drogę; aż kruche czółno wniknęło w głąb lustrzanej tafli. Wtedy stanął na dziobie łodzi, a stamtąd ostrożnie wszedł na zamarzlą powierzchnię.

— Już! — krzyknął triumfalnie. — Teraz twoja kolej, Rod! Zupełnie mocny!

Rod w jednej chwili znalazł się obok. To, co potem zaszło, zrobiło na nim wrażenie upiornego snu. Najpierw lód trzasnął lekko, ale zaraz dźwięk ten zamarł. Rod zbladł, a Wabi parsknął śmiechem na widok lęku przyjaciela — gdy raptem szkliwo pod ich stopami załamało się z okropnym hukiem i obaj chłopcy dali nurka w ciemną toń jeziora. Rod zobaczył jeszcze pełną grozy twarz Wabiego, znikającą wśród bryzgów lodu. Usłyszał okropny krzyk Mukiego, a potem uczył, że chłodny nurt zamyka się nad nim, i zaczął walczyć gwałtownie, by uratować własne życie.

Zaciekle bił wodę rękoma i nogami, chcąc wypłynąć na powierzchnię, a jednocześnie myślał o bezmiarze lodowego pola. A jeśli wypłynie pod lodem? Gdzie ma się wtedy zwrócić? Otworzył oczy, ale wszędzie panował ciemny chaos. Sekundy zdawały się wiekami. Czuł, że mu pęka czaszka i że musi zaraz otworzyć usta, by nabrać tchu, a wkoło zamiast powietrza była tylko woda. Raptem uderzył głową o coś twardego. Lód, Wypłynął pod lodem i rezultat zdawał się być wiadomy.

Zaczął znowu opadać w dół, wolno, ale bez przerwy, jak gdyby niewidzialna dłoń ciągnęła go w głąb. Pełen rozpacz, strasznym wysiłkiem bił wodę rękoma, wiedząc, że za chwilę musi otworzyć usta. Miał jeszcze dość przytomności, by pojąć, że stara się krzyknąć, ale wnet poczuł w gardle i płucach dławiący ciężar płynu. Nie zobaczył jednak długiego ramienia, które zanurzyło się w wodę w miejscu, gdzie ukazywały się nad nią pęcherzyki powietrza. Nie czuł, jak silna dłoń wywlekła go na lód. Później dopiero doznał wrażenia, że wielki ciężar przygniata mu brzuch, że go taczają, gniotą i kręcą nim, jakby się stał igraszką niedźwiedzia. Potem zobaczył Mukiego i wreszcie Wabigoona,

— Biegnij rozpalić ogień! — usłyszał głos starego Indianina, po czym ujrzał, jak Wabi mknie szybko w stronę lądu. Pomimo chwilowego zamroczenia Rod czuł, że wciąż jeszcze znajdują się na lodzie. Czólno wywleczono z wody na mocną, szklistą skorupę. Mukoki wyjmował z niego koce. Gdy stary Indianin się odwrócił, zobaczył, że Rod patrzy na niego wsparty na łokciu.

— Jak się to mówi, było z tobą krucho! — rzekł pomagając chłopcu usiąść.

Po chwili Rod wstał i otulony kocem, poszedł wraz z Mukim ku brzegowi. Wabi, cały ociekający wodą, wybiegł im na spotkanie.

— Rod, gdy się przebierzemy, musisz mnie dobrze wygrzmocić — prosił. — Chciałbym dostać porządne lanie. Potem zwrócę ci połowę. A jeśli kiedy znów nie posłuchamy Mukiego, każdy z nas dostanie różgi! — W jaki sposób uratowaliśmy się? — pytał Rod. — Jasne, że Mukoki nas wyciągnął! Czy chcesz mnie wyr grzmocić?

— Daj łapę!

I obaj chłopcy, na pół zmarznięci, ociekający wodą, uściskali sobie wzajem dłonie, a Mukoki chichotał, chrząkał i sapał póty, aż Wabi i Rod wybuchnęli śmiechem.

VIII. ŻÓŁTA KULA

Siedząc przed buszującym ogniskiem, obaj chłopcy znowu odczuwali rozkosz życia, ledwie zaś Mukoki zbudował szałas, Wabi i Rod zdjęli ubrania i owinęli się w koce, a stary Indianin suszył ich rzeczy. Dopiero po dwóch godzinach mogli się ponownie ubrać. Zaledwie byli gotowi, gdy Wabi skoczył do pobliskiej gęstwy i wrócił w parę minut później, wymachując sporą brzoźową wtką. Spojrzał na Roda: miał twarz zupełnie poważną.

— Widzisz ten pień? — rzekł, wskazując uschłe drzewo leżące opodal ognia. — Kładź się tu na brzuchu! Pierwszy sprawię ci lanie, żebyś wiedział, ile masz mi potem oddać. Należy mi się dwa razy więcej niż tobie, bo jestem dwa razy bardziej winien! Rod, trochę zdziwiony, położył się na pniu.

— Tylko bardzo proszę — odezwał się z lekkim strachem w głosie — nie bij za mocno.

Różga opadła gwizdząc i biały chłopiec krzyknął z bólu.

— A do diabła, przestańże!

— Nie ruszaj się! — krzyknął Wabi. — Cierp jak mężczyzna! Zasłużyłeś na to!

Różga opadała raz po raz. Gdy Wabi skończył, Rod wstał mruczając.

— A teraz daj mi różgę — rzekł wreszcie.

— Tylko niezbyt mocno! — uprzedzał Wabi kładąc się w poprzek pnia.

— Sam sobie wybrałeś karę. — przypominał Rod zakasując rękawy. — Tylko dwa razy tyle, ile ja dostałem! Ani więcej, ani mniej.

I różga znów zaczęła opadać.

Gdy Rod skończył, miał obolałe ramię, a Wabi pomimo indiańskiego stoicyzmu krzyknął głośno za ostatnim razem.

W ciągu całej tej sceny Mukoki stał bez ruchu, jakby skamieniały.

— Nigdy już nie będziemy niegrzeczni, Muki — obiecywał Wabigoon, łagodnie pocierając obolałe miejsca. — A jeśli to się nam kiedy przytrafi, sprawimy sobie wzajem nowe baty! Prawda, Rod?

— Ja ani myślę, dokąd będę miał siłę w nogach! — oznajmił Rod uroczyście. — Jednakże, ile razy uznasz, żeś zasłużył na karę, gotów jestem ci pomóc.

Gdy chłopcy wymierzili już sobie karę, wszyscy trzej myśliwi dobrą godzinę zbierali opał na ognisko i łapki jodłowe na posłania. Nim siedli do kolacji, było już ciemno, toteż posilali się przy świetle płonących konarów suchej topoli.

— To o wiele przyjemniej niż wiosłować całą noc — rzekł Rod, gdy skończywszy wieczerzę, usiedli wygodnie przed szałasem.

Wabi zrobił znaczący grymas i wzruszył ramionami. — Warto było nawet przeżyć parę przykrych chwil — upierał się Rod.

— Czy wiesz, jak bardzo krucho było z tobą? — spytał młody Indianin. — Była jedna szansa na tysiąc, że uda się cię uratować. Ja wygramoliłem się na lód o własnych siłach, chwytając za dziób czółna, a gdy Muki stwierdził, że nic mi nie grozi, zaczął szukać drugiego topielca. Ale się nie ukazywałeś na powierzchni. Myśleliśmy, żeś utonął, gdy na wodę wypłynęło parę bąbli i Mukoki w jednej chwili zanurzył ramię w głąb. Złapał cię za włosy, gdy po raz ostatni szedłeś na dno. Myśl o tym, Rod, i śnij dziś o tej przygodzie, to ci dobrze zrobi!

— Brr... — wstrząsnął się biały chłopak.

— Mówmy o czymś weselszym. Jaki wspaniały płomień daje ta topola!

— Świeci lepiej niż dwadzieścia tysięcy świec! — chwalił Mukoki. — Doskonałe drzewo!

— Był sobie raz w tych stronach wielki wódz — zaczął Wabi — a miał siedem pięknych córek.

Były tak urocze, że pokochał je sam Wielki Duch, Manitou. Po raz pierwszy od wielu zmian księżyca zstąpił na ziemię i przemówiwszy do wodza, oświadczył, że jeśli otrzyma jego siedem cór za żony, to mu w zamian spełni siedem życzeń. Wódz oddał mu córę i zażądał, by raz do roku dzień nie miał nocy, a noc nie miała dnia, i ta jego prośba została spełniona. Poprosił jeszcze, by kraj ten miał zawsze pełno ryb i zwierza, by lasy były wciąż zielone, a jego lud poznał tajemnicę budzenia ognia. Szóstym jego życzeniem było otrzymać paliwo, które by płonęło nawet w wodzie — i Wielki Duch dał mu brzozę. Wreszcie poprosił o takie drzewo, które by się paliło bez dymu a jasno wnosząc radość do wnętrz wigwamów — i wnet w lasach wyrosły topole. Wszystko to jest prawda i wszystko to istnieje po dziś dzień. Gzy nie tak, Muki?

Stary Indianin kiwnął głową.

— A co się stało z Wielkim Duchem i siedmioma pięknymi córami? — pytał Rod.

Mukoki wstał i odszedł od ogniska.

— On wierzy w te legendy, tak samo jak wierzy w istnienie słońca i księżyca — odezwał się Wabi półgłosem. — Ale wie, że ty uważasz je za bajdy i że biali na ogół kpią z podobnych podań. Mógłby ci opowiedzieć wiele niezwykłych rzeczy o powstaniu tych lasów i gór, o stworzeniach, które je zamieszkują. Wie jednak, że mu nie uwierzysz i że będziesz się potem śmiał.

W jednej chwili Rod skoczył na równe nogi.

— Mukoki! — zawołał. — Mukoki!

Stary Indianin zawrócił i wolno podszedł do ogniska. Biały chłopak, cały zarumieniony, z błyszczącymi oczyma, spotkał go wpół drogi.

— Mukoki — powiedział serdecznie, ujmując dłoń starego wojownika — Mukoki, kocham twego Wielkiego Ducha. Kocham tego, który stworzył te piękne lasy, księżyc i góry, jeziora i rzeki. Chciałbym się o nim dowiedzieć czegoś więcej. Chciałbym rozumieć jego słowa, gdy przemawia do mnie głosem wichru lub lśnieniem gwiazd. Czy zechcesz mi w tym dopomóc?

Mukoki patrzył na Roda, rozchylając nieco wąskie wargi. Surowy wyraz jego twarzy zmiękł; zdawał się ważyć szczerłość słów białego chłopca.

— A ja ci opowiem o Wielkim Duchu białych ludzi — naglił Rod. — Bo my również mamy Wielkiego Ducha, który uczynił dla nas białych to, co wasz uczynił dla czerwonych. Stworzył ziemię, niebo, morze i wszystkie żywe istoty w ciągu sześciu dni, a siódmego dnia wypoczywał. Ten siódmy dzień, Mukoki, zwiemy niedzielą. Dał nam lasy i łąki, tak jak wasz Wielki Duch dał wam bory i prerie, a uczynił to nie z miłości do siedmiu pięknych kobiet, lecz z miłości do wszystkich ludzi. Opowiem ci o nim wspaniałe rzeczy, jeśli ty mi opowiesz o swoim Bogu. Proponuję ci zamianę, Mukoki!

— Może się na nią zgodzę — odparł z wolna stary myśliwiec. Twarz mu złagodniała, a Rod uczył, że po raz drugi udało mu się poruszyć serce Mukiego. Wabi usunął się nieco, robiąc dla obu miejsce na zwalonym pniu. W dłoni trzymał kopię planu wyrysowanego na korze brzozowej.

— Myślałem o tym cały dzisiejszy dzień — rzekł, trzymając mapę w ten sposób, by wszyscy mogli ją widzieć — i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że...

— Że co? — spytał Rod.

— Ach, nic! — śpiesznie kończył Wabi, jak gdyby żałując wypowiedzianych słów. — To bardzo ciekawa mapa, nieprawdaż? Wątpię, byśmy kiedy szczegółowo poznali jej dzieje.

— Zdaje mi się, że już je znamy — odezwał się Rod. — Po pierwsze, znaleźliśmy ten skrawek kory w palcach kościotrupa i wiemy, wnioskując ze szczerb na żebrach szkieletów i broni rzuconej

opodal, że w starej chacie dwaj ludzie zamordowali się wzajemnie. Walczyli o tę mapę, o cenną tajemnicę, którą każdy chciał wyłącznie posiadać. Poza tym...

Wziął plan z ręki Wabigoona i trzymał go między sobą a ogniem.

— Poza tym — wszystko jest chyba zupełnie jasne. Wszyscy trzej milczeli jakiś czas.

Plan był przerysowany z oryginału bardzo dokładnie. Rod wskazał drzazgą punkt, przy którym widniał napis: chata i wejście do parowu.

— Reszta jest, zdaje się, zupełnie jasna — powtórzył trup Oto chata, gdzie ci ludzie pomordowali się wzajemnie i gdzie znaleźliśmy ich szkielety. Tu zaś początek wąwozu, w którym zabiłem srebrnego lisa i gdzie musimy iść, by znaleźć złoto. Zgodnie z planem należy dotrzeć do trzeciego wodospadu, gdzie stoi druga chata i leży skarb.

— Tak, wszystko jest na pozór bardzo jasne — przyznał Wabi.

Poniżej prymitywnego planu widniało kilka linijek pisma. Oto co można było z nich wyczytać:

My niżej podpisani: John Ball, Henryk Langlois i Piotr Plante, znalazłszy złoto u tego wodospadu, postanawiamy dzielić się nim zgodnie, obiecujemy zapomnieć o dawnych nieporozumieniach i pracować uczciwie dla wspólnej korzyści. Tak nam dopomóż Bóg!

John Ball, Henryk Langlois

Piotr Plante

W poprzek imienia Johna Balla przeciągnięto szeroką czarną kresę, która niemal zatarła litery. U jej końca widniało jedno francuskie słowo, które Wabi przetłumaczył głośno po raz setny.

— Umarł.

— Tak, na razie wszystko jest zrozumiałe — rzekł Wabi. — Ci trzej ludzie znaleźli złoto, pokłócili się, podpisali tę umowę i w końcu Ball został zamordowany. Dwaj Francuzi, jak to Mukoki poprzednio wytłumaczył, udali się nieco później po kupno zapasów i nieśli ze sobą pełny woreczek złota. W starej chacie u wejścia do parowu pokłócili się o prawo własności do mapy i skarbu, chwycili za noże i polegli obaj. Sądząc z ich rusznic oraz innego dobytku, należy przypuścić, że wszystko to zaszło mniej więcej przed pięćdziesięciu laty. Ale... Urwał i gwizdnął cicho,

— Gdzież jest trzeci wodospad? — Zdaje mi się, że zimą już ustaliliśmy jego położenie — odparł Rod, trochę podrażniony pesymizmem towarzysza. — Sądząc z charakteru pisma, Ball był wykształconym człowiekiem, zatem wykonał plan mając pewne pojęcie o przestrzeni. Drugi wodospad jest położony od pierwszego o połowę bliżej niż trzeci od drugiego. To jasne! A Mukoki odnalazł przecie pierwszy wodospad o pięćdziesiąt mil w dół parowu.

— A my, sądząc z rozmieszczenia poszczególnych punktów planu, ustaliliśmy, że trzeci wodospad leży mniej więcej o dwieście pięćdziesiąt mil od starej chaty — kończył Wabi. — To wygląda dość rozsądnie.

— To jest nawet zupełnie rozsądne — powiedział Rod czerwony z podniecenia. — Od chwili wejścia do parowu nasz szlak, jest dokładnie wytknięty. Nie sposób go zmylić. Mukoki słuchał w milczeniu. Teraz po raz pierwszy wziął udział w rozmowie.

— Najpierw należy jednak dotrzeć do parowu — burknął, znacząco wzruszając ramionami. Wabi wsunął plan do kieszeni.

— Masz rację, Muki! — zachichotał. — Kupczymy skórą żyjącego niedźwiedzia. Nie będzie łatwo dotrzeć do parowu.

— Wody dużo i prąd bystry. Rzeka leci jak dwadzieścia tysięcy karibu.

— Ręczę, że Ombabika zmieniła się w rwący potok — rzekł Rod.

— A musimy nią przejechać czterdzieści mil — odparł Wabi. — W pewnej chwili rzeka skręca na północ i mknie do Zatoki Hudsona. W tym miejscu trzeba się modlić zamiast pracować wiosłami. Doprawdy, co za wspaniała przyjemność ta jazda wśród prądów, wirów i fal!

— Ale jutro czeka nas również ciężka praca, więc idę spać — rzekł Rod. — Dobranoc.

Mukoki i Wabigoon poszli wkrótce za przykładem towarzysza i po upływie pół godziny jedynie trzask ognia przerywał ciszę obozowiska. Mukoki budził się ze snu regularnie jak zegarek: godzinę przed świtem był już na nogach i przyrządzał śniadanie. Gdy obaj chłopcy otworzyli oczy, zobaczyli, że kaczki ustrzelone wczoraj pieką się już na rożnie, a kawa bulgoce w kociołku. Przy tym Rod zauważył, że część zawartości czółna znikła.

Przeniosłem niektóre rzeczy na brzeg rzeki — wyjaśnił Mukoki, odpowiadając na pytanie Roda.p>

— Jak zwykle pracował, gdy myśmy spali! — wykrzyknął Wabi z oburzeniem. — Jeśli tak dalej pójdzie, Rod, zasłużymy; na nowe różgi.

Mukoki obejrzał krytycznym okiem tłustą kaczkę, upieczoną na piękny brunatny kolor, i podał ją Rodrygowi. Drugą wręczył Wabiemu, a trzymając w garści trzeciego ptaka, siadł na ziemi w pobliżu kawy i chleba.

— Ach, doprawdy, czy to nie królewskie pieczyste! — zawołał Rod unosząc swoją kaczkę na widelcu.

W pół godziny później wszyscy trzej udali się do czółna.. Mukoki przeniósł już część zapasów na brzeg rzeki, o ćwierć mili dalej, teraz zaś zabrał resztę ładunku, a chłopcy wzięli na barki lekki statek z kory brzoźowej. Rod, dojrawszy w rosnącym blasku dnia nurt Ombabiki, krzyknął ze zdziwienia. Ubiegłej zimy była to rzeczulka, mająca najwyżej dwanaście metrów szerokości. Teraz, szeroko rozlana, wyglądała jak Amazonka, a jej czarne wody przelewały się wirując niby gęsty, wrzący: płyn.

Z ciemnej głębi wiało grozą; zdawało się, że pod powierzchnią czyha potworna ręka, by zatopić śmiałków. Rod wiedział nawet bez pytań, że w tych leniwych falach istnieje więcej śmiertelnego niebezpieczeństwa niż w niejednym rwącym potoku.

Myśli Roda odzwierciedliły się w jego oczach, gdy patrzył na swych towarzyszy. Mukoki ładował czółno. Wabi badał rzekę. — Szybko leci! — rzekł niepewnie młody Indianin. — Co o tym sądzisz, Muki?

— Należy się trzymać brzegu — odparł stary wojownik nie przerywając roboty. — Dojedziemy bezpiecznie.

Te słowa uspokoiły obu chłopców, gdyż Rod i Wabi żywo mieli w pamięci dowód jego rozważli i zdrowego sądu. W krótkim czasie czółno zostało bezpiecznie spuszczone na wodę, w miejscu gdzie fale wyżłobiły naturalną przystań, i trzej myśliwi ujęli wiosła. Mukoki, zajmujący odpowiedzialne stanowisko na rufie, utrzymywał czółno w odległości paru metrów od brzegu; zdaniem Roda jazda odbywała się niezwykle szybko. Niekiedy odgałęzienia głównego prądu porywały wąły statek i z tego, w jaki sposób czółno chwiało się to w prawo, to w lewo, biały chłopak łatwo wnioskował, co za niebezpieczeństwo groziłoby im na środku rzeki. Obaj Indianie mieli się wciąż na baczności i błyskawicznie reagowali na każdy wybryk fal.

Nigdy nie było wiadomo, kiedy się rozegra niewidzialna podwodna siła. Nieraz nurt był gładki, niby polany oliwą, lecz raptem wyrastał na powierzchni wielki pęczek, jakby jakiś olbrzym odetchnął na dnie, i w jednej chwili woda wrzała, wirując, tworząc potworny lej...

Rod zauważył, że ilekroć trafiali w pobliże takiego leja, coś ciągnęło ich na dół, a łódź osiadała

nżej niż na spokojnej wodzie. Groziły im zresztą również inne niebezpieczeństwa. Pływające pnie, krzaki i różne szczątki raz po raz mknęły z prądem i ostrzegawcze krzyki Wabiego: „prawo! lewo! wstecz!”, powtarzały się tak często, że Roda rozbolewały wreszcie ramiona od wyętej pracy. To znów potok przed nimi wrzał jak wściekły, aż Mukoki sterował do brzegu i przenoszono rzeczy łodem, by ominąć niebezpieczne miejsce. W ciągu dnia podobny manewr powtarzał się pięciokrotnie, toteż biorąc pod uwagę czas stracony, robiono przeciętnie dwie mile drogi na godzinę. Gdy jednak pod wieczór rozbili obóz, Mukoki osądził, że przebyto mniej więcej połowę drogi.

Nazajutrz podróż odbywała się jeszcze wolniej. Z każdą milą rzeka była większa, a prąd szybszy. Zdradzieckie wiry trafiały się co prawda o wiele rzadziej, natomiast zwalone drzewa raz po raz mknęły w dół rzeki. Parokrotnie, zawdzięczając jedynie szybkiej i zgodnej akcji trzech poszukiwaczy złota, uniknięto strasznej katastrofy. Pracowali teraz niby sprawnie działająca maszyna, a kierował nimi Wabi, którego sokole oczy ogarniały daleki widnokrąg. Ten dzień stanowił dla Roda nieustanne pasmo silnych wzruszeń i trwogi, toteż biały chłopak uradował się szczerze, gdy wreszcie nadszedł koniec podróży. Było jeszcze wcześniej i słońce miało przed sobą dwugodzinną wędrówkę, kiedy zarządzono postój.

Mukoki wybrał na obóz małą kotlinę, osłoniętą z tyłu sporym wzgórzem porośniętym gęstwą topoli. Zaledwie czółno dotknęło brzegu, gdy Wabi krzyknął, chwycił karabin i dał trzy spieszne strzały w kierunku niewielkiej kępy iglastych drzew rosnących u stóp zbocza.

— Chybiłem! Chybiłem! — krzyczał. — Prędko, Muki, uwiąż czółna! Tam jest największy niedźwiedź, jakiego kiedykolwiek widziałem!

— Gdzie? Gdzie? — gorączkowo pytał Rod.

Rzucił wiosło i porwał karabin. Mukoki zaś, jak zawsze pełen zimnej krwi, ustawił czółno burtą wzdłuż brzegu tak, że Wabi mógł skoczyć na ląd. Rod błyskawicznie podążył za kolegą i obaj chłopcy, silnie podnieceni, pobiegli w ślad za niedźwiedziem, pozostawiając ciężko obciążone czółno pod opieką Mukiego. Krótki, szybki pęd powiódł ich na skraj jodłowej gęstwy. Z mocno bijącym sercem obaj badali wzrokiem zbocze wzgórza. Nie było ani śladu niedźwiedzia.

— Skręcił w dół rzeki! — krzyknął Wabi. — Musimy mu przeciąć drogę!

— Jest! — szepnął Rod. Zwierz znajdował się właśnie w odległości czterystu lub pięciuset jardów i zaczynał piąć się pod górę. Nawet z tak daleka Roda zadziwił jego ogrom.

— Co za potwór! — krzyknął.

— Paf! — naglił Wabi. — Dzieli nas przynajmniej czterysta jardów. Celuj w kark, może ci się uda trafić!

Łącząc w jedno słowa i czyny, wystrzelił dwa naboje, które mu jeszcze pozostały w magazynie fuzji, a gdy ładował broń, Rod palił raz po raz. Dwa pierwsze jego strzały nie dały żadnego wyniku. Za trzecim razem pędzący zwierz stanął i spojrzał w dół, co umożliwiło Rodrygowi dokładne celowanie. Gdy huknął nowy strzał, niedźwiedź potknął się raptownie, upadł niemal między skały, lecz potem znów ruszył cwałem.

— Raniłeś go! — krzyczał Wabi, pędząc przejściem między gęstwą jodeł u podnóża góry.

Nabijając broń, Rod przez chwilę oceniał wzrokiem położenie. Niedźwiedź zbliżał się szybko do szczytu wyniosłości. Wabi, prędko biegnąc, mógł posłać wkrótce jeszcze jeden celny strzał, nim zwierz zdoła się ukryć za wierzchołkiem góry. Ale jeśli, ten strzał chybi, miś będzie bezpowrotnie stracony. Rod dostrzegł raptem wyrwę w nagim miejscu zbocza. Pomyślał, że gdy uda mu się tamtędy przedostać, a niedźwiedź skręci w jego stronę, to...

Nie zwlekając dłużej, pognął w kierunku: szczeliny. Słyszał za sobą ostry trzask karabinu Wabigoona, lecz nie zatrzymał się, by ocenić rezultat strzałów. Jeśli Wabi znów spudłował, każda

sekunda miała wielką wagę. Dno szczeliny było zupełnie równe. Rod niemal bez tchu przebiegł po nim i stanął po drugiej stronie, bystro badając stok pokryty złomami głazów. Nie mógł powstrzymać radosnego okrzyku, gdy o osiemset jardów ujrzał niedźwiedzia idącego w dół pochyłości i w jego kierunku. Chłopak kucnął za skałą i czekał. Siedemset jardów, sześćset, pięćset... Raptem niedźwiedź skręcił wprost na równinę. Szedł wolno, od czasu do czasu przerywając ucieczkę, z czego Rod wywnioskował, że jest ciężko ranny. Najwidoczniej zresztą nie zamierzał zmienić kierunku odwrotu; inaczej mówiąc, trudno było przypuścić, żeby zwierz bardziej się zbliżył do zaczajonego myśliwca.

Rod uniósł karabin.

— Pięćset jardów, przeszło ćwierć mili!

Strzał był niezwykle zuchwały i Rodryg Drew uczuł dziwny dreszcz. Wspaniała broń, którą ważył w dłoniach, mogła sprostać zadaniu. Kula bez trudu niosła śmierć nawet na tak znaczną odległość. Ale czy on sam zdoła wymierzyć dość celnie? Był pewien, że jego pierwszy pocisk poszedł zbyt wysoko. Drugi również zatracił się w przestrzeni. Trzeci strzał Roda zabrzmiał jednocześnie z czwartym idącym ze szczytu góry. Wabigoon dosięgnął wierzchołka i palił z odległości sześciuset jardów.

Niedźwiedź stanął. Rod wycelował niezwykle starannie w nieruchomą masę kudłacza. W sekundę po strzale dziki wrzask wydarł mu się z gardła, a w odpowiedzi Wabi krzyknął radośnie ze szczytu góry. Strzał był wspaniały i niedźwiedź poległ.

Gdy młodzi myśliwi dotarli do swej zdobyczy, zwierz już nie żył. Minęło parę chwil, nim który z nich się odezwał. Zdyszani biegiem, patrzyli milcząc na ogromną bestię. Z wyrazu twarzy Wabigoona Rod wywnioskował, że dokonał niezwykłego czynu. Wciąż jeszcze bez słowa oglądali martwego zwierza, kiedy Mukoki ukazał się przy ujściu szczeliny i pośpieszył ku nim. Na widok niedźwiedzia zdumienie odbiło się na jego twarzy.

— Ogromny niedźwiedź! — zawołał.

Te dwa słowa mówiły bardzo wiele, więc Rod poczerwieniał z radości.

— Waży pięćset funtów! — rzekł Wabi. — A od grzbietu do ziemi ma całe cztery stopy.

— Wspaniały dywan! — zachichotał Mukoki.

— Czekaj no, Rod, z niego będzie dywan... — Wabi okrążył niedźwiedzia, mierząc go krytycznym wzrokiem — szeroki na dobre sześć stóp, a długi na przeszło osiem! Ciekawym, gdzieś go trafił?

Wystarczyła krótka chwila, by się przekonać, że chociaż ostatni strzał Roda był niewątpliwie śmiertelny, to i Wabi trafił niedźwiedzia dwoma, a może i trzema kulami. Czwarty pocisk białego chłopca wniknął nieco poniżej prawego ucha, powodując natychmiastową śmierć. Również po prawej stronie, ale między żebrami widniała rana, którą mógł zadać tylko strzał ze szczytu góry. Gdy trzej myśliwi wspólnymi siłami przewrócili zwierza na drugi bok, zobaczyli jeszcze dwie rany spowodowane kulami Wabigoona. Badając je, ostrowidz Mukoki wydał raptem pomruk zdziwienia.

— Tu był postrzelony dawniej! Stara rana, czuję kulę! Obmacywał palcami luźną skórę na łopatce niedźwiedzia.

Stara blizna była dobrze widoczna i obaj chłopcy wyczuwali kulę poprzez kudły futra. Łowiec grubego zwierza dozna zawsze dziwnego uczucia, gdy w ubitej przez siebie sztuce dostrzeże ślad dawnej rany. Szczególne wrażenie powoduje ten widok na dalekiej Północy, gdzie myśliwych poluje niewielu i są oni z rzadka rozsiani na ogromnej przestrzeni kraju. Blizna jest jakby dokumentem minionych zdarzeń; przywodzi na myśl podniecające chwile innych łowów, źle wymierzony strzał i ucieczkę zwierza. Tak właśnie było teraz. Wabigoon i Rodryg schylili głowy tuż nad ramieniem Mukiego, gdy stary wojownik nożem wyjmował kulę. Myśliwiec wydał nowy pomruk zdziwienia.

Położył kulę na wyciągniętej dłoni. Była to dziwaczna bryłka, gładka i oryginalnie spłaszczona.

— Bardzo miękka kula — rzekł Mukoki. — Nigdy nie widziałem, żeby ołów tak się spłaszczył.

Ostrzem noża odjął z grudki metalu cienki skrawek.

— To...

Pokazywał oba kawałki. W blasku słońca lśniły głęboką żółtą barwą.

— Ta kula jest złota! — szepnął ledwie dosłyszalnym głosem. — To nie żółty ołów! To złoto, rodzime złoto!

IX. W GÓRĘ OMBABIKI

Wszyscy trzej stali jakiś czas milcząc. Wabi wytrzeszczył oczy, jakby nie mógł uwierzyć w namacalną rzeczywistość. Rod drżał podniecony jak wtedy, gdy w starej chacie odkrył skórzany woreczek z zawartością złotych bryłek. Twarz Mukiego wreszcie nadawała się do charakterystycznego studium. Długie, szczupłe palce, trzymając oba szczątki kuli, drżały lekko, co było niezwykłym objawem u starego Indianina. On pierwszy przerwał milczenie i jego słowa odzwierciedliły ciekawość nękającą trzech myśliwców.

— Kto strzela do niedźwiedzia złotymi kulami?

Na razie to pytanie miało pozostać bez odpowiedzi. Niepodobna było przecież stwierdzić, czyja broń wysłała ten -pocisk. Ale po co strzelano złotą kulą?

Wabi wziął do ręki obie części kruszcu i ważył je na dłoni.

— Jedna uncja! — oznajmił.

— Uncja złota ma wartość dwudziestu dolarów! — zawołał Rod, któremu prawie tchu brakło z podniecenia. — Któż, na miłość boską, strzela do niedźwiedzia dwudziestodolarową kulą?

Wziął od Wabiego oba ułamki kruszcu i również ważył je na dłoni.

Z twarzy Mukiego znikł wyraz zdziwienia. Zahartowany stary wojownik przybrał znów oblicze w nieprzeniknioną maskę. Pod osłoną nieruchomych rysów pracował bystry umysł, świadom wszelkich tajemnic i dziwów dalekiej Północy. Młodzi przyjaciele nie odzyskali jeszcze daru mowy, a już bujna fantazja Mukiego wiodła go szybko wstecz śladem ogromnego niedźwiedzia, aż do jego spotkania z istotą strzelającą złotymi kulami. Wabi, rozumiejąc bieg myśli Indianina, badawczo obserwował jego twarz.

— Co o tym sądzisz, Muki? — spytał.

— Ten człowiek strzelał ładując oddzielnie kule i proch, a nie gotowymi nabojami — odparł z wolna Mukoki. — Miał bardzo starą broń. To dziwne, ogromnie dziwne!

— Miał fuzję nabijaną przez lufę — uzupełnił Wabi. Stary Indianin twierdząco skinął głową.

— Miał proch, brakło mu ołowiu. Był głodny, strzelił złotem.

Te dziewięć słów rozproszyło częściowo mrok tajemnicy. Zostało jednak sporo rzeczy nadal niepojętych.

Kto strzelał złotą kulą i skąd pochodziło złoto?

— Musiał znaleźć cenną, złotodajną żyłę, bo inaczej skądby wziął tak dużą bryłkę?

— Tam, skąd pochodzi kula, leży jeszcze o wiele więcej złota — przyznał Mukoki krótko.

— Czy sądzicie... — zaczął Rod. Głos mu dziwnie drżał i urwał w pół zdania, jakby nie śmiać dopowiedzieć reszty. — Czy sądzicie, że ktoś znalazł nasze złoto?

Mukoki i Wabigoon jednocześnie podnieśli nań oczy. Potem Wabi przeniósł wzrok z twarzy Roda na twarz starego myśliwca. Nikt nie wymówił słowa. Biały chłopak milcząc wyjął z kieszeni jakiś drobny przedmiot owinięty w gałganek.

— Pamiętajcie, że zatrzymałem jedną bryłkę złota z mojej części; miałem zamiar zrobić sobie z niej szpilkę do krawata — tłumaczył. — Gdy przechodziłem kurs geologii i mineralogii, dowiedziałem się, że jeśli zebrać pół tuzina złotych bryłek, pochodzących każda z innej kopalni, istnieje zaledwie jedna szansa na dziesięć, by dwie spośród nich miały identyczne zabarwienie. Teraz więc...

Naciał swoją grudkę nożem tak, jak Mukoki poprzednio naciał kulę. Potem porównał obie lśniące powierzchnie.

Wystarczył jeden rzut oka.

Złoto miało zupełnie tę samą barwę!

Wabi cofnął się nieco i mruknął coś pod nosem, ponuro błyskając oczami. Twarz Roda zbladła. Mukoki, nie znający tajemnic mineralogii, patrzył na białego chłopca z niemym pytaniem w oczach.

— Ktoś znalazł nasze złoto! — wściekle zawołał Wabi.

— To nie jest jeszcze pewne — przerwał Rod. — Mamy jedynie silne poszlaki. Formacja skał w tej okolicy jest wszędzie jednakowa i dlatego może być, że złoto znalezione tu obok nie różni się niczym od złota ukrytego o setki mil dalej. Ta sprawa jednak wygląda podejrzanie!

— Ten człowiek zapewne umarł — pocieszał Mukoki. — Był głodny, nie miał ołowiu, strzelił do niedźwiedzia złotem i nie zabił go. Musiał zginąć z wycieńczenia!

— Biedak! — wykrzyknął Wabi. — Tacyśmy egoiści, Rod, że nikt z nas o tym nie pomyślał. Oczywiście, konał z głodu, inaczej nie strzelałby złotem! A niedźwiedzia nie dostał! O Boże!

— Wolałbym, żeby on zabił tego niedźwiedzia — rzekł Rod szczerze. Ostatnie słowa Mukiego wywołały silny rumieniec na policzkach białego chłopca. — Wolałbym, żeby on zabił tego niedźwiedzia — powtórzył. — My mamy i tak dość żywności.

Mukoki już się zabrał do pracy, zdejmując skórę z powalonego cielska; obaj młodzi wyjęli noże i zaczęli mu pomagać-

— Ta rana ma około sześciu miesięcy — rzekł stary wojownik. — Niedźwiedź był postrzelony późną jesienią...

— Kiedy człowiek przymierający głodem nie mógł znaleźć nawet paru jagód — dodał Wabi. — Mam jednak nadzieję, że udało mu się coś ubić.

W godzinę później trzej poszukiwacze złota wrócili do swego czółna, obładowani wspaniałymi kawałami mięsa oraz skórą niedźwiedzia, którą niezwłocznie rozpostarto między dwoma drzewami tak wysoko, by żaden drapieжник do niej nie sięgnął. Rod spoglądał z dumą na piękne futro.

— Czy zabierzemy je wracając tędy?

— Oczywiście! — odparł Wabi.

— Będzie w całości?

— Jakbyś je zostawił u siebie w domu.

— Chyba że je ukradnie jaki przechodzień — kończył Rod. Wabi pilnie wyładowywał z czółna część potrzebnych rzeczy, lecz przerwał pracę, by spojrzeć na Roda.

— Ukradnie! — wykrzyknął zdumiony.

Mukoki, który również usłyszał uwagę Roda, bacznie nastawił ucha.

— Rod — ciągnął spokojnie Wabi — ta rzecz jest tutaj nie znana! Na całej dalekiej Północy stosują słowo złodziej jedynie do Woongów. Gdyby jutro biały myśliwiec, przechodząc tędy, spostrzegł, że futro wisi zbyt nisko i że zwierzęta mogą je poszarpać, toby je wnet podciągnął wyżej. Indianin, obozując w pobliżu, roznieciłby ognisko w ten sposób, że żadna iskra nie dosięgłaby futra. Rod, tu, gdzie nie znamy cywilizacji, wszyscy jesteśmy uczciwi!

— Ale w Stanach — upierał się Rod — Indianie kradną.

Te słowa wymknęły mu się z ust dość nieoględnie. Już w następnej chwili dałby nie wiem co, byle je cofnąć. Mukoki jak gdyby zeszywniał.

— Dlatego że zbyt często stykają się z białymi ludźmi! Z tak zwaną cywilizacją! — odparł czerwonoskóry chłopak. — Przebacz mi, Rod, że to mówię, ale tak jest na pewno. Za to tutaj w dziczy, biali ludzie są inni i wpływ ich inny. Mieszkańcy naszych lasów bez względu na barwę skóry mają wrodzoną uczciwość w każdej kropli krwi. Oczywiście, zdarzają się wyjątki, jak na przykład plemię Woongów, ale to wyrzutki naszego społeczeństwa! Spójrz za to na Mukiego. Ten, gdyby

nawet marzył na śmierć, nie ruszyłby cudzych futer. Zwykły Indianin może by wziął nie mając innego wyjścia, ale zostawiłby w zamian swój karabin.

— Palnąłem głupstwo! — przyznał Rod. — Doprawdy, chciałbym być jednym z was! Kocham daleką Północ i jej mieszkańców, a to, co mówisz, sprawia mi taką radość.

— Ależ ty jesteś nasz, duszą i ciałem! — wykrzyknął Wabi chwytając go za rękę.

Tego wieczora, gdy po skończonej kolacji zebrali się wszyscy trzej wokół ogniska, Wabi rzekł:

— Gdyby Muki chciał, toby ci opowiedział, Rod, dlaczego Indianie na Północy są uczciwi. Ale on nie zechce, więc ja go zastąpię. W ojcystym kraju Mukiego nad rzeką Makoki, dopływem rzeki Albany, żył raz szczep indiański, który składał się z samych złodziei. Nikt nie był pewien swego mienia; bójk i mordy zdarzały się niemal co dzień, a najgorszy opryszek, wódz plemienia, oczywiście wymigiwał się zawsze od wszelkich kar. Ten wódz lubił sam zakładać żelaza i pewnego dnia, zwiedzając jak zwykle linię sideł, spostrzegł, że jeden z jego wojowników zastawił potrzask tuż obok potrzasku wodza. Zawrzał więc gniewem, postanowił srogo ukarać zuchwalca i przyczajony oczekiwał nadejścia wojownika.

Kiedy czatował w ukryciu, do sideł rywala wpadł śnieżny królik. Wódz ujął kij i podszedł bliżej, by zabić zwierzątko, gdy raptem przed oczyma przepłynął mu biały obłok i oto na miejscu królika stanął najpiękniejszy człowiek, jakiego oglądał kiedykolwiek. Wódz zrozumiał, że to sam Wielki Duch, i padł na twarz. A oto zabrzmiał nad nim potężny głos, jak gdyby wybiegłszy z hukiem spoza łańcucha najdalszych gór, i rzekł, że lasy i wody rajy czerwonoskórych są zamknięte dla niego i jego plemienia, gdyż na łowieckich terenach tamtego świata nie ma miejsca dla złodziei.

„Idź do swej wioski — ciągnął głos — i powiedz, że odtąd czerwonoskórzy winni żyć uczciwie i zgodnie, jeśli chcą uniknąć kary, która nad nimi zawisła”.

— Wódz powtórzył swoim ludziom słowa Wielkiego Ducha — kończył Wabi — i od tej pory kradzież znikła z tego kraju. A ponieważ Wielki Duch objawił się wodzowi w postaci królika, biały królik jest odtąd fetyszem Cree i Chippewyanów na dalekiej Północy. Gdy zaś spadnie głęboki śnieg, my śliwi umieszczają swoje sidła jedno obok drugiego i nigdy nie kradną. Rod słuchał z błyszczącymi oczyma.

— Cudowne!! Wspaniałe! — powtarzał. — A czy to wszystko prawda?

— To wszystko prawda — z powagą potwierdził Wabi. — W całej ogromnej krainie, stąd aż po wielkie pustkowia, gdzie żyją piżmowe byki, najwyżej jeden Indianin na stu ukradnie cudze sidła lub cudzą zwierzynę. Jest to niepisane prawo Północy, że każdy myśliwy ma własną linię sideł, i grzeczność wymaga, by nikt inny nie umieszczał w pobliżu swoich łapek, A jeśli się zdarzy, że ktoś ustawi potrzask na cudzym terenie, nie wezmą mu tego za złe, gdyż prawo Wielkiego Ducha jest mocniejsze ze niż prawo ludzkie. I przypomnij sobie, że ubiegłej zimy nawet zbrodniczy Woongowie nie kradli naszych sideł, choć czyhali na nasze życie.

— Mukoki! — rzekł Rod wstając. — Chciałbym ci uścisnąć rękę, nim pójdę spać. Chciałbym być półkrwi Indianinem tak jak Wabi!

Następnego dnia rozpoczęto znów podróż w górę Ombabiki, ale poprzedni entuzjazm łowców złota zakłócał teraz pewien niepokój. Żaden z trzech wędrowców, nie mógł się pozbyć myśli, że ktoś nieznanymi odkrył już ich skarb. Wabi pierwszy podzielił się swą troską.

— Nie wierzę w to! — wykrzyknął raptem. Nawet bez pytania dwaj jego towarzysze wiedzieli już, o co mu chodzi. — Nie wierzę, by ktoś znalazł nasze złoto! Kryje się ono w samym sercu najdzikszej z krain północnych i gdyby ktokolwiek je wykrył, na pewno doszłyby o tym słuchy do Wabinosh House lub do Kenogami, jako do najbliższych faktorii.

— A może ten, co je znalazł, już nie żyje — dodał Rod. — Może.

Mukoki, siedzący na rufie, chrząknięciem i ruchem głowy potwierdził to przypuszczenie.

— Umarł — rzekł.

Ombabika zwężyła się teraz znacznie i przyspieszyła biegu.

Walcząc przeciwko bystremu prądowi, czołno posuwało się z trudem, a po południu Mukoki oznajmił, że podróż rzeką kończy się. Na razie Rod nie mógł się zorientować, gdzie wylądowali. Wtem wydał okrzyk radosnego zdziwienia.

— Przecież tu właśnie jedliśmy zeszłej zimy kolację po naszej ciężkiej przeprawie z wilkami! — wykrzyknął.

Ż bardzo daleka dobiegał niski, przewlekły grzmot.

— Słuchajcie! To rzeka wpada w skalisty wąwóz. Tam przecie szliśmy brzegiem przepaści.

Wabi wzdygnął się na wspomnienie tej okropnej nocy i rozpaczliwej ucieczki z krainy Woongów.

— Pójdziemy tam znowu, ale tym razem za dnia.

— Trzeba będzie nieść cały ładunek brzegiem na przestrzeni sześciu mil — dodał Mukoki.

— Aż dotrzemy do prerii za górskim pasmem, gdzie Mukoki zabił łosia? — spytał Rod.

— Tak — odparł Wabi. — Tamten strumyk zmienił się teraz w rwący potok. Ostatecznie możemy płynąć nim w górę prądu, aż się znajdziemy o jakie osiem mil od starego obozowiska i od chaty, w której znaleźliśmy kościotrupy i mapę z kory brzozonej.

— A stamtąd będziemy musieli nieść zapasy i łódź do rzeczuA stki w parowie — kończył Rodryg. — A potem jedziemy po złoto!

— Tej nocy rozbijemy obóz na dawnym miejscu, u szczytu skał — rzekł Mukoki.

Wabi roześmiał się wesoło i szturchnął Roda w kark.

— Pamiętasz tego wielkiego rysia, którego zabiłeś myśląc, że to Woonga? I jak przestraszyliśmy się wszyscy?! — zawołał.

Rod poczerwieniał na wspomnienie śmieszności, którą się wtedy okrył, i jał pomagać Mukiemu przy wylądowaniu czołna. Obiad i wypoczynek zajęły dwie godziny czasu, po czym chłopcy wzięli czołno na ramiona, a Mukoki pośpieszył przodem, niosąc połowę wspólnego dobytku. Za każdym krokiem grzmot rzeki, przewalającej się wąskim przejściem między skałami, wyraźniej brzmiał im w uszach, a zaledwie uszli pół mili, już mogli się porozumiewać tylko krzycząc. W prawo skalisty mur coraz bardziej zbliżał się do ścieżki, a gdy chłopcy wraz z niesionym ciężarem przedarli się przez osypisko wielkich głazów, ujrzeni tuż przed sobą wąski szlak, wiodący nad samą przepaścią.

U wejścia na tę krawędź stanęli na chwilę, kładąc czołno na ziemi. Po jednej stronie, w odległości zaledwie paru metrów, stok górski wznosił się pionowo wzwyż, tworząc mur wysoki na tysiąc stóp; po drugiej, bliżej jeszcze, ziała przepaść, w głębi której nikał grzmiący potok. A przed nimi skalna ściana i bezdenny parów schodziły się niemal, pozostawiając jedynie ścieżkę szerokości dwu metrów. Twarz Roda zbladła, gdy uprzytomnił sobie po raz pierwszy, jak wielkie niebezpieczeństwo im groziło w czasie owej ciemnej nocy sprzed paru miesięcy. Wabi stał milcząc, z twarzą nieruchomą jak głaz. Z parowu dobiegał ku nim ogłuszający huk zbałwanionych wód, jakby głos strzałów armatnich, raz po raz odbijających od sklepienia grot kamiennych.

— Spójrz tam! — krzyknął Wabi, przykładając wargi do ucha kolegi.

Stał na krawędzi przepaści, a Rod zmusił się, by pójść za nim, chociaż miał wielką ochotę przyłgnąć raczej do skalnej ściany. W ciągu dobrej pół minuty stał jak urzeczony, ale to, na co ze zgrozą patrzył, miało mu zostać w pamięci przez całe życie. O pięćset stóp poniżej wezbrane wiosenne wody wpadały pomiędzy dwa górskie stoki, pieniać się przy tym jak mleko i łomocąc o skały tak gwałtownie, że zdawało się prawie, iż cała ziemia musi drgać od tych zawrotnych uderzeń.

Tu i ówdzie, spośród białych mydlin wystrzelały grzbiety wielkich głazów, jakby nieznanne potwory w szalonej grze biły wody ogonem, rycząc triumfalnie, ilekroć wznosiły łby nad zbałwanioną toń.

Rod błyskawicznie objął to wszystko wzrokiem i cofnął się, cały drżący. Wabi za to ani drgnął. Młody Indianin stał parę minut nieruchomo, patrząc w dół na wspaniałą grę żywiołów, a dzika krew w jego żyłach płynęła szybciej, jak gdyby w odpowiedzi na ten piękny widok. Gdy zwrócił się wreszcie w stronę Roda, jego wargi nie wydały najmniejszego dźwięku, ale oczy lśniły trochę błędnie, jak zwykle gdy krew księżniczki-matki brała górę, a dzika dusza witała gorąco każdy objaw dzikości w przyrodzie. Ani muzyka, ani uczona mowa, ani dzieła ludzkich rąk nie trącały w indiańskim sercu ukrytych strun, lecz podzielała na nie silnie widok wyniosłych gór, ogromnych prerii czy huczących wodospadów.

Ruszyli w dalszą drogę, niosąc czółno na barkach i idąc tuż obok skalnej ściany. Wolno, ostrożnie, przestępując z namysłem każdy kamień czy korzeń mogący spowodować potknięcie, minęli niebezpiecznie wąską ścieżkę, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy znaleźli się na szerszym szlaku, wiodącym w górę zbocza. W godzinę później spotkał ich Mukoki, wracający po resztę bagaży. Wkrótce dotarli do niewielkiej płaszczyny, gdzie obozowali ubiegłej zimy, i położyli czółno tuż obok starego szałas z jedliny.

Wszystko było jak wówczas. Wicher ani śnieg nie zniszczyły ich iglastego schronienia. Widniały jeszcze zwęglone resztki ogniska, kości ogromnego rysia i w pobliżu namiotu wbity w ziemię palik, do którego uwiązano oswojonego wilka, wiernego towarzysza licznych przygód.

Wabi milcząco podszedł do palika. Usiadł obok, oparł dłoń na gładkim drzewie, a gdy spojrzał na Roda, jego oczy były wymowniejsze niż słowa.

— Biedny, stary Wolf!

Rod zawrócił i poszedł na krawędź kamienistego płaskowzgórza, czując na oczach gorącą, wilgotną mgłę. Poniżej, jak daleko biegł wzrokiem, stała się ogromna, tajemnicza równina, sięgająca po Zatokę Hudsona. Kędyś w bezkresnej głuszy przebywał Wolf.

— Co się z nim stało?

Rod mimo woli głośno rzucił to pytanie; z tyłu dobiegła odpowiedź Wabigoona:

— Przyłączył się do stada, Rod. biega po lasach i preriach.

— Biega po lasach i preriach - potwierdził Rod. - nie zapomniał o nas!

Wabi nic nie odrzekł.

X. TAJEMNICZY STRZAŁ

Obaj stali dłuższy czas milcząc i spoglądając na rozległą równinę. Poniżej słała się preria, gdzie Mukoki ubił tańczącego karibu, gdy oni śledzili go z góry. Dalej czerniały gęste smugi boru, przerwane tu i ówdzie nowymi szmatami łąki, i około pół tuzina jezior lśniło czerwono w blaskach zachodzącego słońca. Gdy Rod oglądał ten krajobraz przed paroma miesiącami, widział krainę śniegów i lodów, chłodną, oślepiającą panoramę bieli, która ciągnęła się nieprzerwanie aż do biegun. Teraz ziemia ocknęła się pod czarodziejską różdżką wiosny. W oddali młodzi łowcy złota dojrzeliby błysk strumienia wiodącego do parowu. Zimą był tu mały potoczek, teraz zaś topniejący śnieg nadał wodzie rozmiary rzeki.

Raptem, w odległości dobrej mili, na otwartej polanie ukazały się dwa ciemne kształty. Z tak daleka miały zaledwie wielkość psów. Rod, który myślał wciąż o Wolfie, wykrzyknął:

— To wilki.

Natychmiast jednak spostrzegł się, że mówi głupstwa, i poprawił:

— Łosie!

— Łosza i jej młode — uzupełnił Wabi.

— Skąd wiesz? — spytał Rod.

— O, spójrz teraz! — wykrzyknął młody Indianin, ujmując towarzysza za ramię. — Matka posuwa się przodem i nawet stąd widzę, że idzie skrocza. Łoś nigdy nie biegnie kłusem lub cwałem jak jeleń, ale stąpa wciąż obiema prawymi, to znów obiema lewymi nogami jednocześnie. Zauważ teraz, jak drugie zwierzę skacze. To cielak. Stary łoś nigdy by tego. nie robił.

— Ale oba te stworzenia są niemal równego wzrostu — powątpiewał Rod.

— To dwulatek, prawie tak duży jak matka. W gruncie rzeczy już nie cielak, jest na to za stary. Ale my nazywamy łosia cielakiem, dopóki trzyma się kłępy. Zdarza się, że to trwa pełne trzy lata.

— Idą w naszą stronę — szepnął biały chłopak.

Łoś zawrócił, kierując się ku zboczcu wzgórza, na którego szczycie stali dwaj myśliwi. Wabi pociągnął przyjaciela za osłonę dużej skały; w ten sposób mogli patrzeć, sami nie będąc widziani.

— Bądź cicho! — przestrzegwał. — Idą jeść pąki topoli u podnóża stoku. Poprzednio zahaczyły o strumień, by ugasić pragnienie. Możemy zobaczyć coś ciekawego!!

Zwilżył śliną palec i unióśł go nad głową, używając nieomylnego sposobu traperów dla określenia kierunku wiatru. Nawet gdy ruch powietrza jest minimalny, jedna strona palca wysycha niemal zaraz, podczas gdy druga pozostaje chłodna i wilgotna.

— Wiatr sprzysiągł się wyraźnie przeciw nam — powiedział. — Wieje akurat w stronę łosi. O ile nie stoimy tak wysoko, że nasza woń przeleci nad ich głowami, nie zbliżą się więcej ani na krok.

Upłynęła jeszcze chwila, po czym Rod trącił Wabiego w ramię.

— Są już na odległość strzału.

— Tak, ale nie będziemy strzelali. Nie potrzebujemy mięsa! Kiedy to mówił, łosza stanęła raptownie, a młody Indianin uśmiechnął się pełen zadowolenia.

— O Boże! — szepnął. — Wyczuła nasz odległości ćwierć mili! Widzisz, jak wystawia uszy ku przodowi i unosi łeb ku niebu. Wie, że na górze czyha niebezpieczeństwo! Teraz...

Nie skończył. Kłępa zawróciła nagle i natarła na młodego łosia, jak gdyby pchając go z powrotem. W następnej chwili oba zwierzęta gnały w kierunku północnym, przy czym cielak umykał przodem, a łosza zasłaniała odwrót.

— Kocham łosie! — rzekł Wabi z błyszczącymi oczyma. — Czyś zauważył, Rod, że nigdy do nich nie strzelałem?

— Istotnie, nigdy! Nie zastanawiałem się zresztą nad tym. A dlaczego?

— Przyczyn jest wiele. Oczywiście biłem je nieraz, kiedy gwałtownie potrzebowałem mięsa, ale to sprawiało mi zawsze dużą przykrość. Lwa nazywają królem zwierząt. Otóż ludzie się mylą. Moim zdaniem, jest nim łoś! Widziałeś, jak się zachowała ta kłępa? Najpierw szła przed swym małym, bo w razie napotkania niebezpieczeństwa chciała mu pierwsza stawić czoło. Gdy wyczuła groźbę, pchała cielaka przodem, osłaniając własnym ciałem jego odwrót. Jaki w tym instykt macierzyński! A samiec łośia, cóż to za wspaniałe zwierzę! W czasie rui broni swej samki choćby przed pół tuzinem myśliwych. Jeśli kłępa padnie pierwsza, osłania ją stając między nią a ogniem łowców, grzebie ziemię racicą i błyska wyzywająco oczyma, aż go kule podziurawią jak rzeszoto. Widziałem raz raną kłepę. Gdy umykała kulejąc, jej samiec trzymał się tuż za nią, manewrując tak, by ogień jej nie dosięgnął. Brał za nią wszystkie kule. Zachowywał się tak dzielnie, że nikt nie podejrzewał, ile ma ran, aż wreszcie runął w biegu, cały posieczony strzałami. Ten widok właśnie podziałał na mnie tak silnie, że dałem sobie słowo, iż nie zabiję więcej żadnego łośia, chyba że mnie do tego zmusi konieczność.

Rod milczał. Gdy zwrócił się wreszcie do Wabigoona, łośia i jej mały już zniknęły.

— Cieszę się, żeś mi to opowiedział, Wabi — rzekł. — Każdego dnia uczysz mnie nowych rzeczy. Zabiłem jednego łośia. Nie zrobię tego więcej, chyba że koniecznie będziemy potrzebowali mięsa.

Wrócili do obozu i nim Mukoki nadszedł z resztą dobytku, przygotowania do noclegu były już ukończone. Zgłodniałych czekała wyborna uczta, złożona z soczystej niedźwiedziej polędwicy, kawy i gorących „kamiennych sucharów”, jak Rod nazywał placki zagniecione z mąki, soli i wody, a pieczone na rozpalonych głazach. Po wieczery wszyscy trzej siedzieli dłuższy czas w pobliżu ognia, gdyż powietrze wieczorne zachowało jeszcze pewną świeżość, i rozmawiali przeważnie o Wolfie i jego przygodach. Rod, który w czasie pobytu w Detroit czytał i słyszał wiele fantastycznych opowieści o dzikich zwierzętach, był pewien, że Wolf zauważy ich pobyt w głuszy i wróci do dawnych panów; by potwierdzić to przekonanie, przytaczał podobne wypadki. Wabigoon uprzejmie słuchał jego wywodów, co jest zwyczajem wszystkich Indian, po czym rzekł:

— Takie i podobne historie są zupełnie zmyślane. Kiedy chodziłem wraz z tobą do szkół, czytałem wiele opowiadań o zwierzętach, ale zaledwie parę z nich miało cechy prawdopodobieństwa. Dużo ludzi pisze o życiu puszczy lub prerii, ale zaledwie jeden na stu pisarzy zwiedza prawdziwą knieję. Toteż każą nieraz dzikim zwierzętom wyczyniać niewiarygodne rzeczy.

Rod kiwnął głową.

— Spędziłem tu zaledwie parę miesięcy — rzekł — a jednak widziałem rzeczy bez porównania ciekawsze niż te, o których czytałem kiedykolwiek.

— Oczywiście — przyznał młody Indianin. — Właśnie o tym chciałem mówić. Dzikie zwierzęta to najciekawsze stworzenia na świecie, ale gdyby w miastach opowiadać o ich prawdziwych zwyczajach i przygodach, wywołałoby to tylko uśmiech niedowierzania. Pisarze popełniają zwykle zasadniczy błąd, przypisując zwierzętom ludzkie uczucia i upodabniając je do ludzi. Wolf pozostawał z nami, bo nie znał lepszego życia. Pojmaliśmy go jako małego szczeniaka, ale obaj z Mukim zauważyliśmy nieraz, że w miarę jak rośnie, ogarnia go tęsknota za dzikimi braćmi. Wiedzieliśmy, że ucieknie, nie dziś, to jutro. I nie wróci już do nas nigdy.

Mukoki chrząknął lekko i Rod zwrócił się ku niemu.

— Wierzysz w to, Muki?

— Tak.

— Zwierzęta jednak rozumują — ciągnął dalej Rod, którego bardzo interesowała ta dyskusja. — Mają myśl i pamięć.

— Naturalnie — odparł Wabi. — Czytywałem nieraz opowiadania na tle tak zwanej historii naturalnej, gdzie obracano w żart samą możliwość posiadania przez zwierzęta jakiegokolwiek inteligencji. Pozostawiano im wyłącznie instynkt. Podobne teorie są równie błędne jak i te, które zbyt upodabniają zwierzęta do ludzi. Zwierzęta myślą! Czy przypuszczasz, że ta kłępa w dole nie czyniła żadnych rozważań? Czy nie obmyślała planu działania zastanawiając się, skąd grozi niebezpieczeństwo i gdzie należy uciekać? Ale prócz rozumu dzikie zwierzęta mają również instynkt. Jednym z dowodów jest ich szósty zmysł, tak zwany zmysł orientacji. Przecież niedźwiedź nie nosi z sobą kompasu, a jednali potrafi iść z tej góry na przykład prosto jak strzelił do legowiska oddalonego o sto mil drogi. To jest instynkt!

— Zatem Wolf... — zaczął Rod z namysłem.

— Odnalazł swą gromadę — kończył młody Indianin. Mukoki przemówił cicho, jakby sam do siebie:

— Zimą był śnieg i lód, teraz jest woda. Minęły dwa miesiące. Wolf był oswojony, teraz jest dziki. Tak kazał Wielki Duch. I miał rację!

— Mukoki chciał powiedzieć, że takie jest prawo przyrody — uzupełnił Wabi.

Gdy dwaj Indianie zasnęli omotani w dery, Rod siedział jeszcze przy ogniu dobrą godzinę, nasłuchując i rozmyślając. Potem podszedł do krawędzi płaskowzgórza, aby spojrzeć na wielki wiosenny księżyc, płynący z wolna nad ogromną głuszą. Jakże piękna była ta pustka i jak mało wiedzieli o niej ludzie przebywający wśród cywilizacji! Patrząc na błyski zorzy polarnej, płonącej o wiele dalej, niż kiedykolwiek zaszedł człowiek, Rod pomyślał nagle, że Bóg jest tu chyba bliższy ziemi niż w jakimkolwiek innym kraju. U jego stóp leżał świat smutny i pusty, tajemniczy a milczący, świat, który zdaniem czerwonoskórych mieszkańców zawierał wszelką mądrość i przemawiał głosem Stwórcy. Powstał wiatr i szeptał ponad prerią, przyłączył się do niego szmer drżących pąków topoli, z daleka nadbiegło niskie hukanie sowy. Z wolna powieki Roda opadły i chłopak przyłgął mocniej do skały, przy której siadł poprzednio. Śnił później o tym, na co dziś patrzył. Ogień pomału wygasał, a Wabi i Mukoki spali snem sprawiedliwych.

Rod nie miał pojęcia, jak długo trwała jego drzemka. Zbudził się naraz, a raczej obudził go okropny wrzask, który zabrzmiał mu tuż nad uchem. Próbował krzyknąć, ale język przywarł mu do podniebienia. Co się stało? Czyżby Wabi lub Mukoki...?

O kilka kroków znajdował się wielki złom skały i spoza niego właśnie wypełzł naraz długi, smukły kształt, lśniący srebrzyście w blasku księżyca. Rod wiedział, że ma przed sobą rysia. Ostrożnie sięgnął po karabin, który mu się zsunął pomiędzy kolanami na ziemię, a w tejże chwili ryś wydał ponownie mrozący krew wrzask. Biały chłopak zadygotał jeszcze i teraz, słysząc ten głos, tak bardzo podobny do ludzkiego. Uniósł fuzję. Błysnął ogień, huknął strzał i z obozu doleciał pytający okrzyk. W następnej chwili Rod stał już na nogach, zły, że się pośpieszył niepotrzebnie. Wiedział teraz, że lepiej było obserwować rysia, jednego z najciekawszych nocnych rabusiów tego kraju, i że jego futro nie miało o tej porze żadnej wartości. Ostrożnie podszedł do skały; rysia nie było widać. Okrążył ciemny blok, trzymając broń w pogotowiu. Ryś znikł. Chybił haniebnie!

Wabigoon i Mukoki spotkali go po drugiej stronie skały.

— Nowy Woonga! — zachichotał stary wojownik, robiąc aluzję do niedawnej przygody Roda w tym samym miejscu. — Zabity?

— Chybiony! — odparł Rod. — Ale co to był za głos! Brr! Tym razem położył się obok obydwu

Indian i spał do świtu.

Ranek wstał ciepły i pachnący, pełen obietnic nowego życia, a jego piękno podziało podniecająco na trzech łowców złota, Znikły strachy i złe przeczucia poprzedniego dnia, więc schodzili w dół zbocza śpiewając, gwizdząc i rozmawiając, wesoło. Mukoki, niosąc część ładunku, wyprzedził chłopców dźwigających czołno i nim młodzi uszli dwie mile z sześciu dzielących górę od koryta potoku, spotkał ich już wracając po resztę bagaży. W południe czołno wraz ze wszystkimi zapasami stało nad brzegiem wody, gdzie również urządzono krótki obiedni wypoczynek. Wąska struga, którą Rod niedawno przesadzał jednym skokiem nie maczając nóg, wyrosła na dużą rzekę, a miejscami jej niespokojny nurt potworzył spore zalewiska, podobne do małych stawów. W przeciwieństwie do Ombabiki, rwącej gwałtownie w dół górskiej pochyłości, tu prąd prawie nie istniał, co bardzo ucieszyło wędrowców.

— Nim się ściemni, będziemy już w pobliżu starej chaty — oznajmił Mukoki. — Jeszcze nocą przeniosę tam część bagaży.

W ciągu dwugodzinnego wiosłowania przeciw prądowi Mukoki nie odzywał się prawie wcale, a w miarę jak zbliżali się do miejsca niedawnej utarczki z bandą Woongów, nawet chrząknięciem czy ruchem głowy nie brał udziału w rozmowie dwu młodych. Raz Wabi zaczął znów wspominać Wolfa i Mukoki, siedzący na dziobie czołna, obejrzał się na krótką chwilę, a jego wiosło na mgnienie znieruchomiało w powietrzu. Wabi, zajmujący miejsce na rufie, pochylił się naprzód i znacząco trącił Roda w bok. Biały chłopak zrozumiał. Wiedział, że stary wojownik po Wabim, jego siostrze i być może po nim samym najbardziej kocha Wolfa. Wiedział również, że wspomnienie wszystkiego, co ma jakąś łączność z okropną wilczą tragedią sprzed wielu lat, przyprawia go o lekki obłąd. Gdy łowcy skończyli jazdę w górę 'potoku i przybili do brzegu, Mukoki milcząco rzucił tobół na ramię i ruszył przez prerię. Nie wymówił ani słowa i nie wykonał żadnego znaczącego gestu.

— To nie pomoże — powiedział Wabi, gdy Rod zrobił krok naprzód, jakby chciał doścignąć i wstrzymać myśliwca. — Żadne argumenty nie podziałają teraz na niego. Chce nocą stanąć w naszym dawnym obozie, skąd Wolf kiedyś umknął. Nie wróci, aż rano.

I Mukoki poszedł, ani na chwilę nie odwracając głowy, póki obaj chłopcy nie stracili go z oczu. Ale zaledwie znalazł się poza obrębem ich wzroku, jego zachowanie uległo nagłej i dziwnej zmianie. Rzemień pakunku, który dotąd opasywał mu czoło, spuścił na pierś, przytrzymując go dłonią, co mu pozwoliło swobodnie poruszać głową. Oczy mu płonęły. Chód miał szybki, lecz ostrożny, a każdy krok naprzód łączył z napięciem słuchu — i milczącym oczekiwaniem. Ktoś podglądający z boku starego wojownika, mógł przypuszczać, że idzie on na łowy albo też spodziewa się napadu. A jednak bezpiecznik fuzji Mukiego był zamknięty, świeży trop niedźwiedzia nie wzbudził w nim żadnej ciekawości, a gdy usłyszał w pobliskich krzakach tupot spłoszonego jelenia, tylko jeden raz rzucił wzrokiem w tym kierunku. Nie szukał więc zwierzyny. Nie obawiał się również zasadzki. Ale tam, gdzie grunt był miękki i wilgotny, brnął powoli, nie spuszczając zeń oczu. W jednym z takich miejsc stanął. Przed nim widniały wyraźnie zaznaczone ślady wilczych łap.

Z cichym okrzykiem Mukoki rzucił w trawę pakunek i klęknął. Oczy płonęły mu teraz niesamowitym blaskiem. Jego ruchy, gdy pełzał po miękkim gruncie, zdradzały ślady obłąkania. Oglądał bacznie wilcze tropy, jeden po drugim, przystając dłużej, ilekroć znalazł odcisk przedniej łapy. Właśnie za tę łapę Wolf został niegdyś schwyty w sidła i stracił przy tym dwa palce. Jednak wilk, który tędy przeszedł, nie wykazywał żadnych braków, więc Mukoki wstał wreszcie, a na jego pomarszczonej twarzy widniało wyraźne rozczarowanie.

W ciągu tego popołudnia Mukoki pięciokrotnie padał na kolana obok wilczych tropów i pięciokrotnie błysk nadziei gasł na chwilę w jego oczach. Był zachód słońca, gdy Indianin wszedł na

wzgórza, za którym w kotlinie leżało niewielkie jezioro. Kiedy umieścił swój toból obok zgliszczy starej chaty, na niebie pozostał już tylko słaby błysk zorzy wieczornej. Wypoczywał jakiś czas, nie spuszczać oczu ze zwęglonych szczątków, które zimną były świadkiem ich wysiłków i walk. Dzika krew wrzała w nim na wspomnienie strzelaniny i obłąkanej gonitwy ku płonącej chacie na ratunek Wabigoona. Nagle jego oczy pochwyciły biały błysk przedmiotu odległego zaledwie o pięćdziesiąt kroków. Wstał i podszedł bliżej, chichocząc, pełen okrutnej radości. Woongowie nie zatroszczyli się o pochowanie swego towarzysza; rozrzucone po ziemi kości trupa były na czysto ogryzione przez małe drapieżniki leśne.

Mukoki wrócił do swego pakunku i siadł. Choć zapadała już ciemność, nie próbował naniecić ognia. Przyniósł z sobą żywność, ale nic nie jadł. W lesie gęstniały cienie, a mrok potężniał u podnóża góry. Indianin siedział, wciąż milcząc i nasłuchując. Jęły ku niemu dobiegać głosy nocy, na razie zresztą ciche i nieśmiałe. Ćwierkanie drobnych ptasząt zbudzonych nastaniem ciemności, hukanie sowy, daleki krzyk rysia i plusk wydry nurkującej w jeziorze. Potem wiatr zaczął szeptać wśród iglastych konarów, nucąc starą pieśń głuszy, a Mukoki wyprostował się i spojrzał na czerwoną lunę rozlaną na niebie w miejscu, gdzie spoza gór wypłynął właśnie księżyc. Po chwili wstał, ujął w dłoń fuzję i wdrapał się na szczyt wyniosłości. U jego stóp leżał niezmierny kraj, sięgający do mórz arktycznych. Kędyś w tej dzicy przebywał Wolf.

Księżyc popłynął wyżej. Wydobył z mroku postać starego Indianina, który sztywny jak głaz, stał wsparty plecami o biały, pozbawiony kory pień uschłego drzewa. Raptem Mukoki pochwycił jakiś głos i zwrócił twarz w tę stronę. Dźwięk dobiegł z rumowiska głazów, jakby niewielki kamień, niebacznie trącony, padł na skalisty grunt. W ślad za tym wśród ciemności błysnął ogień i huknął strzał karabinowy.. Mukoki przypadł do ziemi. Teraz zabrzmiał wrzask tak okropny, tak nieludzki, tak przejmujący do szpiku kości, że w odpowiedzi Muki wydał mimo woli głuchy jęk. Leżał potem na ziemi bez ruchu, jakkolwiek strzał go nie dosięgnął. Instynkt raczej niż rozum kazał mu postąpić w ten sposób. Ostrożnie podniósł broń do ramienia. Ale wśród głazów nic się nie poruszyło.

Po chwili z połowy stoku dobiegł znowu ten sam wrzask. Mukoki wiedział, że żadne zwierzę nie wydałoby podobnego dźwięku i że pochodzi on z ust ludzkich, był to jednak najokropniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszał. Zadygotał i kucnął na ziemi, a nieokreślony strach mroził mu krew w żyłach. Głos zaś powtórzył się jeszcze i jeszcze, coraz bardziej oddalony, dochodząc ze stóp wzgórza, z prerii, z parowu, odbity wielokrotnym echem od skalnych ścian, zmuszając do nagłego milczenia inne stwory nocne, szarpiąc lękiem duszę Mukiego. Stary wojownik nie odważył się wykonać najmniejszego ruchu, aż ostatnie echo zamarło w oddaleniu i jedynie senny powiew szeleścił w gałęziach drzew.

XI. KRZYK W PAROWIE

Gdyby Mukoki był białym, poddałby niesamowity krzyk surowej analizie. Lecz jego światem była dzika knieja, w tej zaś kniei po dziś dzień nie rozbrzmiewają podobnie ani głosy ludzkie, ani zwierzęce. Toteż stary Indianin przetrwał całą godzinę skulony na jednym miejscu, drżąc w dalszym ciągu z wielkiej trwogi i próżno starając się zrozumieć to, co zaszło. Wreszcie z wolna ją! przychodzić do siebie. Ostatecznie od szeregu lat obracał się w towarzystwie białych mieszkańców faktorii i rozsądek począł w nim zwalczać zabobony czerwonej rasy.

Strzelano do niego! Słyszał śpiewny gwizd kuli ponad głową i jej uderzenie o drzewo, o które był oparty. W tych skałach, od których nie mógł teraz oderwać wzroku, przez pewien czas krył się człowiek. Ale co za człowiek? Przebiegał pamięcią starodawne bojowe okrzyki swego plemienia, lecz nic nie przypominało wrzasków, które wybuchły po strzale. Słyszał je nadal. Brzmiały mu w uszach, powodując przykry dreszcz. A im bardziej starał się coś pojąć, tym głębsza ogarniała go trwoga, aż niby ścigany zwierz przemknął chyłkiem w dół stoku, minął kotlinę i znalazł się na łące. Wciąż gnany niewysłowionym lękiem, śpieszył wstecz, własnym szlakiem, i nie spoczął ani chwili, nim nie znalazł się przy obozowym ognisku obu chłopców.

Zazwyczaj każdy Indianin zataja swój lęk; ukrywa go tak głęboko, jak biały ukrywa własne grzechy. Lecz dzisiejsza przygoda Mukiego wykroczyła poza obręb zwykłych zdarzeń, więc cały drżący, oglądając się trwożnie za lada dźwiękiem, opowiedział, co zaszło. Rod i Wabi słuchali w milczącym zdumieniu.

— Czy to mógł być Woonga? — spytał Wabi.

— Nie! — odparł stanowczo stary Indianin. — Woongowie nie wydają takich dźwięków.

Odsunął się od ognia i owinięty w koc ułożył się pod szaląsem, który obaj chłopcy zbudowali poprzednio. Rod i Wabi spojrzeli po sobie milcząc.

— Mukoki miał bezsprzecznie jakąś niezwykłą przygodę — przemówił wreszcie Wabi. — Nigdy go nie widziałem w takim nastroju. Łatwo odgadnąć powód strzału. Woongowie mogą się jeszcze włóczyć w tych stronach. Jeden z nich dostrzegł Mukiego i dał ognia. Ale ten krzyk! Co o nim myślisz?

— Czy nie sądzisz — Rod przyłożył niemal wargi do ucha towarzysza — że Muki był tej nocy pod wpływem bujnej wyobraźni? Przerwał na moment, gdyż dojrzał w oczach Wabigoona wyraźne niezadowolenie. Po chwili mówił dalej:

— Nie sądzę bynajmniej, że koloryzuje rozmyślnie. Stał na wzgórzu... Raptem błysnął ogień, gruchnął strzał i kula gwizdnęła mu nad głową. A w tej samej chwili lub w sekundę później... Pamiętasz wrzask rysia?

— Przypuszczasz, że to uciekał ryś, przerażony wystrzałem?

— Tak.

— Wykluczone! Na głos strzału ryś, przeciwnie, milczałby jak martwy.

— Bywają wyjątki — upierał się biały chłopak.

— W tym wypadku — nie! Przy tym żadne zwierzę nie wydaje podobnych dźwięków. Mukoki jest odważny jak lew. Krzyk rysia uradowałby go, a nie nastraszył. Tymczasem to coś zupełnie wytrąciło go z równowagi. Stchórzył i biegł, biegł póty, aż trafił do nas. A ucieczka nie leży w charakterze Mukiego. Mówię ci, te krzyki...

— Co?

— Te krzyki były zupełnie niezwykłe — kończył Wabi wstając. — Może jutro dowiemy się

czegoś więcej. Tej nocy jednak, sędzę, należy trzymać straż. Położę się pierwszy, a po pewnym czasie możesz mnie zbudzić.

Słowa Wabiego i jego dziwne zachowanie poważnie zaniepokoiły Roda. Ledwie pozostał sam przy ogniu, pomimo niedawnych rozważań doznał przykrego uczucia grożącego niebezpieczeństwa. Na razie siedział bardzo spokojnie, starając się zajrzeć w głąb gęstych ciemności zalegających przestrzeń poza obrębem świetnego koliska i nasłuchując dźwięków nocy. Mózg jego pracował bez przerwy, rozważając, co właściwie może go spotkać, aż wreszcie Rod wstał i ukrył się w ciemnej gęstwie krzaków. Stąd mógł doskonale obserwować obóz, a jednocześnie był zabezpieczony na wypadek strzału.

Noc upływała niezwykle wolno i Rod był szczęśliwy, gdy wreszcie Wabi przyszedł go zastąpić. O brzasku młody Indianin z kolei zbudził białego chłopca. Mukoki już wstał i przygotowywał swój ładunek. Na pozór odzyskał dawny spokój, lecz Rod i Wabi dobrze widzieli, że trwoga ubiegłej nocy nie opuściła go jeszcze. Tego ranka nie wyprzedzał już obu chłopców, ale szedł wraz z nimi, odpoczywając, gdy na chwilę kładli czołno na ziemi, i ani na moment nie spuszczał badawczych oczu z dalekiego widnokregu. Raz, kiedy Mukoki wspiał się na skałę, by objąć wzrokiem szerszy horyzont, Wabi szepnął:

— Mówię ci, Rod, że to dziwne, bardzo dziwne!

W godzinę później stary wojownik stanął i rzucił toból w trawę. Zbliżyli się już do kotliny na odległość ćwierć mili.

— Zostawcie tutaj czołno — rzekł. — Podejdziemy ostrożnie do zgliszcz chaty. Może uda się co zobaczyć?

Ruszył teraz przodem, a chłopcy szli jak najbliżej za nim, Mukoki odsunął bezpiecznik fuzji i za jego przykładem obaj młodzi przygotowali broń do strzału. Gdy dotarli do szczytu wzgórza, na którym usiłowano zabić Mukiego, podniecenie Rodryga i Wabigoona dosięgło kresu. I oni również odczuwali niejasny lęk. Wabi niejednokrotnie widywał starego Indianina w chwilach śmiertelnej grozy, nigdy jednak, nawet gdy rozwścieczeni Woongowie deptali im po piętach, nie zauważył w nim tak silnego napięcia nerwów. Mukoki przystawał, raz po raz patrząc i nasłuchując. Najmniejsza gałązka nie trzasnęła pod jego stopami obutymi w miękkie mokasyny. Byle świergot ptaka, drżenie krzaków, skok królika osadzały go na miejscu, z bronią uniesioną do ramienia. Rod i Wabi uczyli wkrótce, że ich również ogarnia przerażenie. Co za potężna obawa żarła duszę Mukiego? Czy widział coś, o czym nie chce im powiedzieć? Czy ma jakieś podejrzenie, którego nie zamierza wyjawić?

Krok za krokiem dotarli do wierzchołka góry. Tu Mukoki wyprostował się i stał tak parę chwil. W krąg nic nie zdradzało obecności żywej istoty. W dole, pośród kotliny gnieździło się jezioro, lśniąc w słonecznym blasku. Rozróżniali szczątki zwęglonej chaty, w której spędzili łowiecki sezon, a tuż obok zgliszcz leżał toból pozostawiony nocą przez Mukiego. Nikt go nie ruszył. Twarz Wabiego wy pogodziła się. Na wargach Roda zaigrał uśmiech. Czegoż mieli się obawiać? Pytająco spojrzeli na Mukiego,

— Tam skały, a tu drzewo! — rzekł Indianin w odpowiedzi na badawczy wzrok chłopców. — Tędy uciekał on! — wskazał dłonią łąkę. Wabi podszedł do drzewa.

— Spójrz, Rod! — zawołał. — Na Boga, o mało, a byłby trafił! — wskazał palcem niewielką dziurkę, dobrze widoczną na białej, pozbawionej kory powierzchni pnia. — Stań tu, Muld — prosił, gdy jego towarzysze podeszli bliżej. — Tak jak stałeś nocą, plecami oparty o drzewo. Ten ktoś mierzył w głowę i zgórował zaledwie o dwa cale. Nic dziwnego, że wzięłeś krzyk rysia za coś zupełnie innego.

— To nie był ryś — burknął Mukoki, a twarz mu pociemniała.

— Wstydz się, stary! — parsknął śmiechem czerwonoskóry chłopak. — Nie gniewaj się. Już nie będę o tym mówił, jeśli to ciebie tak bardzo złości.

Rod wy dobył z pochwy swój nóż myśliwski i zagłębił ostrze w dziurce wyżłobionej przez kulę.

— Czuję ją — powiedział — jest za ledwie w odległości cala.

— To ciekawe! — wykrzyknął Wabi, stając tuż obok przyjaciela. — Powinna była przebić drzewo przynajmniej do połowy pnia. Ech, Muki, nie zrobiłaby ci chyba zbyt wielkiej krzywdy!

Urwał. Rod, odwrócił się właśnie z nagłym okrzykiem. Wyciągnął ku niemu nóż uniesiony ostrzem ku górze i wskazywał je palcem swobodnej ręki. Wzrok Wabigoona padł na koniec ostrza. Mukoki wytrzeszczył oczy. Dobrze pół minuty stali wszyscy trzej w milczącym zdumieniu. Przylepiona do czubka stali . widniała drobna, żółta kruszyna, jaskrawo błyszcząc w promieniach słońca, gdy Rod obracał nóż w tę lub ową stronę.

— Znowu złota kula!

Słowa te wymówił Wabi bardzo wolno, a tak cicho, że były niemal szeptem. Mukoki prawie przestał oddychać. Rod patrzył w oczy starego wojownika.

— Co to ma znaczyć?

Wabi wyjął nóż z pochwy i dłubał w drzewie. Starczyło parę głębokich cięć i złota kula została wydobyta na zewnątrz.

— Co to ma znaczyć? — powtórzy} biały chłopak. Ponownie zwracał pytanie w stronę Mukiego.

— Człowiek, który strzelił do niedźwiedzia, nie umarł — odpowiedział stary myśliwiec. — Ta sama fuzja, to samo złoto, to samo...

— Co?

W oczach Mukiego zalśnił na mgnienie dziwny ogień. Nie kończąc zdania odwrócił się i wskazał palcem łąkę leżącą między nimi a tajemniczym parowem, który miał ich wieść na zdobycie skarbu.

— Krzyk poszedł tędy — rzekł krótko.

— Do parowu! — podkreślił Wabi.

— Do parowu! — powtórzył Rod.

Trzej łowcy złota, pchnięci tą samą myślą, ruszyli w kierunku rumowiska głazów, spośród którego padł tajemniczy strzał. Byli pewni, że jeśli nie odnajdą tam żadnych śladów, to bez wątpienia wykryją coś na łące poniżej, gdzie topniejący śnieg znacznie zmiękczył ziemię. Mukoki kierował poszukiwaniami i krok za krokiem badali miejsce, z którego tajemniczy strzelec posłał złotą kulę.

Nie pozostał tu jednak najmniejszy dowód jego bytności. Trzej przyjaciele, wciąż sunąc naprzód, zaczęli schodzić w dół zbocza. Za ledwie uszli trzecią część drogi dzielącej ich od równiny, gdy Wabi, który badał trop, idąc pomiędzy Rodem a Mukokim, krzyknął głośno, oznajmiając ciekawe odkrycie. Stary Indianin zbliżył się pierwszy, po nim nadbiegł Rod i obaj stanęli, spoglądając na jakiś siwy pęczek powiewający na gałęzi krzaka.

— Sierść rysia! — zawołał Rod. — Tędy przeszedł ryś! Nie zdołał ukryć triumfalnego brzmienia głosu. Miał więc rację dowodząc, że to ryś wydał ów wrzask, który tak przeraził Mukiego.

— Tak, tędy przeszedł ryś! Ryś mający cztery stopy wysokości — rzekł Wabi spokojnie, a lekki odcień ironii w jego słowach pouczył Roda, że musi jeszcze poznać wiele tajemnic dzikiego bytu.

— Zatem to jest... — Rod bał się dokończyć.

— Rysie futro, oczywiście! ktokolwiek strzelał do Mukiego ubiegłej nocy, był odziany w rysią skórę. Ale czy możesz mi wyjaśnić, co to znaczy?

Wabi, nie czekając na odpowiedź, przystąpił do dalszych poszukiwań. Lecz stok górski nie zdradził już żadnych innych śladów. I na łące nie znaleziono ludzkiego tropu. Gdyby tajemniczy osobnik, strzelający złotymi kulami, ze szczytu góry skoczył w przestrzeń, bez wątpienia zostałaby po

nim równie znikoma ilość danych. Po upływie godziny Rod i jego towarzysze wrócili do czołna, przenieśli wszystkie zapasy oraz narzędzia do kotliny i zabrali się do przyrządzania posiłku. Ich podniecenie i obawy, a szczególnie trwoga Mukiego znacznie osłabły. Równocześnie jednak stali wobec zagadki coraz to trudniejszej do rozwiązania. Czuli dobrze, że mają przed sobą niebezpieczeństwo, że groźba złotych kul nadal istnieje, ale światło dnia i logiczne wnioskowanie rozproszyły przesadną groźbę ubiegłej nocy, więc spoglądali znów w przyszłość z dawną ufnością i spokojem.

— To zdarzenie nie powinno opóźnić naszej podróży — odezwał się Wabi, gdy siedzieli przy obiedzie. — Przed nocą musimy stanąć u wejścia do parowu, tam gdzie zeszłej zimy trzymaliśmy w szachu Woongów. Im prędzej ustąpimy z drogi złotym kulom, tym lepiej będzie dla nas. Mukoki wzruszył ramionami.

— Złote kule pójdą za nami — mruknął. — Krzyk biegł w kierunku parowu.

— A ja wątpię, żeby ten jegomość, kim by nie był, czepiał się jak smoła naszych śladów! — ciągnął Wabi, mrugając znacząco w stronę Roda.

W chwilę później udało mu się szepnąć na ucho białego chłopca.

— Rod, musimy wybić z głowy Mukiego myśl o tym wrzasku, inaczej nigdy nie odnajdziemy naszego złota.

A gdy Mukoki był zajęty układaniem tobołów, Wabi poważnie przemówił do przyjaciela:

— Muki nie boi się kul, ani ołowianych, ani złotych. Muki nie boi się niczego. Ale ten wrzask prześladowuje go jak zmora. Ukrywa to przed nami, a jednak wciąż o nim myśli. Czy wiesz, co on sobie wyobraża? Nie? A ja wiem! Muki jest przesądny jak wszyscy z jego rasy. Dwie złote kule, okropny dźwięk głosu i fakt, że na łące nie napotkaliśmy żadnych śladów, przekonały go, że dziwna istota, która strzelała, to...

Wabigoon urwał i otarł spoconą twarz; Rod zauważył bez trudu, że jego kolega stara się pohamować silne wzruszenie.

— Cóż on myśli?

— Nie jestem pewien, to jest, nie jestem jeszcze zupełnie pewien... — ciągnął dalej młody Indianin. — Ale słuchaj!

W jego plemienu istnieje podanie, istniało zawsze, że co parę pokoleń odwiedza ziemię straszny wojownik zesłany przez Wielkiego Ducha, który pobiera od nich daninę krwi. Jest to kara za popełnione niegdyś przestępstwo. Ten wojownik, choć niewidzialny, ma głos tak straszliwy, że góry drżą na jego dźwięk, rzeki wstrzymują bieg, a jego wielki łuk śle złote pociski. Rozumiesz teraz? Zeszłej nocy słyszałem, jak Muki bredził przez sen. Jedno z dwojga: albo musimy znaleźć tego, kto wydaje ów głos, albo też musimy umknąć poza granice jego brzmienia. Złote kule i nieludzkie wrzaski w połączeniu z przesadami Mukiego mogą nam przynieść więcej szkody niż cała horda Woongów. Trzeba się strzec!

— Ależ to wszystko jest jasne jak dzień! — zaprotestował Rod zdumiony. — Człowiek strzelał do niedźwiedzia. Ten sam człowiek strzelał do Mukiego, no i za każdym razem używał złotych kul. To pewne.

— Nie chodzi o człowieka — przerwał Wabi. — Chodzi o ten krzyk. Ale Mukoki już przygotował swój toboł. Ruszajmy co prędzej do parowu!

Tym razem chłopcy dźwigali ciężar większy niż zwykle, gdyż w czołnie umieszczono tę część bagażu, którą normalnie Mukoki przenosił za drugim nawrotem. Szli zatem wolniej niż poprzednio. Dopiero pod wieczór dotarli do szczeliny wiodącej do parowu i gdy ostrożnie schodzili w dół, Rod rozpamiętywał groźne chwile Uciezki przed bandą Woongów i przypominał sobie, jak niedługo

przedtem odnalazł owo zbawienne przejście. W miarę jak trzej łowcy złota wnikali głębiej w milczący mrok tajemniczego jaru, ogarniało ich niemal uczucie trwogi. Gdy stanęli na dnie, bez słowa położyli u nóg dźwigane ciężary i wodzili wzrokiem po czarnych flizach skał, a ich serca były przyśpieszonym rytmem.

Bowiem właśnie od tego miejsca zaczynał się romantyczny szlak, nakreślony przez dawno zmarłych ludzi, szlak, który miał ich dowieść do ukrytego skarbu.

Gdy trzej wędrowcy wypoczywali, mrok w parowie gęstniał. Słońce zapadło za północno-zachodnie bory, a poprzez wąską smugę, którą tworzyły w górze grzbiety skał, wpływało jedynie światło ginącego dnia, próżno usiłując zwalczyć nadchodzącą ciemność. Przez pewien czas trzej przyjaciele w napięciu; śledzili szybkie zapadanie nocy. Co ich czekało w tajemniczej głębi parowu? Dokąd ich ten szlak powiedzie? Rod przypomniał sobie srebrnego lisa i sen, który go nawiedził wtedy, gdy sam jeden badał zagadkowy parów. Wabigoon, błyskając oczyma w nadchodzącym mroku, wspominał ucieczkę przed bandą Woongów. A Mukoki...

Biały chłopak rzucił wzrokiem na starego myśliwca. Mukoki; siedział sztywno, nieruchomy. Głowę miał lekko uniesioną, mięśnie ramion napięte i patrzył w ciemną głębię między ścianami parowu. Rod zadygotał. Wiedział bez pytań, że Mukoki rozpamiętywa tamten krzyk.

W tej samej chwili z czarnego chaosu przed nimi dobiegł dźwięk niski i żałosny, jak zawodzenie zimowego wichru wśród gałęzi sosen. Dźwięk ten nabrzmiewał, rósł, zbliżał się, aż przeszedł w krzyk, który wnet pochwyciło echo, powtarzając wielokrotnie wśród ścian parowu i kończąc wreszcie tak okropnym jękiem, że każdy z trzech wędrowców uczuł jak mu krew tężeje w żyłach.

XII. WABI DOKONUJE DZIWNEGO ODKRYCIA

Mukoki pierwszy przerwał milczenie, które zapadło po okropnym wrzasku. Z chrapliwym bulgotaniem w gardle, jakby niewidzialna ręka zdławiła mu krtań, zsunął się z głazu, na którym siedział, i kucnął za nim, kierując lufę karabinu w głąb parowu. Bezpiecznik fuzji Wabigoona szczęknął ostro i młody Indianin zgarbił się tak silnie, że widniał już tylko niby niewyraźny cień w szybko gęstniejącym mroku nocy. Jedyne Rod siedział nadal wyprostowany. Przez chwilę serce prawie w nim zamarło. Potem coś błysnęło mu w mózgu. Wstał cały drżący. Odgadł już pochodzenie przeraźliwego dźwięku. Odkrycia tego nie zawdzięczał zresztą mądrości nabytej w głuszy lasów i prerii. Przeciwnie, jego myśl pomknęła wstecz, ku walce o byt, nędzy wielkich miast i obłąkaniom cywilizacji. Tam leżało rozwiązanie! Zwrócił się do przyjaciół, usiłując mówić, lecz język zeszywniał mu z grozy. Wreszcie wyjąkał:

— To wariat!

Palce Wabiego wpiły mu się w ramię.

— Kto taki?

— Wariat! — powtórzył Rod, usiłując mówić spokojniej. — Człowiek, który ranił niedźwiedzia, strzelał do Mukiego i używa złotych kul, jest obłąkanym, furiatem! Słyszałem już podobne głosy w zakładzie dla wariatów w pobliżu Detroit. On jest...

Słowa zamarły mu na wargach. Wrzask, zwielokrotniony echem, rozbrzmiewał znów w głębi parowu. Tym razem był donioślejszy i stanowczo bliższy. Mukoki przeraźliwie jęknął i chwycił Roda za ramię. Ciemność zatarła na jego twarzy wyraz przerażenia, ale biały chłopak w drzeniu dłoni Indianina wyczuł potężny lęk.

— Obłąkany! Furiat! — zawołał Rod jeszcze raz. Nagle oburącz ścisnął mocno ramiona Mukiego, a gdy Wabi zgiął się ku ziemi, wysuwając naprzód lufę karabinu, krzyknął mu głośno:

— Nie strzelaj!

I znów do Mukiego:

— Nie bądź głupcem, Mukoki! Tam jest człowiek. Człowiek, który bardzo cierpiał i głodował, rozumiesz, głodował póty, aż dostał pomieszania zmysłów. Zabić go to stanowczo gorzej niż popełnić zwykłe morderstwo!

Urwał, a Mukoki, głęboko dysząc, dał krok Wstecz.

— Cierpiał, przymierał głodem i oszalał? — pytał prawie szeptem.

W jednej chwili Wabi skoczył do jego boku.

— Tak, Mukoki, on oszalał tak samo jak nasz huski, kiedy połknął ość rybią. Biali ludzie dostają nieraz obłądu z głodu i pragnienia.

— A nasz Wielki Duch zabrania ich krzywdzić — dodał Rod. — Umieszczamy ich w ogromnych domach, większych niż wszystkie gmachy kompanii razem wzięte, karmimy, ubieramy i dbamy o nich do końca życia. Czyż boisz się wściekłego psa, Muki, lub człowieka, który dostał obłądu?

— Wściekły pies mocno gryzie, więc najczęściej go zabijamy.

— Ale zabijamy dopiero w ostateczności — upierał się Wabi, który wnet pojął kierunek myśli Roda. — Czy nie uratowaliśmy życia naszego huski, wyjąwszy mu jedynie ość z gardła? I tego wariata musimy oszczędzić, bo jest białym tak samo jak Rod. On myśli, że wszyscy ludzie są jego nieprzyjaciółmi. Przecież wściekły pies także widzi wszędzie wrogów. Trzeba się więc go strzec, by nas nie postrzelił, ale nie należy mu robić nic złego!

— Najlepiej będzie, jeśli się nawet nie domyśli, że jesteśmy w parowie — rzekł Rod, zwracając

sirmim wyłącznie do starego Indianina. — Przypuszczalnie ten biedak chce się znów wydostać na łąkę i obierze przejście tędy. Usuńmy się mu z drogi.

Gdy chłopcy podeszli bliżej czółna, ręce ich się spotkały i Wabi drgnął, czując lodowate zimno dłoni. Roda.

— Przekonaliśmy Mukiego — rzekł. — Nie będzie strzelał. Ale...

— Może my sami będziemy do tego zmuszeni — kończył Rod. — Ale tylko jeśli będzie szło o śmierć lub życie!

— Brr... — zadygotał młody Indianin.

— Jeśli nie odnajdzie nas dzisiaj nocy, jutro zejdziemy mu z drogi — ciągnął Rod. — Musimy milczeć i nie palić ognia. Trzeba zachować absolutną ciszę.

Ukryli wszystkie swoje rzeczy w skalnych rozpadlinach, po czym Wabi zajął miejsce obok starego Indianina i długi czas szeptał mu coś na ucho. Wreszcie podszedł do Roda.

— Muki już rozumie. Nigdy dotąd nie widział wariata ani nie słyszał o takim człowieku, więc trudno mu było pojąć. Ale teraz wie.

— Tss-ss!

— Co takiego?

— Zdawało mi się, że coś słyszę — dyszał Rod. — A ty?

— Nie, nic.

Obaj nasłuchiwali. W parowie panowała teraz przeraźliwa cisza, przerywana jedynie monotonnym chlupotem bieżącej wody. W tej ciszy myśliwi łowili bez trudu nierówne bicie swych serc. Minuty mijały z powolnością godzin. Rod napinał słuch do najwyższych granic; jego oczy, wyteżone aż do bólu, starały się przebić oponę mroku. Co chwila spodziewał się usłyszeć znowu okropny wrzask, tym razem o wiele bliżej niż poprzednio, i gotował się na jego przyjęcie. Lecz płynęły sekundy i minuty, a głos milczał i na kamienistym dnie jaru nie brzmiał tupot biegnących nóg. Czyżby obłąkany obrał inną drogę? Czy zaszył się głębiej w mroczne tajniki górzystej krainy?

— Musiałem się omylić — szepnął biały chłopak. — Jak sądzisz, Wabi, może by wyciągnąć nasze koce?

— Oczywiście! Dlaczegoż nie mamy przenocować możliwie ' wygodnie? — odparł młody Indianin. — Siądź tu i nasłuchuj, a ja rozpakuję toból.

Cicho podszedł do Mukiego, który trwał w milczeniu, oparty o skałę, i Rod usłyszał skrzyp rozplątywanych rzemieni. Po chwili Wabi wrócił i obaj chłopcy rozesłali koce u stóp głązów, na których siedzieli poprzednio. Żaden jednak nie miał ochoty spać, choć obaj byli śmiertelnie znużeni wyczerpującym marszem ubiegłego dnia. Siedli tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, przy czym Rod niepostrzeżenie wyjął z futerału swój rewolwer, po cichu odsunął bezpiecznik i umieścił broń tak, że w każdej chwili mógł wyczuć palcami jej chłodny dotyk. Wiedział, iż z nich trzech tylko on jeden zdaje sobie dobrze sprawę z grozy sytuacji.

Muki, mało wnikliwy, gdy szło o zjawiska nie dotyczące życia kniei, przyjął bezkrytycznie tłumaczenie obu chłopców. Wabi, półkrwi Indianin, dostrzegał niebezpieczeństwo jedynie tam, gdzie przeważała siła fizyczna. Rod widział położenie w innym świetle. W cywilizowanych środowiskach pojawienie się obłąkanej istoty budzi grozę. Tu zaś niebezpieczny furiat miał nieograniczoną swobodę ruchów. Być może, właśnie w tej chwili z odległości zaledwie paru stóp podsłuchuje ich rozmowy i łowi ich oddech. Lada moment może wychynąć z mroku ciemny kształt, a ręce, jak szpony, mogą chwycić czyjeś gardło. Rod w przeciwieństwie do Wabiego wiedział, że dziwaczny mieszkaniec kniei niejednego potrafi dokonać. Może gnać nocą cicho i szybko jak dziki zwierz, a nawet, kto wie, węszy lub wyczuwa ich obecność na znaczną odległość. Pragnął niemal, by krzyk

zabrział ponownie. Co oznacza ta cisza? Czy wariat wie, że oni się tu znajdują? Czy pełnie właśnie ku nim bezszelestnie jak ów mrok, co opasał obóz nieprzeniknionym kręgiem ciemności? Jego umysł zapełniały żywe mury, tak że drgnął silnie, gdy Wabi łagodnie ujął go za ramię.

— Spójrz na tamtą stronę parowu — szepnął. — Widzisz blask na skalnej ścianie?

— To księżyc — odparł Rod.

— Tak. Śledzę go już od dawna. Wynurzy się wkrótce przez tę szczybę w górze. Za piętnaście minut oświetli parów o tyle, że można będzie coś widzieć.

— Gdy zrówna się ze szczybą, będzie już płynął znacznie wolniej — rzekł Rod. — Widzisz, jak światło się wydłuża. Będzie można widzieć otoczenie w ciągu dobrych paru godzin.

Poruszył się, by wstać, i opadł wstecz ze zdławionym okrzykiem. Wrzask obłąkańca zabrzmiał po raz trzeci, tym razem w tyle, poza nimi, dochodząc z równiny zalanej księżycowym światłem.

— Wyminął nas! — zawołał Wabi. — Przemknął obok i nie słyszeliśmy go wcale!

Skoczył na równe nogi i w podnieceniu krzyczał tak głośno, że echo setki razy powtórzyło ten sam okrzyk.

Z mroku dobiegły dziwacznie brzmiące słowa Mukiego:

— Żaden człowiek nie potrafiłby tak wołać. Żaden żywy człowiek!

— Dosyć! — skomenderował Rod. — Pora na nas, chłopcy! Prędko, nieśmy wszystko na brzeg potoku. Dzieli nas zaledwie pół mili, więc możemy tam stanąć, nim obłąkany zawróci. Wolę spotkać po nocy parę skalnych progów niż dostać złotą kulę!

— Ja również! — krzyknął Wabi.

Wszyscy trzej zabrali się do pracy tak gorliwie, jakby od pośpiechu zależało ich życie. Mukoki ruszył przodem, dźwigając ciężki toból, a chłopcy dążyli tuż za nim, niosąc czółno wraz w resztą pakunków. Znajomość parowu pozwoliła im łatwo wybrać najbliższą drogę, tak iż w dziesięć minut później stanęli nad brzegiem potoku. Mukoki bez chwili wahania cisnął toból na ziemię i skoczył w wodę. Brzeg księżycowej tarczy ukazał się właśnie nad południową krawędzią skał i przy świetle miesiąca Rod i Wabi mogli dojrzeć, że nurt potoku rwie z ogromną szybkością, omywając nogi Mukiego aż po kolana.

— Niezbyt głęboko — odezwał się Indianin. — Skały!

— Szedłem wzdłuż tego potoku około sześciu mil — przerwał Rod. — Dno ma gładkie jak podłoga. Na tej przestrzeni w każdym razie możemy nie obawiać się skał podwodnych.

Nie ukrywał radości na myśl, że mogą wydobyć się wreszcie z trudnej sytuacji. Gdy czółno spuszczone na wodę, Mukoki równomiernie rozmieścił w nim bagaże i wsiadł ostatni, jak zwykle sadowiąc się na rufie, gdzie najlepiej mógł wyzyskać silny rozmach wiosła. W jednej chwili wartki prąd pochwycił lekkie czółno i niezwykle szybko poniósł naprzód. Wabi, tkwiąc na dziobie statku, dał parę uderzeń wiosłem i rozczarowany kucnął na dnie.

— Cała nadzieja w tobie, Muki! — zawołał półgłosem. — Nic tu nie mogę poradzić. Prąd jest zbyt gwałtowny. Staraj się chociaż utrzymać dziób prosto.

Światło księżycyca zalewało teraz parów i trzej łowcy złota mogli widzieć na dobre sto jardów przed sobą. Potok stawał się z każdą chwilą szybszy i szerszy, a Wabi zmierzył wiosłem, że głębia jego wciąż rośnie. Wreszcie nie mógł już sięgnąć dna. Oczy Roda bezustannie tropiły na brzegu znajome zarysy głazów czy skał. Był pewien, że poznaje miejsce, gdzie zabił srebrnego lisa, i zwrócił na to uwagę Wabigoona. Potem prąd jeszcze zdwoił pęd, a gdy księżyc uniósł się bardziej ku górze, można było dojrzeć, jak od głównego koryta odbiegają na boki liczne drobne strugi, pieniać się i błyszczać pośród chaosu głazów. Im dalej, tym było ich więcej, aż Mukoki, czując, jak czółnem szarpia sprzeczne prądy, poprosił Roda i Wabiego o pomoc. Raptem Rod wydał stłumiony okrzyk,

gdyż łódź niby strzała minęła wielki blok skalny, sterzcący z prawej strony łożyska.

— Tu właśnie obozowałem tamtej nocy, gdy śniłem, o walczących szkieletach! — wołał. — Nie mam pojęcia, jak potok wygląda dalej. Ostrożnie!

Wabi dał rozpaczliwe pchnięcie wiosłem i garb czarnego głazu uniknął wstecz, w odległości zaledwie paru stóp od czoła.

— Przed nami ciemno jak w lochu i słyszę wodę ryczącą wśród skał! — krzyknął Wabi. — Do brzegu, Muki! Jeśli potrafisz, do brzegu, Muki! Do brzegu!

W tej chwili rozległ się trzask pękającego drzewa i Muki wrzasnął rozpaczliwie. Jego wiosło pękło tuż u rękojeści. Rod błyskawicznie zrozumiał, co się stało, i szybko podał mu swoje, ale nawet sekunda bezczynności okazała się zgubna. Łódź pozbawiona kierownictwa stanęła bokiem do prądu, a jednocześnie zabrzmiał ostrzegawczy krzyk Wabigoona:

— To nie skały, to wir! — wołał. — Do brzegu! Prędeż do brzegu!

Wparł głęboko wiosło w rwący nurt, a Mukoki wyteżył całą siłę ramion. Było jednak za późno. O sto stóp na przędzie potok wpadał między dwie olbrzymie skały i tuż za nimi Rod ujrzał skłębiony wir, okryty bryzgami piany, białej jak mleko w księżycowym świetle. Trwało to zaledwie mgnienie oka. Czółno strzeliło między skały z zadziwiającą szybkością i gdy na twarze myśliwych lunął zwarty deszcz bryzgów, zabrzmiała znów komenda Wabigoona:

— Trzymajcie się czoła!

Rodryg doznał uczucia, jakby na chwilę przestał myśleć. Uszy miał pełne ogłuszających grzmotów. Białe, skłębiony pył zasłaniał wszystko wokół, więc widział tylko własne ręce zaciśnięte na burcie. Potem wiotkie czółno, jak strzała wypuszczona z łuku, okrążyło zębaty skalny blok i Rod mógł znów widzieć.

Wir był tuż. Wabi mówił mu niejednokrotnie o tych zdradzieckich pułapkach zastawianych przez potoki górskie i o niemal pewnej katastrofie, czekającej niefortunnych żeglarzy, których lej porwie w miażdżący obrót. W tym miejscu nurt przynajmniej nie szalał. Białemu chłopcu wydało się na razie, że łódź tkwi niemal bez ruchu na powierzchni czarnej, leniwej cieczy, spokojnej i milczącej. Lecz w pobliżu zobaczył śnieżne ognisko wiru i poprzez łomot potoku rwącego wśród skał dobiegł do jego uszu słaby, syczący dźwięk, który zmroził mu krew w żyłach.

Przyszła mu na myśl opowieść Mukiego o tym, jak pewien Indianin, wessany wirem wiosennym, zginął na miejscu, a jego ciało, szarpane sprzecznymi prądami, krążyło w wodzie cały tydzień. Po raz pierwszy Rod odzyskał zdolność mowy.

— Skaczemy w wodę! — zawołał.

— Trzymaj się czoła!

Wabi z przejęciem krzyknął te trzy wyrazy, lecz sam wyprostował się jednocześnie, jakby gotów do skoku. Silny pęd wód ścieśnionych między skałami zaniósł czółno na najdalszą krawędź śmiertelnej pułapki, lecz gdy bieg osłabł i łódź jęła zbaczać w stronę ssącego leja, młody Indianin znów krzyknął:

— Trzymaj się czoła!

Ledwie te słowa wybiegły z jego ust, już stanął na równe nogi, a w następnej chwili dał szalonego susa w czarną toń leżącą pomiędzy nim a brzegiem. Rod krzyknął i upadł na kolana. Gotów był już skoczyć w ślad za przyjacielem, ale głos Mukiego jak *groźna* komenda utrzymał go na miejscu.

— Trzymaj się czoła!

Teraz nastąpił wstrząs. Dziób łodzi skręcił w stronę brzegu, a rufa zatoczyła tak ostre półkole, że Rod, klęcząc na dnie, omal nie stracił równowagi. W tej chwili obracając głowę zobaczył, że

Mukoki stoi już, a w następnej chwili skacze tak, jak skoczył Wabi. I znów zabrzmiał ostry głos komendy:

— Trzymaj się czółna!

I Rod zaciskał palce na burcie. Wiedział, że dla jakichś niezrozumiałych jeszcze przyczyn ten rozkaz dotyczy wyłącznie jego. Wiedział, że rozpaczliwe skoki obu Indian nie są wywołane tchórzostwem ani trwogą. Lecz dopiero gdy czółno osiadło na lądzie, a on sam chwiejnie wszedł na twarde grunto, uprzytomnił sobie dokładnie, co właściwie zaszło. Trzymając w dłoni sznur, którym wiązano czółno u brzegu, Wabigoon wyzyskał jedyną szansę ratunku. Błyskawicznie objął myślą ostatnią możliwość ocalenia i gdy czółno skłamało się już w stronę groźnego wiru, skoczył dobre siedem stóp w kierunku lądu i namacał nogami dno. Gdyby woda była w tym miejscu choć parę cali głębsza, nastąpiłaby nieunikniona katastrofa.

Wabi stał ciężko dysząc, mokry od stóp do głów, a w świetle księżyca miał twarz tak białą jak kłęb piany w ognisku wiru.

— To się właśnie nazywa zstąpić w krainę cieni i wyjść z niej znów na światło dzienne! — sapał. — Muki, nigdy jeszcze nie byliśmy w podobnych opałach! Wobec tej przygody twoja lawina to fraszka!

Mukoki wywlekał czółno na brzeg pokryty drobnym żwirem, a Rod, mimo że wciąż jeszcze ogłuszony szybkim tempem wypadków, pomagał mu z zapalem.

Okazało się, że trzech łowcy złota znajdują się obecnie w nader ciekawej sytuacji. Noc była od początku pełna niezwykłych przygód, lecz teraz nastąpił szczyt wszystkiego. Uniknęli spotkania z obłąkanym myśliwym, by wpaść w śmiertelne objęcia wiru, obecnie zaś, wydostawszy się szczęśliwie z wodnego piekła, trafili do szczupłej, skalistej pułapki, mogącej ich więzić jeśli nie do końca świata, to w każdym razie aż do opadnięcia wiosennej powodzi. Tuż za nimi, zamykając widnokrąg ciasnym kręgiem, parły w niebo strome, skalne ściany. Jedyny wylot z tej gardzieli wiódł wprost w objęcia groźnego wiru.

Mukoki, rozejrzawszy się nieco, zachichotał ubawiony komizmem sytuacji.

Wabi, głęboko wetknawszy ręce w mokre kieszenie, przyglądał się otaczającym skałom. Potem spojrzał na Roda i uśmiechnął się; wreszcie wpatrzył się w ognisko wiru, aż przeniósł wzrok na widniejący w górze skrawek nieba. W pierwszej chwili sytuacja wydała mu się zabawna, ale gdy powtórnie popatrzył na Roda, uśmiech znikł z jego twarzy.

— Ten wariat bardzo by się cieszył, gdyby nas teraz odnalazł! — szepnął.

Mukoki krążył wolno u podnóża skalnego muru. Przestrzeń ich więzienia miała około pięćdziesięciu stóp średnicy, a nawet najmniejsza szczelina nie dawała możliwości ucieczki. Więzienie było idealnie pewne. Stary myśliwy wrócił do towarzyszy i siadł z głuchym chrząknięciem.

— Trzeba chyba zjeść kolację i wyspać się jak należy — zaproponował głodny Rod. — Tej nocy nie napadnie nas ani zwierz, ani człowiek.

To było pewną pociechą i łowcy złota, najadłszy się na kolację chłodnej niedźwiedziej pieczeni, przygotowali się do snu. Noc była niezwykle ciepła, toteż Wabi i Mukoki rozwiesili mokre ubrania, a spali tylko owinięci w koce. Rod otworzył oczy dopiero wtedy, gdy Wabi przebudził go nad ranem. Obaj Indianie byli już ubrani i najwidoczniej dawno wstali. Gdy Rod podszedł do wody, by umyć twarz i ręce, zdziwił się widząc że wszystkie zapasy umieszczono z powrotem w czółnie, jakby natychmiast po śniadaniu mieli rozpocząć dalszą podróż. Kiedy zaś wrócił na miejsce, gdzie na płaskim gładzie leżały chleb i mięso na ranny posiłek, zauważył, że obaj jego towarzysze są w bardzo radosnym nastroju.

— Wygląda tak, jakbyście się spodziewali zaraz stąd wydostać — rzekł, kiwając głową w stronę

obladowanego czółna.

— Tak — odpowiedział Wabi. — Mamy zamiar przepłynąć przez ten wir.

Roześmiał się widząc na twarzy Roda wyraz niedowierzania.

— Mówię prawdę, przemkniemy jego krawędzią — tłumaczył. — Powiązaliśmy wraz w Mukim wszystkie rzemienie i sznury, biorąc nawet pasy od fuzji, i mamy teraz linę długą na osiemdziesiąt stóp. Po śniadaniu pokażemy ci, jaki z niej zrobimy użytek.

Mało apetyczny posiłek, złożony z resztek niedźwiedziego mięsa, sucharów i zimnej wody, zajął zaledwie parę minut czasu. Potem Wabi ruszył w stronę zrębu ogromnej skały, stanowiącej wschodni mur ich więzienia, wszedł w wodę po kolana i wskazał Rodrygowi cypel lądu, odległy mniej więcej o sześćdziesiąt stóp od miejsca, na którym stali.

— Jeśli nam się uda tam dotrzeć — tłumaczył — możemy później obejść brzegiem niebezpieczne miejsce, aż trafimy znów na spokojne wody. U stóp skał jest znaczna głębina, ale prąd nie wydaje się nazbyt silny. Sądzę, że przeprawa się powiedzie. W każdym razie nic nie ryzykujemy.

Wywlekli czółno na krawędź skał i bez zwłoki spuścili je na wodę. Mukoki, jak zwykle, zajął miejsce na rufie, a Wabi usadowił Roda nieco przed środkowym żebrem.

— Musisz wiosłować wciąż z lewej strony, jak najszybciej i jak najsilniej — doradzał młody Indianin. — Ja pozostanę tutaj, trzymając linę, więc jeśli wir was porwie, będę mógł przyciągnąć czółno z powrotem do brzegu. Rozumiesz?

— Tak. Ale jak ty?

— Och, ja popłynę! — odparł Wabi chwacko. — Nie dbam wcale o taki maleńki wir.

Mukoki zachichotał wesoło, a Rod nie zadawał dalszych pytań, lecz na komendę Wabiego zanurzył wiosło w toni i pracował nim póty, aż łódź wylądowała szczęśliwie na cyplu za skałą. Gdy obejrzał się, Wabi, opasany liną, wszedł już do wody, która mu właśnie sięgała po pierś. Na znak dany przez Mukiego czerwonoskóry chłopak odważnie puścił się w pław i jak wielka, roztrzepotana ryba został wkrótce wywleczony na ląd. Większą część jego odzieży przewieziono w czółnie, więc gdy Wabi przebrał się w suche ubranie, trzech łowcy złota byli znów gotowi do dalszej podróży. Krótka wędrówka brzegiem potoku przywiodła ich nad główne koryto i tu raz jeszcze spuszczone łódź na wodę.

— Jeśli cała podróż będzie tak pełna przygód, chyba nigdy nie odnajdziemy naszego złota — rzekł Wabi, gdy łódź mknęła naprzód, porwana bystrym prądem.

— Obląkany strzelec, wir i skalne więzienie, wszystko w ciągu jednej nocy, to stanowczo więcej, niż można znieść.

— Jest widać sporo prawdy w starym przysłowiu mówiącym, że nieszczęścia zawsze chodzą w parze — odparł Rod. — Teraz za to powinniśmy mieć zupełnie spokojną drogę.

— Możliwe — mruknął Mukoki.

Optymizm Roda był, jak się okazało, usprawiedliwiony, na ten dzień przynajmniej. Aż do południa czółno mknęło szybko w dół parowu, bez żadnych awarii. Potok, któremu z każdą milą przybywało wody spływającej ze szczytów gór, rósł w głąb i wszere, ale tylko od czasu do czasu złom skalny przegradzał drogę czółnu, a pływających pni drzewnych nie napotymano wcale. Gdy poszukiwacze złota przybili do brzegu, chcąc zjeść obiad, byli pewni dwu rzeczy: że umknęli daleko od obląkanego strzelca oraz że w pobliżu winien się znajdować pierwszy wodospad. Wspomnienie przygód w czasie drogi ustąpiło miejsca podnieconemu oczekiwaniu. Pragnęli usłyszeć łomot wodospadu i ujrzeć go wreszcie; był przecie niezbędnym ogniwem łańcucha zdarzeń wiodących ku złotu. Tym razem sporządzono wyborny obiad, a przygotowania do niego i sam posiłek zajęły przeszło godzinę czasu.

Gdy ruszyli dalej, Mukoki zajął zwykle miejsce na rufie i orlim wzrokiem badał skały i góry zasłaniające widok. Po dwugodzinnej jeździe krzyknął i ostrzegawczym gestem uniósł dłoń nad głowę. Wszyscy trzej zaczęli bacznie nasłuchiwać. Poprzez szept potoku słabo dobiegł ich uszu daleki huk spadającej wody.

Zapomnieli teraz o obłąkanym prześladowcy, zapomnieli o wszystkim prócz jednego, że dotarli wreszcie do pierwszego z trzech wodospadów znaczących drogę do kopalni złota. Wabi krzyknął radośnie, a ten głos, odbity echem, powtórzył się kilkakrotnie wśród ścian parowu. Rod także krzyknął ile siły w płucach. Mukoki chichotał jak zwykle, a w parę chwil później dał znak Wabiemu, że należy skierować czołno do brzegu.

— Pójdziemy łądem — tłumaczył. — Prąd jest tu bardzo bystry. Mógłby nas zawlec do wodospadu.

Krótką wędrówka brzegiem doprowadziła ich do wodospadu. Zgodnie z tym, co mówił Mukoki po powrocie z zimowej wycieczki, była to niewielka kaskada, wysoka mniej więcej na dwanaście stóp. Ale ze skalnego skłonu rwał teraz w dół skłębiony wodny chaos. Brzeg był łatwo dostępny i wygodny szlak zawiódł trzech wędrowców do miejsca, gdzie potok płynął znów spokojnym łożyskiem.

Mimo że od rana przebyli przestrzeń czterdziestu mil, ten dzień był jednym z przyjemniejszych i najmniej męczących z całej podróży. Szybki prąd potoku niósł łódź tak wartko, że nie potrzebowali prawie wcale trudzić się wiosłowaniem, a malownicze ściany parowu, bezustannie zmieniające wygląd, miały dla nich wciąż jeszcze nieodparty urok. Już pod wieczór łożysko potoku zmieniło nieco kierunek, dążąc prosto na północ, i właśnie w tym miejscu zauważono doskonałe miejsce na postój. Na przestrzeni dobrego akra leżała falista kotlina, pokryta miękkim białym piaskiem, a u jej krawędzi powódź naniosiła znaczną ilość suchego drzewa.

— Ciekawa kotlina — rzekł Wabi, gdy bliżej gnali czołno. — Wygląda jak...

— Jak jezioro — mruknął Mukoki. — Dawniej było tu jezioro.

— W skrócie potoku nagromadziło się tu tak wiele piachu, że woda już się nie może przedostać do wnętrza — dodał Rod, badawczo przyglądając się okolicy.

Wabi dał kilka kroków wzdłuż brzegu. Nagle stanął, krzyknął głucho i gwałtownymi gestami jął przywoływać towarzyszy. W jego zachowaniu było coś tak dziwnego, że Mukoki i Rod pobiegli pędem.

Gdy stanęli tuż, młody Indianin milcząc wskazał ręką w dół.

Wyraźnie zaznaczony na miękkim piasku, widniał odcisk bosej ludzkiej stopy.

Od tego śladu zdumione oczy trzech wędrowców przesunęły się dalej, ku setkom innych. Wydało się im, że przynajmniej tuzin nagich dzikusów płaszał przed paru godzinami na tym piachu.

Ale Rod, spojrzawszy w kierunku drzewa naniesionego prądem, zobaczył jeszcze coś, co wskazał milcząc, poblady ze wzruszenia.

XIII. TRZECI WODOSPAD

Obaj Indianie spojrzeli w kierunku wskazanym przez Rodryga. Biały chłopak usłyszał wnet za sobą lekki trzask rewolweru Wabigoona i ostry, złośliwy szczęk bezpiecznika fuzji Mukiego.

Spoza drzew wypłynęła ku górze cienka smuzka dymu.

— Ktokolwiek tam jest, bez wątpienia zauważył już naszą obecność — rzekł Wabi po chwili milczenia.

— Chyba że opuścił obóz — szeptem odparł Rod.

— Mieście się na bacności! — przestrzegał Mukoki, gdy szli ostrożnie w kierunku smugi dymu. — Nie wiadomo, kogo tam znajdziemy.

Pierwszy wdrapał się na gmatwaninę drzew i wnet pozwolił sobie na głośne chrząknięcie. Dym bił z na pół zwęglonego pnia, do trzech ćwierci zagrzebanego w popiele i piasku. Rod i jego towarzysze natychmiast pojęli znaczenie tego widoku. Ktoś chciał zachować tłący ogień. Ten lub ci, co stąd odeszli, mieli zamiar wrócić. Odciski nagich stóp krzyżowały się na piasku bardzo gęsto, a tuż obok pnia widniało dużo rozrzuconych kości. Mukoki zaczął je podnosić jedną po drugiej i każdą uważnie oglądał. Podczas gdy Rod i Wabi wciąż błądzili wkoło wzrokiem w ogromnym zdumieniu, niemal oczekując lada chwila ataku hordy dzikusów, stary wojownik już znalazł rozwiązanie zagadki i głośno zwrócił się do towarzyszy.

— Te same stopy — rzekł. — Jeden i ten sam człowiek zostawił wszystkie ślady!

— Wykluczone! — zawołał Wabi. — Tu jest tysiąc tropów.

Mukoki chrząknął i ukląkł.

— On złamał kiedyś wielki palec u lewej nogi. To się wszędzie powtarza. Spójrz.

Wabi, zawstydzony brakiem własnej przenikliwości, przekonał się natychmiast, że stary myśliwiec ma rację. Wielki palec u lewej nogi był o dobre pół cala wygięty na zewnątrz i to kalectwo, wyraźnie odbite na piasku, zostawiało wszędzie jednakowy ślad. Zaledwie obaj chłopcy upewnili się o prawdziwości słów Mukiego, a już zaskoczyła ich nowa wiadomość, bodaj jeszcze dziwniejsza. Mukoki, wyciągając przed siebie dłoń pełną kości, oznajmił:

— Mięso nie jest gotowane ani pieczone. Jedzono je na surowo.

— O Boże! — wyjąkał Rod.

Wabigoon błysnął oczyma, zdradzając, że rozumie, o co chodzi, a gdy spojrział na Roda, biały chłopak również zaczął pojmovać znaczenie tego wszystkiego.

— To musiał być ten wariat!

— Tak!

— I był tu wczoraj!

— Raczej przedwczoraj — rzekł Wabi. Potem zwrócił się do Mukiego: — Ale po co rozkładał ogień, jeśli nie piekł mięsa? — spytał.

Mukoki wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział.

— Bądź co bądź to naprawdę nie było gotowane ani pieczone — powtórzył Wabi, raz jeszcze oglądając kości. — Miejscami widać przylepione do gnatów skrawki surowego mięsa. Może zresztą zrumienił je tylko z wierzchu.

Stary Indianin skinął głową na znak, że to możliwe, po czym jął starannie badać resztki ognia. Na końcu kłody leżały dwa kamienie, jeden płaski, drugi bardzo gładki i owalny. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu, po czym krzyknął głośno:

— Obląkany człowiek robił tu kule! — wołał unosząc kamień ku górze. — Patrzcie, złoto! Złoto!

Chłopcy podbiegli bliżej.

— Patrzcie, złoto! — powtarzał podniecony Mukoki.

Pośrodku płaskiego kamienia widniała lśniąca żółta powłoka. Jeden rzut oka wystarczył, by odtworzyć to, co zaszło. Obląkany myśliwiec, posługując się owalnym kamieniem niby młotkiem, nadawał swoim kulom pożądany kształt. Nie było wątpliwości, że trzej wędrowcy trafili do obozowiska wariata. Wczoraj wieczorem furiat pozostał o pięćdziesiąt mil za nimi. Jak daleko znajdował się teraz? Ogień, tłący pod osłoną popiołu i ziemi, dowodził, że wariat zamierza powrócić, i to prędko. Czy podróżuje tylko dniem czy także nocą? Czy możliwe jest, że znajduje się już gdzieś w pobliżu?

— Przenosi się z miejsca na miejsce z szybkością dzikiego zwierzęcia — rzekł Wabi półgłosem, zwracając się do Roda. — Być może wróci tej nocy?

Mukoki usłyszał i przecząco ruszył głową.

— W rakietach śnieżnych szedłem parowem całe dwa dni — powiedział, nawiązując do swej zimowej wyprawy. — Po skałach nawet w trzy dni nie przejdzie.

— Jeśli Mukoki nie ma żadnych obaw, i ja również jestem spokojny — rzekł Rod. — Możemy rozbić obóz za tym zwałem drzewa, w najdalszym kącie kotliny.

Wabi nie protestował i w ten sposób ustalono położenie obozu. Choć może się to wydawać dziwne, jednak wraz z wykryciem śladów stóp, ogniska, ogryzionych kości i kamieni, z pomocą których obląkany myśliwiec sporządzał złote pociski, Mukoki wyzbył się wszelkiej obawy przed dzikim mieszkańcem parowu. Uwierzył wreszcie, że ma do czynienia tylko z człowiekiem, człowiekiem, „który się wściekł”, i ciekawość zabiła w nim strach. Pewność, z jaką mówił, rozproszyła niepokój obu chłopców i wkrótce sen ogarnął znużonych Wędrowców. Noc przeszła spokojnie i nic nie zakłóciło ich wypoczynku.

O świcie podjęto jazdę w dół parowu. Odkąd potok skręcił ostro na północ, w otaczającym krajobrazie zaszła nagła zmiana. W ciągu godziny miejsce stromych skalnych ścian zajęły stoki okryte zielenią, a od czasu do czasu łowcy złota widzieli po obu stronach szmaragdowe łąki, rozpostarte na przestrzeni paru mil. Wzdłuż brzegów dostrzegali niejednokrotnie ślady licznej zwierzyny, a w ciągu przedpołudnia obserwowali kilka razy pasące się w dali łosie i karibu. Przed paroma miesiącami, gdy wtargnęli w obręb głuszy wyłącznie, by polować i łowić zwierzęta w sidła, ta okolica wywołałaby zachwyt Roda i jego przyjaciół. Teraz jednak zwracali mało uwagi na swe karabiny. Tego ranka wyruszyli zamierzając dotrzeć przed zmierzchem do drugiego wodospadu, toteż z rozczarowaniem raczej niż z radością spostrzegli, że wartki prąd potoku zmienia się w łagodny i równomierny nurt strugi, aż wreszcie przechodzi w spokojną toń szeroko rozlanej rzeki. Zgodnie z mapą, drugi wodospad znajdował się mniej więcej o pięćdziesiąt pięć mil od obozu obląkanego myśliwca. Noc zastała ich przypuszczalnie o piętnaście mil od celu.

Podniecenie nie pozwoliło Rodrygowi zasnąć. Pomimo wysiłku nie mógł odpędzić myśli o zaginionym skarbie. Następnego dnia mieli przecie ruszyć w drogę do trzeciego i ostatniego wodospadu. A potem — złoto! To, że mogli skarbu nie znaleźć, że pół wieku lub więcej mogło zatrzeć ślady pozostawione przez pierwszych odkrywców, ani na chwilę nie podważyło jego wiary.

Następnego ranka pierwszy zerwał się ze snu i pierwszy zajął miejsce w łodzi. Bezustannie natężał słuch, pragnąc pochwycić grzmot spadającej wody. Mijały jednak godziny i żaden nowy dźwięk nie dał się słyszeć. Nadeszło południe. Podróż trwała już sześć godzin i ujechano dwadzieścia pięć mil zamiast piętnastu. Gdzież więc był wodospad?

Gdy po obiedzie podjęli na nowo przerwana wędrowkę, w oczach Wabiego odbijał się wyraźny niepokój. Rod raz po raz spoglądał na mapę, obliczając odległości tak, jak je zapewne obliczał John

Ball, zamordowany Anglik. Bez wątpienia drugi wodospad powinien być już niedaleko. Lecz mijała godzina za godziną, a odbyta droga zostawała za nimi mila za milą. Ujechali trzydzieści mil od miejsca, gdzie zgodnie z mapą wodospad winien się być znajdować. Gdy zarządzono postój, zapadał zmierzch. W ciągu ostatniej godziny Mukoki nie rzekł ani słowa. Wszystkich ogarnęło przygnębienie; choć nikt się nie odezwał, każdy wiedział, co drugiego trapi.

Czy możliwe, że jednak nie udało się im przeniknąć tajemnicy starej mapy?

Im dłużej Rod rozważał ten problem, tym silniejszy strach go ogarniał. Dwaj ludzie, którzy ponieśli śmierć w starej chacie, udawali się ku cywilizacji. Zabrali trochę złota, chąc je wymienić na żywność. Czyż ważyliby się jednocześnie mieć przy sobie plan, tak wyraźnie wskazujący przebyty szlak, jak to czynił prymitywny rysunek na skrawku kory brzozonej? Czy nie należało tu zastosować tajemniczego klucza znanego tylko im dwu, który rozwiązywał zagadnienie?

Mukoki zabrał karabin i znikł wśród prerii rozesełanej nad brzegiem rzeki, a Rod i Wabi, zjadłszy gorącą niedźwiedzią pieczeń, którą popili kawą, rozmawiali długi czas przy świetle obozowego ogniska. Stary Indianin był już nieobecny przeszło godzinę, gdy wtem sponad dolnego biegu rzeki huknął strzał karabinowy, a wnet po nim rozbrzmiały dwa inne. Po chwilowej ciszy znowu nastąpiły strzały.

— To umówiony znak! — krzyknął Rod. — Mukoki nas woła!

Wabi skoczył na równe nogi i pięciokrotnie wypalił w powietrze.

— Słuchaj!

Ledwo echo zamarło w oddaleniu, a już karabin Mukiego huknął na nowo.

Nie tracąc próżno słów, obaj chłopcy skoczyli do czołna, które tym razem nie było jeszcze wyładowane.

— Jest o parę mil od nas w dole rzeki — odezwał się Wabi, gdy odbijali od brzegu. — Ciekaw jestem, co się stało?

— Myślę — odparł Rod, a głos drżał mu podnieceniem — że Muki znalazł drugi wodospad!

Ta nadzieja dodała sił obolałym ramionom i czołno szybko pomknęło w dół rzeki. W kwadrans potem nowe strzały raz jeszcze powtórzyły umówiony sygnał, na co Wabi odpowiedział głośnym okrzykiem. Teraz Mukoki odezwał się donośnym „halo!”, ale nim chłopcy ujrzeni wyniosłą postać starego myśliwca, nowy dźwięk dosięgnął ich uszu. Był to stłumiony grzmot kaskady. Obaj młodzi raz po raz rzucili w mrok nocy wesołe okrzyki, a poprzez ich hałaśliwy dwugłos przedarło się raptem wołanie Mukiego, nakazujące im przybić do brzegu. Stary wojownik spotkał chłopców, zaledwie ci wysiedli na ład..

— Ten jest ogromny! — wołał. — Strasznie grzmi! Niesie moc wody!

— Hura! — Wrzasnął Rod po raz dwudziesty, w podnieceniu wyczyniając dziwne skoki.

— Hura! — wtórował Wabi.

A Mukoki wykrzywił się i chichotał radośnie, trąc jedną o drugą żylaste dłonie.

Wreszcie, gdy nieco ochłonęli, Wabi rzekł:

— Ten John Ball był jednak mało inteligentnym jegomościem)! Co na to powiesz, Rod?

— Albo też był niezwykle sprytny — zaprzeczył Rod. — Podejrzewam, że nie bez pewnego wyrachowania zmienił częściowo skalę na mapie.

Wabi spojrział na niego, niezupełnie pojmując myśl kolegi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że nasz trzeci wodospad znajduje się prawdopodobnie w pobliżu tego. A jeśli tak, to znaczy, że John Ball rozmyślnie pozmieniał odległości. Jeżeli jutro ujrzymy ostatni wodospad, będzie to najlepszym dowodem, że kreślił mapę z zamiarem wprowadzenia kogoś w błąd.

Może nawet miał na myśli swoich dwu kolegów, którzy wyruszyli właśnie w cywilizowane okolice?

— Muki, jak wiele ujechaliśmy? — zapytał Wabigoon.

— Trzy razy więcej, niż dzieliło starą chatę od pierwszego wodospadu — odparł stary Indianin bez namysłu.

— Sto pięćdziesiąt mil w ciągu trzech dni i jednej nocy! Wydaje się, że dobrze oceniłeś odległość. Ale jeśli wierzyć mapie, od trzeciego wodospadu dzieli nas jeszcze sto mil.

— Jednak, moim zdaniem, mamy przed sobą tylko dwadzieścia pięć mil drogi — powiedział Rod z przekonaniem. — Rozpalmy teraz ogień i idźmy spać. Jutro będziemy mieli dość pracy przy poszukiwaniu złota.

Czwartego dnia rozpoczęli podróż jeszcze przed brzaskiem. Posiłek zjedzono przy świetle obozowego ogniska i gdy błysnął świt, jazda trwała już od godziny. Wszyscy byli pełni ufności. Obląkany myśliwiec wraz ze swymi złotymi kulami zupełnie poszedł w niepamięć. Kiedyś Rod, zalękniony, zastanawiał się nad tym, że szlak, którym dążą, może być jednocześnie drogą wariata i że jego cenne pociski stanowią część zaginionego skarbu. Teraz jednak ta możliwość wcale nie zaprzętała mu umysłu. Jego pewność, że wbrew odległościom zaznaczonym na mapie trzeci wodospad znajduje się już w pobliżu, z wolna udzieliła się także dwom Indianom. Ubiegłej nocy Mukoki zmajstrował sobie wiosło, by zamienić to, które pękło, i trzy pary ramion pracowały bez chwili wytchnienia. Wczesnym rankiem w odległości zaledwie stu jardów minęli młodego łosia. Nie padł jednak żaden strzał, gdyż na ćwiartowanie mięsa musieliby stracić godzinę czasu.

Po dwóch godzinach drogi krajobraz począł się znów zmieniać. Ze wschodu i zachodu coraz bardziej zbliżały się dzikie górskie zbocza; z każdą chwilą potok zwężał się i rwał szybciej, aż wreszcie gnał znów między ścianami parowu, który piętrzył nad głowami wędrowców milczące, czarne stoki. Gęste bory czerwonych sosen rzucały zwarty cień przez krawędź parowu, miejscami niemal zupełnie zacierając światło dnia. Ten wąwóz wybitnie różnił się od poprzedniego. Był głębszy, bardziej ponury i mroczny. U stóp jego ścian panowała ciemność niemal równie czarna jak nocą. Królowała milcząca pustka, żaden ptak nie polatywał ani nie świergotał pośród głązów; najciszej wymówione słowo rozlegało się z zadziwiającą wyrazistością. Raz Rod przemówił normalnie i jego głos, nabrawszy mocy obijał się o wyźłobienia skał, jakby to był krzyk. W pewnej chwili przestali wiosłować, a Mukoki wyteżył słuch. Prąd włókł czółno bez szmeru. W półmierzchu twarz Roda lśniła niezwykłą bladością. Mukoki i Wabi wyglądali niby sylwetki z brązu. Zdawać się mogło, że tajemnicza potęga oładnęła nimi, zabraniając mówić, każąc wpatrywać się wprost przed siebie i napawając duszę nieokreślonym uczuciem, przyspieszającym bicie serca i obieg krwi.

Z oddali bardzo słabo dobiegł cichy szmer. Był podobny do szeptu zbudzonego wietrzyka, poruszającego szczyty sosen nad krawędzią jaru, lub do westchnienia. Ale poryw wiatru wśród drzew budzi się i zamiera, jak zamiera dźwięk struny trąconej palcem. A szept płynący z dolnego biegu rzeki trwał. Nie wzrastał gwałtownie, a czasem nawet był tak słaby, że napięty słuch jadących ledwo mógł go pochwycić. Po chwili jednak brzmiał znowu z dawną wyrazistością. Zresztą z wolna stał się bardziej określony. Wabi zwrócił twarz w stronę swych przyjaciół i chociaż nie wymówił ani słowa, oczy lśniły mu podnieceniem. Serce Roda waliło mocno. On również zaczynał rozumieć. Ten zawodzący szept, polatujący nad parowem, nie był szmerem wiatru, lecz dalekim grzmotem trzeciego wodospadu.

Muki przerwał głucho milczenie.

— To jest wodospad!

Wabigoon bąknął coś pod nosem. Wędrowcy nie krzyczeli teraz radośnie jak przy odnalezieniu drugiej kaskady. Nawet Mukoki odzywał się tak cicho, że chłopcy ledwo mogli go słyszeć. O paręset

jardów przed nimi leżał skarb odnaleziony przed pół wiekiem przez dawno zmarłych ludzi. Pośród czarnych skalnych ścian, w ciszy strzegących ukrytego złota, zdawał się istnieć duch tych, którym to złoto przyniosło śmierć.. Kędyś w pobliżu John Ball padł pod ciosami morderców. Na tę myśl Rod uprzytomnił sobie, że na piaszczystym brzegu mogą się niemal natknąć na ślady ludzi, których szkielety butwiały w starej chacie.

Mukoki, nie mówiąc ani słowa, kierował łódź do brzegu. Milcząc w dalszym ciągu, wszyscy trzej ujęli karabiny i Wabi ruszył przodem, wiodąc towarzyszy wzdłuż rzecznej koryta. Rzeka zmieniała się wkrótce w bystry potok, rwący nieustępliwie wśród skał, i trzej wędrowcy pojęli, że wodospad musi być tuż. Jeszcze sto jardów — i biały wodny tuman zamigotał przed ich oczyma. Wabi zaczął biec, a jego stopy obute w mokasyny przenosiły się lekko z głazu na głaz, jak stopy myśliwca podchodzącego zwierzyną. Mukoki i Rod dążyli w ślad za nim.

Przystanęli na krawędzi wyniosłej skały, a pył wodny bił im prosto w twarze. Patrzyli w dół bez tchu. Wodospad nie był duży. Wabi milcząc ocenił jego wysokość na czterdzieści stóp. Lecz właśnie o tyle pogłębiał się w tym miejscu i sam parów, a do jego dna na pozór niepodobną było dotrzeć. Skalne mury były gładkie, czarne, porośłe u podstawy kępami cedrów i brzoź. Nieco dalej przestrzeń między górami rozszerzała się znacznie, a rzeka wylewała na oba brzegi, pieniać się i burząc, zmydlona srebrzyście wśród chaosu skał wygładzonych przez wodę.

Gdzieś tam w dole, o ile mapa mówiła prawdę, leżał złoty skarb, którego szukali. Może wśród tych skał, gdzie woda grzmi i łomocze? Może ukryty w jakiejś ponurej szczelinie ziejącej w zboczu góry, o przemyślnie powikłanym wejściu? Czy znajdą go jednak? Czy go znajdą?

Rod poczuł dławienie w gardle i spojrzał na Wabiego.

Młody Indianin właśnie wyciągnął dłoń. Oczy mu płonęły, cała postać zdradzała niezwykle napięcie.

— Tam stoi chata! — wykrzyknął. — Chata zbudowana przez Johna Balla i dwóch Francuzów! Spójrzcie, pomiędzy tymi cedrami, niemal ukryta w cieniu góry! O Boże, Muki, Rod, czy nie widzicie, czy nie widzicie naprawdę?!

XIV. PAPIER W STAREJ BLASZANCE

Przed oczyma Roda wśród tajemniczego mroku wyrósł z wolna mglisty zarys. Na razie był to tylko cień, potem niby złom skały, aż biały chłopak, odzyskując oddech, krzyknął radośnie, upewniwszy się, że ostre oczy Wabiego wykryły istotnie starą chatę zaznaczoną na mapie. Bo cóż to mogło być innego? Co innego, jeśli nie prymitywna siedziba trzech awanturników: Piotra Plante'a, Henryka Langlois i Johna Balla.

Słyszając radosny głos Roda, Wabigoon wybuchnął entuzjazmem i już w następnej chwili przygniatające milczenie przerwały dzikie wrzaski, które podchwyciło górskie echo. Mukoki, chichocząc i wykrzywając twarz we właściwy sobie dziwaczny sposób, myszkował wzdłuż krawędzi skał, poszukując jakiejś szczyrby, którą mógłby dosięgnąć dna parowu. Po krótkich a bezowocnych wysiłkach miał już skrócić ku górze i tam szukać zejścia, gdy raptem jego uwagę zwrócił szczyt uschłego cedru, wynurzający się z przepaści.

— Może zaryzykować tędy? — zaproponował, lekko wzruszając ramionami na znak, że to nie należy do rzeczy bezpiecznych.

Rod spojrzał. Wierzchołka pnia łatwo było dosięgnąć, a całe drzewo nie miało wcale kory i gałęzi, co zresztą w podnieceniu, w jakim się znajdował, nie wydało mu się bynajmniej nienaturalne. Przerzuciwszy przez ramię pas karabinu, chłopak wyciągnął dłonie, chwycił oburącz smukły szczyt cedru i zanim koledzy mogli wydać głos zachęty lub przestrogi, zjeżdżał w dół ściany parowu, na dno przepaści. Wabi ześliznął się tuż za nim i obaj chłopcy, nie czekając przybycia Mukiego, pomknęli ku chacie. Wpół drogi Wabi stanął.

— To nieładnie! Trzeba poczekać na Mukiego. Spojrzeli wstecz. Mukoki nie dążył za nimi. Stary wojownik

klęczał u stóp uschłego drzewa, jak gdyby poszukując czegoś wśród skał czy korzeni. Potem wstał z wolna i przesunął dłońmi w górę pnia, jak wysoko mógł sięgnąć. Gdy zauważył, że Rod i Wabi go obserwują, podszedł ku nim szybko, a Wabi, który nauczył się czytać myśli przyjaciela z wyrazu jego twarzy, nabrał przekonania, że stary Indianin dokonał ważnego odkrycia.

— Co znalazłeś, Muki?

— Nic takiego. Ale drzewo wydaje mi się dziwne — mruknął Indianin.

— Gładkie i wyslizgane jak słup strażacki — dodał Rod, nie przydając zresztą głębszego znaczenia słowom Mukiego. — Ale słuchajcie!!

Stanął tak nagle, że Wabi, idąc z tyłu, natknął się na niego.

— Słyszałeś?

— Nie, nie!

Na chwilę wszyscy trzej zwarli się bliżej, bacznie nasłuchując. Muki stał za chłopcami, toteż nie dostrzegli, że karabin miał na wpół uniesiony do ramienia i że jego czarne oczy lśniły nie tylko ciekawością. Chata znajdowała się najwyżej o dwadzieścia kroków. Była bardzo stara, tak stara, aż Rod się zdziwił, jak mogła wytrzymać gwałtowne zamiecie ubiegłej zimy. Parę młodych pędów przebiło sobie drogę przez butwiejący dach, a bale, z których zbudowano ściany, były w ostatnim stadium murszenia. Okna brakowało, a gdzie dawniej znajdowały się drzwi, wyrosło drzewo, którego pień miał stopę średnicy, tak że niemal zamykał wąskie przejście. Podeszli znów kilkanaście kroków i stanęli o parę metrów od chaty, gdyż Muki łagodnie położył dłoń na ramieniu Wabigoona. Rod dostrzegł ten ruch i zatrzymał się również. Na twarzy starego Indianina pojawił się szczególny wyraz: połączenie zdziwienia i niewiary, jak gdyby wierzył, a jednocześnie wątpił w to, co oglądają

jego oczy. Milcząc wskazał drzewo rosnące przed drzwiami i rudawy, półzapadły dach, przez który przebijały się młode pędy.

— Czerwona sosna — rzekł wreszcie. — Ta chata stoi od dwudziestu tysięcy lat.

Mukoki używał zawsze liczby dwadzieścia tysięcy, gdy chciał określić rzecz wychodzącą poza zwykłe granice ludzkich pojęć.

W jego głosie brzmiał wyraźny lęk. Rod zrozumiał i ścisnął ramię Wabigoona. Pomyślał o starej chacie, w której znaleźli szkielety. Odnowili ją wówczas i przenieśli w niej zimę, wiedząc z całą pewnością, że powstała mniej więcej przed pół wiekiem. Rudera, którą mieli przed sobą, nie nadawała się wcale do remontu. Rod miał wrażenie, że niszczała setki, a nie dziesiątki lat. Idąc tuż za Wabim, wsunął głowę do wnętrza. Gęsty mrok przeszkadzał im widzieć, lecz w miarę jak przyzwyczajali oczy do ciemności, ściany chaty jeły występować wyraźniej i spostrzegli, iż wszędzie panuje pustka. Brakowało stołu; nie istniał nawet ślad krzesła czy zydelka. Chata była próżna.

Chłopcy obeszlili wkoło ściany, krok za krokiem. Mukoki tylko rzucił okiem do wnętrza i znikł. Znalazłszy się sam otworzył bezpiecznik fuzji. Szybko, jak gdyby obawiając się, że mu coś stanie na przeszkodzie, zatoczył krąg wokół chaty, wiodąc wzrokiem po ziemi. Gdy Rod i Wabi ukazali się w drzwiach, Indianin stał nad brzegiem wodospadu, przygięty nisko do ziemi, jak zwierzę węszące trop. Wabi szarpnął Roda wstecz.

— Spójrz!

Stary wojownik wyprostował się nagle i spojrzał ku nim, ale chłopcy byli już ukryci w mroku wnętrza. Mukoki ruszył więc szybko do martwego cedru. Wyciągnął znów ramiona w górę i potarł dłońmi o gładki pień.

— Przyjrzę się bliżej temu drzewu — szepnął Wabi. — Jest w nim coś, co intryguje Mukiego. Idziesz ze mną?

Pośpieszył przez usianą głazami przestrzeń, ale Rod pozostał w tyle. Nie mógł zrozumieć zachowania się towarzyszy. Od tygodni i miesięcy marzyli o trzecim wodospadzie. Przed ich oczyma wciąż ukazywała się wizja wielkiego skarbu, a gdy znaleźli się tutaj i złoto leżało być może u stóp, zarówno Mukoki, jak i Wabigoon interesowali się bardziej uschłym pniem niż poszukiwaniem bogactwa. Natomiast serce Roda pękało niemal od nadmiaru wzruszeń. Już samo powietrze, którym oddychał w starej chacie, pobudzało jego krew do szybszego biegu. Tu przecież przed pół wiekiem żyli trzej poszukiwacze złota! Może właśnie w tej izbie zginął zamordowany John Ball? Tu spali ludzie, których szkielety próchniały w odległej chacie, tu tworzyli dalsze plany i oceniali zdobyte skarby. Złoto, a nie uschły pień zawładnęło myślami Rodryga Drew. Gdzie leży zaginiony skarb? Z pewnością stara chata kryje klucz tej zagadki, a w każdym razie powie więcej niż biały martwy cedr.

Stojąc w drzwiach, spojrzał w mroczną głąb izby, wyżej oczy, by coś zobaczyć; potem popatrzył na zewnątrz. Wabi dobiegł do pnia i wraz z Mukim klęczał u jego podstawy. Zapewne znaleźli ślady rysia lub niedźwiedzia — pomyślał Rod. O kilka kroków co innego przykuło jego wzrok — zwalona sosna, sucha i ociążała żywicą. Skoczył ku niej i w niespełną minutę wrócił z pochodnią. Niemal bez tchu, dotknął zapaloną zapalką końca smolnego drzewa. Żywica zadymiała i zaskwierczała, potem buchnęła płomieniem, a wtedy Rod uniósł ponad głowę ognistą pochodnię.

Pierwszy rzut oka w głąb chaty rozczarował go bardzo. Dostrzegł jedynie nagie ściany. Potem w najdalszym kącie zauważył coś, co w ruchliwym świetle pochodni zdawało się ciemniejsze niż ściana, i postąpił w tym kierunku. Był to skrawek deski, prymitywna półka, długa zaledwie na stopę, a na niej stało blaszane pudełko, czarne i przeżarte rdzą. Rod ujął je drżącymi palcami. Było lekkie, zapewne puste. Mógł się w nim znajdować pył z resztek tytoniu Johna Balla. Myśląc o tym, Rod zaprzestał naraz poszukiwań i wydał stłumiony okrzyk. Pudełko zwiotczało z biegiem lat i łatwo mógł

je zgnieść w dłoni, a jednak zachowało określony kształt. Jeśli więc ta blaszanka oparła się niszczącemu działaniu czasu, dlaczego nic więcej nie przetrwało po dziś dzień? Gdzie były kociołki i garnczki, wiadro i patelnia, noże, kubki oraz inne przybory, które John Ball i dwaj Francuzi musieli tu niegdyś posiadać?

Gdy wrócił do drzwi, Mukoki i Wabi tkwili wciąż obok uschłego cedru. Nawet błysk światła w starej chacie nie zdołał ich wyrwać z zadumy. Rod odrzucił na bok pochodnię i oderwał wieko blaszanki. Coś mu padło u stóp i gdy podniósł maleńki przedmiot, zobaczył, że jest to zwitek papieru, niemal tak samo bezbarwny jak zardzewiałe pudełeczko, w którym się krył. Rod wyprostował papieraek równie delikatnie, jak niegdyś Mukoki rozwijał cenny skrawek kory brzoźowej. Brzeg pękał i kruszył mu się w palcach, ale środek był biały i bez dziur. Mukoki i Wabi spojrzawszy w tę stronę zobaczyli, jak biały chłopak zwrócił się ku nim z ostrym krzykiem a w następnej chwili biegł co siłą, wrzeszcząc dziko za każdym skokiem.

— Złoto! — wołał. — Złoto! Hura!

Gdy stanął między nimi, wyciągając dłoń ze skrawkiem papieru, płakał prawie z podniecenia.

— Znalazłem to w chacie, w blaszanym pudełeczku! Patrzcie! To ręka Johna Balla, to samo pismo co na starej mapie!

Wabi chwycił papier. I jego oddech stał się szybszy, gdy zobaczył, co zawiera ów skrawek. Widniało tu zaledwie parę linijek pisma, zatartych, ale czytelnych. U góry można było rozróżnić słowa:

Obrachunek Johna Balla, Henryka Langlois oraz Piotra Plante na koniec czerwca 1859 r.

Poniżej stało, co następuje:

Praca Plante'a: złote bryłki — 7 funtów, 9 uncji. Złoty piasek — 1 funt i 3 uncje. Praca Langlois: złote bryłki — 9 funtów, 13 uncji. Złotego piasku — nic. Praca Balla: złote bryłki — 6 funtów, 4 uncje. Złoty piasek: 2. funty i 3 uncje.

Całość: 27 funtów.

Cześć Plante'a: 6 funtów, 12 uncji.

Cześć Langlois: 6 funtów, 12 uncji.

Cześć Balla: 13 funtów, 8 uncji.

Podziału dokonano.

Wabi z wolna i głośno czytał te słowa. Gdy skończył, jego oczy napotkały wzrok Roda. Mukoki siedział wciąż jeszcze w kucki u podnóża pnia i milcząc, jakby zdumiony tym, co słyszy, patrzył na obu chłopców.

— Teraz już nie ma żadnych wątpliwości — odezwał się wreszcie Wabi. Jesteśmy we właściwym miejscu.

— Złoto jest gdzieś w pobliżu!

Rod nie mógł opanować drżenia głosu. Jak gdyby mając nadzieję, że skarb ukaże mu się raptem w postaci stosu złota, zwrócił się w kierunku wodospadu, ku ponurym ścianom parowu, i wyciągnął ramię, kędy potok nabrzmiały powodzią, przesadzając krawędź skał, szalał wśród wirów i piany pomiędzy stokami gór.

— Tam!

— W potoku?

— Tak! Gdzież indziej w pobliżu tej chaty mogli wykryć bryłki rodzimego złota? Przecież nie pod skałami. A złoty pył znajduje się zawsze w piasku strumieni. To tam, bez wątpienia tam!

Obaj Indianie podeszli w ślad za nim nad brzeg potoku.

— Potok rozszerza się tu i staje się bardzo płytki — rzekł Wabi. — Wątpię, żeby o tam, pośrodku, miał więcej niż cztery stopy głębokości. Jak myślicie... — urwał widząc, że Mukoki zwraca się znów w kierunku uschłego drzewa, po czym kończył: — Jak myślicie, może by tak wrócić do czółna po zapasy obiadowe i po patelnię?

Zachwyty, który opanował Wabiego po przeczytaniu kartki znalezionej przez Roda, minął szybko, a gdy stanęli ponownie obok smukłej, białej kolumny sięgającej szczytu zbocza, biały chłopak łatwo zauważył zmianę zaszłą w obu Indianach. Zresztą Rod o tyle powściągnął radość, że zdołał uważnie obejrzeć martwy cedr, tak bardzo interesujący jego przyjaciół. Odkrycie, którego wnet dokonał, wstrząsnęło nim do głębi. Powierzchnia drzewa była nie tylko gładka i pozbawiona konarów, lecz najwidoczniej wypolerowano ją starannie, aż lśniła niby nawoskowany słup. Na chwilę zapomniał o trzymanym w ręku papierze, zapomniał o starej chacie i o bliskości złota. Zdumiony patrzył na Mukiego; stary Indianin wzruszył ramionami.

— Bardzo gładkie i śliskie.

— Bardzo gładkie, w istocie — podkreślił Wabi bez cienia humoru.

— Ale co to znaczy? — pytał Rod.

— To znaczy — ciągnął Wabi — że ten stary pień w ciągu wielu lat służył komuś jako środek komunikacji pomiędzy dnem a górną platformą parowu. Gdyby to był niedźwiedź, istniałyby ślady pazurów. Gdyby to był ryś, powierzchnia pnia byłaby pełna bruzd. Każdy zwierz zostawiłby po sobie szczególne znaki, a żaden nie nadałby drzewu takiego połysku.

— No więc cóż to...?

Rod nie skończył zdania. Mukoki uniósł ramiona do poziomu brody, a Wabi gwizdnął lekko, patrząc w oczy kolegi.

— Nietrudno zgadnąć, co...

— Sądzisz, że...

— Że to jest człowiek! Tylko ludzkie ręce i nogi mogły tak wygładzić pień, ślizgając się w dół i w górę setki i tysiące razy. Ale czy potrafisz zgadnąć, co to za człowiek?

Rod natychmiast znalazł odpowiedź. Zrozumiał teraz, dlaczego stary cedr tak dalece zajął obu Indian, że zapomnieli o poszukiwaniu złota, i uczuł, jak na twarz występuje mu rumieniec radości, a mimowolny dreszcz przebiega po plecach.

— Obląkany myśliwiec!

Wabi twierdząco skinął głową. Mukoki chrząknął i zatarł ręce.

— Złoto na kule pochodzi stąd — oświadczył. — Wariat biegał szybko. Co prędzej zabierzmy czółno i zetnijmy drzewo.

— Świetna myśl! — wykrzyknął Wabi. — Zniesiemy w dół zapasy, a cedr porąbiemy na opał. Gdy wróci i nie zastanie swej drabiny, ręczę, że wrzaśnie parę razy, a to nam pozwoli zawczasu obmyślić plan działania. Ruszam!

Zaczął się piąć wzwyż pnia i po upływie minuty lub dwu szczęśliwie stanął na górnej platformie.

— Śliski niby naoliwiony słup! — zawołał. — Idę o zakład, że nie potrafisz się wgramolić.

Rod jednak wdrapał się, co prawda po niesłychanych wysiłkach, a gdy zziąjany znalazł się u szczytu, Wabi pomógł mu wyciągając rękę. Mukoki łatwiej dał sobie radę. Wziąwszy jedynie rewolwery, wszyscy trzej pośpieszyli do czółna i za jednym nawrotem przynieśli cały swój bagaż. Najpierw spuszczone na linie w dół skały wszystkie drobne rzeczy, następnie czółno, a później, gdy

chłopcy przyglądali się, Mukoki chwycił siekiere i zrabął cedr.

— Tak! — warknął, gdy ostatni cios zwałił drzewo między głazy. — Za wysoko, by mógł skoczyć.

— Ale wspaniały punkt do kanonady — rzekł Wabi spoglądając w górę. — Lepiej rozbijmy obóz poza dosięgiem strzału.

— Ale dopiero wtedy, gdy się przekonamy, cośmy znaleźli! — krzyknął Rod, odwiązując patelnię przymocowaną do jednego z pakunków. — Chłopcy, przede wszystkim musimy przemyć trochę piasku z dna strumienia!

Ruszył ku wodzie, a Wabi, niosąc drugą patelnię, biegł tuż za nim. Mukoki popatrzył w ślad i zachichotał cicho, rozpoczynając jednocześnie przygotowania do obiadu. Wybrawszy miejsce, gdzie prąd utworzył niewielką mieliznę pokrytą piaskiem i żwirem, Wabi i Rod zabrali się do pracy. Biały chłopak nigdy przedtem nie wydobywał złota, lecz mówiono mu, jak się to robi. Czuł dziwne podniecenie, jakiego zwykle doznaje poszukiwacz skarbu, gdy wierzy, że nareszcie odnalazł swoje Eldorado. Zgarnął patelnią sporo żwiru i piasku, potem nabrał trochę wody i zaczął szybko poruszać dłonią to wstecz, to naprzód, raz po raz zrzucając przez brzegi naczynia pewną ilość błotnatego płynu. W ten sposób, parokrotnie napełniając patelnię wodą, pracował bez przerwy, zmywając z niej wszystko z wyjątkiem twardych substancji.

Za każdym razem gdy zanurzał patelnię w strumieniu, woda na niej stawała się czystsza i po upływie kwadransa trzy czy cztery garście żwiru i piasku, z którymi rozpoczął pracę, zmalaty, kilkakrotnie. Ledwie oddychając, czekał złotego błysku złota. Raz na lśnienie wśród kamuszków żwiru krzyknął głucho, lecz gdy poskrobał nożem, przekonał się, że to tylko mika, i był rad, że Wabi go nie usłyszał. Młody Indianin siedział w kucki, na piachu, łowiąc patelnią słaby promień słońca, nieśmiało zaglądający w głąb parowu. Nie podnosząc głowy zawołał w stronę Roda.

— Znalazłeś co?

— Nie! A ty?

— Nie! To jest owszem, ale nie sądzę, żeby to było złoto.

— Jak wygląda?

— Lśni złotem, ale twarde jak stal.

— Mika — rzekł Rod.

W czasie tego dialogu żaden z chłopców nie uniósł nawet głowy. Rod nadal szperał koniuszkiem noża na dnie patelni, przewracając kamyczki i dłubiąc w piachu z napiętą uwagą, która u doświadczonego poszukiwacza złota wywołałaby wybuch śmiechu. Upłynęło parę minut, gdy Wabi znów się odezwał:

— Doprawdy, Rod, znalazłem dziwną sztukę. Gdyby było mniej twarde, przysięgłbym, że to złoto. Chcesz zobaczyć?

— To mika — powtórzył Rod, gdy nowy błysk „fałszywego złota” przyciągnął jego wzrok. — Pełno jej w strumieniu.

— Nigdy nie widziałem miki w bryłkach — bąknął Wabi, zginając się nizej nad patelnią.

— Bryłka! — krzyknął Rod i wyprostował się, jakby mu kto wbił szpilkę w plecy.

— Wielka jak groch. Jak duży groch!

Ledwie młody Indianin wymówił te słowa, Rod już skoczył na równe nogi i biegł ku niemu.

— Mika nie pojawia się w bryłkach! Pokaż!

Pochylił się nad patelnię Wabigoona. W samym jej środku leżał podejrzanym złoty kamuszek, wygładzony i zaokrąglony przez wodę, a gdy Rod ujął go w palce, wydał cichy gwizd podziwu i spojrział w twarz Wabiego.

— Wabi, wstyd mi za siebie! — rzekł, próżno siląc się opanować drżenie głosu. — Mika nie pojawia się w krągłych bryłkach! Mika nie jest ciężka! A to jest okrągłe i ciężkie!

Spomiędzy cedrów rosnących za chatą nadbiegło wołanie Mukiego, oznajmiające, że obiad już gotów.

XV. SKARB POD WODĄ

Wabi siedział chwilę bez ruchu, jak ogłuszony. — To nie złoto! — rzekł wreszcie, a głos miał pełen zwątpienia.

— Właśnie, że tak — odparł Rod, próżno usiłując ukryć wielkie podniecenie. — To istotnie twarde, ale spójrz, jak twój nóż je zadrapał. Waży ćwierć uncji. Czy masz tu jeszcze inne bryłki?

Klęknął obok Wabiego i głowy obu chłopców zetknęły się niemal, a dwie pary oczu bystro badały zawartość patelni. Mukoki właśnie nadchodził. Rod podał Indianinowi złotą bryłkę i wstał.

— To rozwiązuje sprawę, chłopcy! Jesteśmy we właściwym miejscu. Wydajmy trzykrotne hura! na cześć Johna Balla i starej mapy, a potem chodźmy jeść.

— Na. obiad zgoda, ale dajmy pokój wiwatom — rzekł Wabi. — A raczej wiwatujemy tylko w duchu. Zauważ, jak głucho brzmią nasze głosy w tym parowie. Krzyk dałby się słyszeć chyba o kilka mil.

Mukoki wybrał na obóz miejsce położone u skraju gęstwy cedrów i przygotował posiłek na wielkim płaskim głazie, wokół którego zebrali się teraz wszyscy trzej. Dla natchnienia, jak mówił, Wabi umieścił złotą bryłkę pośrodku improwizowanego stołu i jeśli zachwył panujący przy obiedzie mógł mieć jakąkolwiek realną wartość, złota grudka była istotnie cenną rzeczą. Gdy chłopcy wrócili znów nad brzeg potoku, Mukoki również udał się z nimi i ponownie rozpoczęło gorączkowe poszukiwania.

Jedynie ci, którzy żyli tym życiem, ci, co ścigali nieuchwytny *ignis fatuus* wszystkich narodów — miraż złota — mogą zrozumieć wzruszenie zapierające oddech w piersi poszukiwacza skarbu, gdy ten zagłębia patelnię w piach strumieni, wierząc, iż tu właśnie przyroda ukryła swe bogactwo. Gdy Rodryg Drew, syn tej cywilizacji, wśród której dolar jest siłą i prawem, wrócił do podniecającego zajęcia obiecującego mu fortunę, zdawał się być niemal w półśnie. Wszędzie wkoło niego leżało złoto! Nie wątpił o tym ani chwili; ani przez sekundę nie obawiał się, że może zabraknąć złota w piasku i żwirze, z którego Wabi wyłowił swoją bryłkę. Na mieliźnie pod jego stopami istniał skarb! Krył się również między skałami, kędy woda pieniała się i wrzała wściekle; był u podnóża wodospadu i wszędzie, wszędzie wokół. W ciągu miesiąca John Ball i jego towarzysze zebrali dwadzieścia siedem funtów cennego kruszcu, majątek przedstawiający wartość niemal siedmiu tysięcy dolarów. A zebrali go właśnie tu. Energicznie zgarnął nową patelnię żwiru. Słyszał, jak bulgocze woda na patelniach Mukiego i Wabigoona. Lecz poza tym dźwiękiem nie brzmiały żadne inne głosy.

W ciągu pierwszych chwil poświęconych poszukiwaniom skarbu nie wymówiono ani słowa. Kto pierwszy wyda radosny okrzyk, wieszczący zwycięstwo? Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście, a Rod nie znalazł śladu złota. Gdy wypróżniał swą patelnię, dojrzał, jak Wabi zgarnia nową porcję żwiru. Jemu się również nie powiodło. Mukoki wszedł po pierś między skały. Druga patelnia, trzecia — i lekki dreszczyk rozczarowania ochłodził zapal Roda. Być może wybrał niefortunny punkt, w którym nie ma złota? Zmienił więc miejsce i zauważył, że Wabi zrobił to samo. Czwarta i piąta patelnia również nie dały rezultatu. Mukoki przebrnął przez potok, bardzo płytki poniżej wodospadu, i pracował po drugiej stronie. Szósta patelnia.

Rod zbliżył się do młodego Indianina. Podniecenie umknęło z ich twarzy. Półtorej godziny i ani śladu złota!

— Podejrzewam, że nie trafiliśmy na właściwe miejsce — rzekł Wabi.

— To musi być tu — odparł Rod. — Gdzie leży jedna złota bryłka, na pewno jest ich więcej. Złoto jest ciężkie i opada na dno.

Mukoki znów przebrnął potok i szedł im naprzeciw. Pośród skał znalazł drobinę złota nie większą niż główka od szpilki i ten nowy ślad podtrzymał gasnący entuzjazm. Zdjąwszy obuwie, obaj chłopcy ruszyli w ślad za starym myśliwcem na środek potoku. Lecz każda następna patelnia pogłębiała dręczącą niepewność, z wolna zajmującą miejsce poprzedniej ufności. Cienie w parowie stały się dłuższe i gęstsze. Wysoko nad głową zwarte szeregi czerwonych sosen zagradzały drogę ostatnim promieniom słońca, a mrok, coraz głębszy pośród skalnych ścian, jak gdyby uprzedzał, że wokół tajemniczej starej chaty lada chwila zapadnie noc. Ale trzech łowcy dopiero wtedy poniechali pracy, gdy już nie mogli dostrzec na patelniach błysków miki. Przemoczeni do pól piersi, zmęczeni i rozczarowani, wrócili do obozu. Nawet Rod chwilowo poddał się zwątpieniu. Może w ogóle nie ma tu już więcej złota, a trzech dawno zmarli ludzie znaleźli jedynie odosobnione „gniazdo” i wykorzystali je do końca? Ta myśl nie opuszczała Roda, a nawet zaczęła go wprost dręczyć.

Przygnębienie jednak nie trwało długo. Wielkie ognisko rozpalone przez Mukiego i pokrzepiający aromat mocnej kawy przywróciły białemu chłopcu wrodzony dobry humor i wkrótce obaj z Wabim, zręcznie wznosząc szałas z cedrowych gałęzi, śmiali się już głośno i snuli przeróżne plany. Kolacja zastawiona na wielkim, płaskim głazie — prawdziwa uczta złożona z pieczeni niedźwiedziej, gorących placków kawy i najwyższego luksusu w dzikiej głuszy: kartofli — wystarczyła, by młodzi, mówiąc o następnym dniu, z poprzednim zapalem budowali zamki na lodzie. Mukoki słuchał ich projektów pilnując odzieży wiszącej nad ogniem. Od czasu do czasu przechadzał się w głąb parowu, by spojrzeć na biały grzebień wodospadu, przelewający się przez krawędź skał. W ciągu całego popołudnia Wabi i Rod nie pomyśleli ani razu o obłąkanym myśliwcu ani o wyslizganym pniu cedrowym. Mukoki pamiętał o tym bez przerwy.

W blasku obozowego ogniska dwaj chłopcy odczytali raz jeszcze kartkę zawierającą rachunek Johna Balla i dwóch Francuzów. Drobną skrawek papieru, pożółkły z biegiem lat, był ogniwem łączącym ich z romantyczną przeszłością, relikwią ponurej tragedii, którą mroczne ściany parowu na zawsze pewnie zachowają w tajemnicy.

— Dwadzieścia siedem funtów! — powtarzał Rod na pół do siebie, na pół do Wabiego. — To był rezultat jednomiesięcznej pracy.

— Niemal funt dziennie! — wykrzyknął Wabi. — Mówię ci, Rod, nie znaleźliśmy jeszcze właściwego miejsca!

— Ciekaw jestem, dlaczego część Johna Balla przewyższała dwukrotnie dział jego towarzyszy? Czy sądzisz, że może on właśnie znalazł złoto? — domyślał się Rod.

— Z pewnością tak było. To stało się właśnie powodem zbrodni. Francuzi dostawali za mało.

— Tysiąc osiemset pięćdziesiąty dziewięć — odczytał Rod. — To było czterdzieści dziewięć lat temu, przed wojną domową. Powiedz...

Urwał i bystro spojrzął na Wabiego.

— Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że John Ball mógł nie być zamordowany?

Wabi, silnie podniecony, pochylił się ku przodowi.

— Zastanawiałem się już... — zaczął.

— Nad czym?

— Że jednak mógł nie umrzeć...

— I że gdy obaj Francuzi zginęli w walce na noże, on wrócił i zabrał złoto — kończył Rod.

— Nie, nie o tym myślałem — rzekł Wabi. Wstał nagle i w ślad za Mukim zagłębił się w mrok parowu.

Rod był oszołomiony. W głosie, twarzy i słowach przyjaciela było coś, czego nie mógł pojąć. Co Wabi ma na myśli?

Młody Indianin wrócił wkrótce, ale nie wspomniał już o Johnie Ballu.

Gdy obaj chłopcy poszli spać, Mukoki czuwał nadal. Siedział dłuższy czas przy ogniu, ściskając oburącz fuzję położoną w poprzek kolan; głowę miał lekko pochyloną i zajmował w ten sposób charakterystyczną posągową pozę indiańskich wojowników. Trwał tak godzinę i na swój sposób był pogrążony

w myślach. Wkrótce po znalezieniu drugiej kuli Wabi w nieobecności Roda szepnął mu na ucho parę słów, a dzisiejszej nocy w mroku parowu powtórzył to samo zdanie. Mózg Mukiego pracował uparcie. Myślał obecnie o czymś, co stało się bardzo dawno, w czasach, gdy on sam był młody i w jego oczach cały świat był młody. Jako jedyny skarb posiadał wtedy psa i którejś zimy ruszył w towarzystwie tego przyjaciela ku dalekim łowieckim terenom nieznannej Północy, odległym od wsi, w której mieszkał, o dobry miesiąc podróży. Gdy po dłuższym czasie wrócił, był sam. Czworonogi towarzysz znikł z samotnego szałas i nie pojawił się już więcej. Wszystko to stało się jeszcze przedtem, nim Mukoki spotkał śliczną indiańską dziewczynę, która z czasem została jego żoną — więc tęsknił do psa jak do ludzkiej istoty. Miłość Indianina, nawet gdy dotyczy zwierząt, nie jest rzeczą przelotną, toteż po upływie dwu lat Mukoki zabrnął ponownie w okolice opuszczonego szałas i znalazł tam swego psa Huldaję: Zwierzę poznało pana i jęło skakać radośnie na trzech łapach. Patrząc na kalectwo wilczara, Mukoki zrozumiał, dlaczego przed dwoma laty nie mógł się go doczekać z powrotem. W życiu psa dwuletni okres dużo znaczy, toteż na grzbiecie i wokół pyska Huldai widniała siwa sierść — znak przeżytych cierpień i podeszłych lat.

Mukoki nie bez powodu wspominał Huldaję. Myślał o słowach Wabiego i o obłąkanym myśliwcu. Czy możliwe, żeby człowiek-wściekły pies, który strzela złotymi kulami i wrzeszczy niby ryś, był tym samym mężczyzną, co przebywał tu przed laty i którego chłopcy zowią Johnem Ballem? Takie oto myśli powstały w jego mózgu pod wpływem słów Wabigoona.

Młody Indianin nie podzielił się z Rodem swymi podejrzeniami. Zwierzył się natomiast ze wszystkiego Mukiemu, sądząc, że stary myśliwiec pomoże mu w rozwiązaniu zagadki. Następnego ranka, gdy chłopcy kończyli śniadanie, Mukoki gotował się do dłuższej wyprawy.

— Idę w dół parowu — tłumaczył Rodrygowi. — Poszukam przełazu na prerie. Ustrzelę jaką zwierzynę.

Tego dnia łowcy złota postępowali bardziej planowo, zaczynając pracę tuż w pobliżu wodospadu, jeden z prawej, drugi z lewej strony, i posuwając się z wolna wzdłuż brzegu. Do południa zrobili dwieście jardów i jedyną zapłatą było marne kawałtko złota, warte najwyżej dolara, które Rod znalazł w swej patelni. Nim zmierzch zmusił ich do powtórnego zaniechania pracy, zbadali ćwierćmilową przestrzeń, nie ujrzawszy śladu skarbów Johna Balla. Pomimo niepowodzeń byli mniej zniechęceni niż poprzedniego dnia. Pojęli już, że czeka ich żmudna praca, i przestali liczyć na oślepiający błysk fortuny.

Mukoki wrócił o wczesnym zmroku, obładowany mięsem karibu, przynosząc również wiadomość, że pierwsza wyrwa wiodąca na równinę leży o całe pięć mil w dół parowu. Myśliwi pożałowali teraz, że zwalili pień cedru. Postanowiono już bowiem, że następne poszukiwania odbędą się w łożysku potoku powyżej wodospadu, a to zmuszało wędrowców do odbycia dziesięciu mil drogi: pięć do wyrwy i pięć z powrotem. Gdy wyruszyli następnego dnia o świcie, wzięli ze sobą żywności na parę dni i mocną linę, z pomocą której po ukończeniu pracy na górze mogli się spuścić w dół skalnej ściany. Rod zauważył, że głazy w łożysku potoku są dziś o Wiele większe, niż gdy je poprzednio oglądał, i zwrócił na to uwagę Wabigoona.

— Wody gwałtownie opadają — tłumaczył młody Indianin. — Na zboczach gór śnieg już całkowicie stopniał, a brak jezior, które by zasilaty ten potok. W ciągu tygodnia u stóp kaskady zostanie zaledwie parę cali wody.

— I wtedy właśnie znajdziemy złoto! — stwierdził Rod, ogarnięty dawnym zapałem. — Mówię ci, że szukaliśmy zbyt powierzchownie. Złoto leży od setek lat i przypuszczalnie opadło na parę stóp w głąb łożyska. Ball i dwaj Francuzi znaleźli dwadzieścia siedem funtów w czerwcu, gdy rzeczulka niemal całkiem wyschła. Czytałeś kiedy o tym, jak znajdowano złoto nad Jukonem?

— Coś niecoś. Gdy chodziłem razem z tobą do szkół.

— Tak. Otóż najcenniejszych odkryć dokonywano zawsze o trzy do dwunastu stóp niżej powierzchni i jeśli poszukiwacz znalazł cokolwiek na samej górze, wiedział, że pod spodem leży wiele bogactwa. Znajdziemy nasze złoto w tym parowie, i to poniżej wodospadu!

Tylko niezachwiana pewność Roda podtrzymywała energię trzech poszukiwaczy skarbu w ciągu następnych paru dni, gdyż nie napotkano nawet śladu złota. Jarda za jardem badali niestrudzenie łożysko potoku, aż pobrali próby piasku na przestrzeni dobrej mili. Z każdym dniem, jak to słusznie przepowiedział Wabigoon, potok stawał się płytszy, aż wreszcie mogli go przebyć w bród, mocząc się jedynie do kolan. Rod był tak pewien, że złoto jest ukryte na dnie rzecznej podłoża, iż przy świetle pochodni wykopał dół głęboki na cztery stopy i tej nocy, po kolacji przemył parę patelni piachu u obozowego ogniska. Lecz w dalszym ciągu nie znalazł nawet śladu złota.

Doświadczenia następnego dnia nie zostawiły już nawet cienia złudzeń. Prócz dwu lub trzech drobnych kruszynek trzech łowcy nie znaleźli absolutnie nic w głębszych pokładach piachu i żwiru. Tej nocy zapanowało całkowite przygnębienie. Zarówno Rod, jak i Wabi czynili próżne wysiłki, by podtrzymać dobry nastrój. Jedynie Mukoki, dla którego złoto przedstawiało nierealną i przemijającą wartość, trzymał się jako tako, ale i na niego źle wpływał strapiony wygląd towarzyszy. Rod widział tylko jedną przyczynę niepowodzeń. John Ball i dwaj Francuzi znaleźli gdzieś opodal wodospadu bogate złote „gniazdo” i wyeksploatowali je całkowicie jeszcze przed tragiczną walką na noże.

— Ale co powiesz o obłąkanym myśliwcu i jego złotych kulach? — upierał się Wabi, usiłując znaleźć promyk nadziei. — Każda kula waży uncję; stawię życie o zakład, że pochodzą z tego parowu. On wie, gdzie się znajduje złoto, którego my nie możemy znaleźć.

— Prędko wróci — mruknął Mukoki. — Dopilnować go i wykryć złoto!

— Tak też zrobimy! — zawołał Wabi. Skoczył na równe nogi i strącił Roda ze skały, na której ten siedział. — Uszy do góry, Rod! Złoto jest gdzieś w pobliżu i znajdziemy je prędzej czy później. Wstyd mi za ciebie! Nigdy nie myślałem, że możesz tak wątpić.

Gdy Rod, wygrzmocony przez Wabiego, zdołał wreszcie wstać, zanosił się od śmiechu.

— Masz rację, zasługuję na różgi! Mamy przed sobą całą wiosnę i całe lato, a jeśli spadnie śnieg, nim znajdziemy złoto, wrócimy za rok i spróbujemy na nowo. Co o tym myślisz?

— I zabierzemy z sobą Minnetaki! — dodał Wabi, skacząc w górę i uderzając w powietrzu piętą o piętę. — Rod, jak ci się taki plan podoba?

Zdzielił kolegę pięścią między żebra i już w następnej chwili chichotali przewracając się po ziemi w radosnej walce, w której zwycięzcą bywał zawsze Wabi dzięki swej kociej zręczności.

Pomimo krótkich chwil, w których wrodzona wesołość i beztroska brały górę nad zniechęceniem, następne dni podziały przygnębiająco na młodych poszukiwaczy przygód. Przetrasnęli parów na paromilowej przestrzeni, a jednak po siedmiu dniach zdobyli mniej niż uncję złota. Gdyby nie znaleźli nic, rozczarowanie byłoby mniejsze, gdyż jak twierdził Wabi, mogliby wtedy ze spokojnym sumieniem porzucić wszelkie mrzonki. Lecz znajdowane niekiedy cenne ziarenka mroczyły ich umysły, jak od początku cywilizacji podobne ziarna tumaniały innych poszukiwaczy skarbów. Pracowali więc

uparcie dzień w dzień; noc w noc, siedząc przy ogniu, snuli nowe plany, dodając sobie wzajem otuchy. Wiosenne słońce grzało mocniej; pąki topoli rozwijały się w drobne listki, a spoza ścian parowu południowe wiatry przynosiły pierwsze obietnice lata, tchnąc zapachem sosen, jodeł i tysięcy roślin porastających prerię.

Wreszcie poszukiwania dobiegły końca. W ciągu trzech dni nie znaleziono nawet ziarna złota. Jedząc obiad wokół krągłego głazu, Rod oraz jego przyjaciele powzięli ostateczną decyzję. Następnego ranka zwiną obóz i pozostawiając czółno — gdyż nawet łódka z kory brzozonej nie mogła już żeglować po płytkiej strudze — ruszą w dół parowu, by spróbować nowych odkryć. Mieli przed sobą całe lato i chociaż nie udało się im odszukać skarbu tam, gdzie go znaleźli John Ball i dwaj Francuzi, mogli napotkać dalej coś godnego uwagi. Tak czy inaczej zresztą, podróż w głąb niezbadanej dziczy była nęcąca.

W pewnej chwili Mukoki wstał, pozostawiając obu chłopców zajętych omawianiem dalszych planów. Nagle zwrócił się ku nim ze zdławionym okrzykiem, wyciągniętym ramieniem wskazując górny parów.

— Słuchajcie! On! On!

Twarz starego myśliwca drgała nerwowo; dobrą minutę stał bez ruchu z wyciągniętym ramieniem, nie spuszczając czarnych źrenic z Roda i Wabiego, którzy siedzieli równie milczący jak skała za ich plecami. Wtem dobiegł ku nim z bardzo daleka drżący, przenikliwy dźwięk, który napełnił ich dawną grozą — wrzask obłąkanego myśliwca.

Na ten głos Wabi skoczył na równe nogi, z płonącymi oczyma, a jego brunatne policzki zbladły w podnieceniu silniejszym niż przejęcie Mukiego.

— Mówiłem ci, Muki! — wołał. — Mówiłem!

Młody Indianin drżał jak w febrze, pięści miał zaciśnięte, a gdy zwrócił się w stronę Roda, biały chłopak zdumiał się, ujrzawszy wyraz jego twarzy.

— Rod! John Ball wraca po swoje złoto!

Zaledwie wykrztusił te słowa, sztywność opuściła jego ciało, a ręce opadły normalnie wzdłuż bioder.

Zwierzył się ze swej tajemnicy pod wpływem gwałtownego podniecenia, w następnej jednak chwili pożałował tego. Chował wyłącznie dla siebie myśl, że John Ball i obłąkany myśliwiec są tą samą osobą, i tylko ze względu na pewną konieczność powiadomił o tym Mukiego. Gdy z jednej strony utwierdzał się w swym podejrzeniu, pojmował również, że logicznie biorąc jest to wykluczone, i pewna nieśmiałość, odziedziczona po indiańskich przodkach, powstrzymywała go od rozmowy z Rodem na ten temat. Teraz jednak ważne słowo zostało wypowiedziane. Bładość jego twarzy znikła, a jej miejsce zajął żywy rumieniec. W następnej chwili Wabi pochylił się ku Rodrygowi z dawnym błyskiem źrenic. Nie oczekiwał wcale, że twarz białego chłopca tak się raptem zmieni.

— Myślałem o tym dawno — rzekł. — Już od chwili, gdy znaleźliśmy ślady na piasku. Brakuje tylko jednego dowodu, tylko jednego!

— Słuchaj!

Rod syknął to słowo jak najciszej, jednocześnie ostrzegawczym ruchem wyciągając dłoń.

Tym razem krzyk obłąkanego myśliwca wyraźniej dobiegł ich uszu. Zbliżał się idąc górnym parowem.

Biały chłopak wstał, nie spuszczając oczu z Wabiego. Był bardzo blady.

— John Ball! — powtórzył, jakby dopiero teraz zdając sobie sprawę z usłyszanych słów. — John Ball!

Wydało mu się to niezaprzeczoną prawdą i zawładnęło myślami. Stał dłuższą chwilę niby ogluszony, czując, jak serce wali mu gwałtownie. John Balii! John Ball przywrócony do życia, by wskazać im zaginione złoto, by opowiedzieć o tajemniczej tragedii sprzed wielu dziesiątków lat! Słowa Wabiego dały szerokie ujście bujnej fantazji Roda.

Mukoki wziął się do pracy.

— Trzeba to ukryć! — wołał. — I to, i to, i to! — wskazywał dłonią rozrzucone wokoło przedmioty.

Obaj chłopcy zrozumieli natychmiast.

— Nie powinien dostrzec ze szczytu wzgórza śladów naszej obecności — naglił Wabi, mając już pełne ramiona obozowych drobiazgów. — Ukryjmy to pośród cedrów!

Mukoki pośpieszył do szałasów i zaczął go rozwalać. W ciągu dobrych pięciu minut trzech wędrowcy uwijali się jak w ukropie. Usłyszeli jeszcze raz żałosny krzyk wariata, a zaledwie skończyli pracę i schronili się w mrocznym wnętrzu starej chaty, dźwięk powtórzył się znowu, tym razem w odległości karabinowego strzału. Nie był to już nawet wrzask, lecz płacz zdławiony, który trwożę trzech podróżników zastąpił głębokim współczuciem. Co za zmiana zaszła w duszy obłąkańca? Płacz powtarzał się teraz co parę sekund, za każdym razem bliższy niż poprzednio. Była w nim nuta błagalna, zakończona rozpaczliwym łkaniem. Rod czuł, jak mu się ściska serce. Miał ochotę odpowiedzieć na ten zew, wybiec z ukrycia, wyciągając ręce, i powitać serdecznie dziwną, półdziką istotę, mknącą w dół parowu.

Raptem, gdy patrzył przed siebie, ujrzał, jak coś wybiegło na krawędź wielkiej skały obok katarakty, i zacisnął dłoń na piersi, by powstrzymać okrzyk. Wiedział bowiem równie na pewno jak to, że Wabi stoi obok, iż patrzy teraz na osobę Johna Balla. Przez chwilę dziwna istota tkwiła w kucki w miejscu, gdzie dawniej sięgał wierzchołek cedru, a ujrawszy, że drzewo znikło, wyprostowała się i echo parowu powtórzyło jej drżący, bolesny głos. Gdy wariat stał bez ruchu, obserwujący go myśliwi dostrzegli, iż jest to stary człowiek, wysoki i szczupły, lecz prosty jak trzcina, oraz że jego głowa i pierś znikają niemal pod gęstą płataniną zarostu. W dłoniach niósł karabin, ten sam, z którego padały złote kule, i nawet z tak wielkiej odległości można było dostrzec, iż jest to długa bębenkowa broń, podobna do rusznic znalezionych niegdyś w starej chacie.

Trzej myśliwi czekali, nieruchomi. Starzec przechylił się znowu poprzez krawędź skały i jego głos doleciał ku nim jako płaczliwe wołanie, a po chwili wyciągnął przed siebie ręce, wciąż płacząc głucho, jakby wzywał ratunku. Ten widok targnął sercem Roda. Gorąca mgła przesłoniła mu oczy i w gardle coś drgnęło zdradziecko. Obaj Indianie patrzyli w ponurym napięciu. Dla nich był to jedynie ciekawy epizod awanturniczego życia. Rodrygowi natomiast wydało się, że dusza białego nieszczęśnika przywołuje jego duszę. Wyciągnięte ręce starca zdawały się go dosięgać. Łkający głos, pełen beznadziejnej rozpacz, wzywał go na ratunek. Rod krzyknął lekko i wybiegł z chaty. Zrzucił czapkę i uniósł bladą twarz ku zdumionej postaci na skale. Potem zbliżył się krok za krokiem i wyciągając obie dłonie na znak przyjaźni, wołał łagodnie:

— Johnie Ball! Johnie Ball! Johnie Ball!

Obłąkany myśliwiec wyprostował się w jednej chwili i zrobił pół obrotu, gotów do ucieczki.

— Johnie Ball! Czy słyszysz mnie, Johnie Ball?

Rod, głęboko przejęty, niemal z łkaniem wymawiał to imię. Zapomniał teraz o wszystkim, widząc jedynie samotną postać na skale, więc stąpał bliżej i bliżej. Obłąkany myśliwiec upadł na kolana, skulił się, cały okryty futrem rysia oraz własną, długą brodą, spojrzał w dół na białego chłopca i odpowiedział na jego wołanie przeciągłym wyciem.

— Johnie Ball! Czy to ty, Johnie Ball?

Rod stanął, mając wariata o czterdzieści stóp nad sobą. Oddech mu zaparło, gdy ujrzał zmianę, jaka zaszła w oczach starego samotnika.

— Johnie Ball... — wykrztusił raz jeszcze.

W dzikich oczach zamigotał chytry błysk. Gdy wariat dostrzegł dwie głowy wysunięte przez drzwi chaty, skoczył na równe nogi. Sekundę stał na krawędzi skały, potem krzyknął i zręcznie jak dziki zwierz skoczył w odmęt katarakty. Przez chwilę widać go było lecącego w dół wraz ze spadającą falą wody. Jeszcze mgnienie i znikł w burzliwej głębi.

Wabi i Mukoki widzieli rozpaczliwy skok i młody Indianin znalazł się obok białego chłopca, nim ten jeszcze ochłonął z wrażenia. Nurt potoku setki lat złobił grunt u stóp katarakty, aż woda w tym basenie dosięgła o wiele wyżej niż na wzrost dorosłego mężczyzny. Średnica sadzawki wynosiła około dwunastu stóp.

— Pilnuj! Utonie, jeśli go nie wydostaniemy! — wołał Wabi. Rod skoczył nad brzeg sadzawki, a Muki i Wabi wraz z nim.

Gotowi rzucić się w zimną głębię na pierwszy błysk siwej głowy starca lub na widok jego walczących z wodą ramion, wszyscy trzej stali mając mięśnie sprężone do walki. Minęła sekunda, dwie, trzy — i nic nie wypłynęło na powierzchnię. Serce Roda zaczęło walić gwałtownie. Dziesięć sekund! Cwierć minuty! Spojrzał na Wabigoona. Młody Indianin zrzucił kurtkę z jeleniej skóry. W jego oczach, gdy spotkał wzrok Roda, odbił się lęk tkwiący w źrenicach białego chłopca.

— Poszukam go!

W następnej chwili dał nurka głową naprzód. Mukoki błyskawicznie cisnął na ziemię swoją kurtkę. Pochylił się naprzód tak silnie, jakby lada chwila miał się ześliznąć z głazu, na którym stał. Jeszcze piętnaście sekund. Głowa Wabiego wzbijała się nad powierzchnię i stary wojownik krzyknął głośno:

— Idę!

Rzucił się w dół i z głośnym pluskiem znikł obok Wabigoona. Rod stał bez ruchu, ogarnięty wciąż rosnącą trwogą. Widział, jak burzy się woda poruszana ciałami obu Indian. Wabi wynurzył się znów, by zaczerpnąć oddechu, a w ślad za nim ukazał się Mukoki. Rodrygowi zdawało się, że minął cały wiek i wszelka nadzieja zginęła. John Ball umarł!

Ani chwili nie wątpił o tożsamości obłąkanego myśliwca. Dziwny, pełen naprężonej uwagi wyraz, który na dźwięk własnego imienia pojawił się w źrenicach starca, był wymowniejszy niż jakiegokolwiek słowa. To był John Ball! Lecz teraz już nie żyje! Po raz trzeci, czwarty i piąty Mukoki i Wabi wynurzali się na powierzchnię, aby zaczerpnąć oddechu. Za szóstym razem wydostali się na głazy otaczające sadzawkę. Mukoki nie wymówił ani słowa, tylko pobiegł do obozu i zwałił naręcze suszu na tłące głównie ogniska. Wabi stał wciąż jeszcze na brzegu basenu, ociekając wodą i dygocąc. Pięści miał zaciśnięte, pełne piachu i żwiru. Wreszcie na pół bezmyślnie rozwarł dłonie i spojrzał na ich zawartość przyniesioną z dna sadzawki.

Jakiś czas milcząc wytrzeszczał oczy, potem zaczerpnął powietrza i wydał głuchy, przejmujący okrzyk.

Wyciągnął ręce w stronę Roda.

Lśniąc jaskrawo pośród bryłek żwiru, widniała grudka rodzimego złota tak duża, że Rod krzyknął dziko, zapominając w tej chwili zupełnie o Johnie Ballu, umarłym już lub konającym u podnóża wodospadu.

XVI. JOHN BALL I TAJEMNICA ZŁOTA

Na krzyk Roda Mukoki skoczył w stronę sadzawki, lecz nim dotarł do miejsca, gdzie stał biały chłopak trzymając w dłoni złotą bryłkę, Wabi ponownie dał nurka w głąb. Pozostał pod wodą dość długo, a gdy raz jeszcze wygramolił się na brzeg, na jego twarzy i w oczach było coś tak dziwnego, że Rod uwierzył, iż przyjaciel odnalazł już na dnie sadzawki martwe ciało obłąkańca.

— Nie ma... go... tu! — wykrztusił Wabi. Mukoki wzruszył ramionami i wstrząsnął się lekko.

— Trup? — spytał.

— Nie ma go tu woale!

Wreszcie Rod i Mukoki zrozumieli. Oczy starego Indianina przesunęły się ku miejscu, gdzie wody potoku spomiędzy ciasnego obramowania skał wpływały do szerszego koryta, dążąc w dół parowu. Nurt miał zaledwie półmetrową głębokość.

— Tędy nie mogło go znieść.

— Nie.

— Więc gdzie jest?

Mukoki znacząco wzruszył ramionami i wskazał palcem sadzawkę.

— Jest tam. Ciało wśliznęło się gdzieś pod skałę.

— Szukaj więc — rzekł mu Wabi.

Udał się w stronę ognia, a Rod skoczył w ślad za nim, by gromadzić więcej paliwa, podczas gdy młody Indianin będzie grzał przemarzłe członki. Biegając słyszeli, jak Mukoki jeszcze raz daje nurka.

W dziesięć minut później stary wojownik odnalazł ich przy ognisku.

— Znikł. Nie ma go tam. Wyciągnął ramię ociekające wodą.

— Złota kula — mruknął.

Na jego dłoni leżała nowa bryłka rodzimego złota, wielka jak orzech laskowy.

— Mówiłem ci — rzekł Wabi miękko — że John Ball wróci po swoje złoto. Tak też zrobił. Skarb leży na dnie sadzawki.

— Ale gdzie jest John Ball?

Żywy czy umarły, gdzie mógł zniknąć?

W innym wypadku parów dawno by rozbrzmiał okrzykami szczęścia, teraz jednak coś powściągało radosny zapał łowców złota. Nareszcie stara mapa przestała mieć dla nich jakiegokolwiek tajemnice i bogactwo leżało tak blisko, że starczyło wyciągnąć rękę, by je wziąć. Lecz serca trzech wędrowców gnębiła jedna myśl: gdyby nie ścięto starego cedru, John Ball nie byłby zginął. Pośrednio spowodowali śmierć biednej istoty, która niemal od pół wieku przebywała w głuchym pustkowiu, w towarzystwie jedynie dzikich zwierząt. Sam widok obłąkańca stojącego na skale, błagalne brzmienie zawodzącego głosu, rozpacz, którą zdradził nie znalazłszy swego drzewa — zrodziły coś głębszego niż zwykła sympatia. W tej chwili trzech myśliwi rzekliby się dobrowolnie wszelkich marzeń o złocie, gdyby ta ofiara mogła tchnąć z powrotem życie w umęczone ciało tragicznego starca.

— Żałuję, że ścięliśmy drzewo — rzekł Rod. To było pierwsze wymówione słowo.

— Ja również — odparł Wabi z prostotą, zaczynając jednocześnie zdejmować przemoczone ubranie. — Ale... — tu urwał i wzruszył ramionami.

— Co takiego?

— Wydaje nam się pewne, że John Ball zginął. Jeśli zaś zginął, dlaczego nie ma go w sadzawce? Na Boga! Mukoki gotów na nowo ulec starym przesądom.

— Sądzę, że jest w sadzawce — rzekł Rod.

Na to Wabi powtórzył słowa, z którymi przed pół godziną zwrócił się do Mukiego:

— Szukaj więc!

Po wysiłkach podejmowanych przez obu Indian, którzy umieli nurkować jak wydry, Rod nie miał zamiaru iść za radą Wabigoona. Mukoki, rozwiesiwszy wokół ognia część swojej odzieży, przymocował patelnię do długiego drąga, widocznie chcąc od razu rozpocząć poszukiwania. Rod zaczął mu pomagać i raz jeszcze uległ gorączce podniecenia na myśl o ukrytym skarbie. Gdy patelnia tkwiła już pewnie na zaimprovizowanej rękojeści, Wabi przyłączył się do obu przyjaciół i we trójkę wrócili nad sadzawkę. Zręcznym ruchem prymitywnego czerpaka Mukoki zgarnął dużą ilość piachu i żwiru, które wyrzucił na płaską skałę, a dwaj chłopcy skoczyli żywo i zaczęli przebierać w błocie palcami, ocierając je z każdej podejrzanej wyglądającej bryłki.

— Najlepiej będzie to przemyć — rzekł Rod, gdy Mukoki wyrzucał na skałę nową porcję. — Przyniosę wody.

Pomknął do obozu po pozostałe patelnie, a kiedy wrócił, zobaczył, jak Wabi kręci się wokół głazu w groteskowym tańcu, a Mukoki stoi na brzegu sadzawki, z czerpakiem opartym o skalistą krawędź, milczący i uśmiechnięty.

— Co o tym myślisz?! — zawołał młody Indianin, gdy Rod podbiegł ku niemu. — Co o tym myślisz?!

Wyciągnął rękę, a na jego dłoni błysnęła grudka rodzimego złota, dwukrotnie większa niż bryłka wydobyta poprzednio przez Mukiego.

— Sadzawka musi być pełna złota! — wybąkał Rod. Nabrał pół patelni piachu i żwiru i wbiegł z tym po kolana w nurt potoku. W radosnym uniesieniu wyrzucił część materiału wraz z wodą poprzez brzeg naczynia, ale pocieszył się myśląc, że to dopiero początek i że na przyszłość będzie ostrożniejszy. Spostrzegł wkrótce, że nie cały piasek daje się zmyć, i drżąc z radości zauważył, że drobny pył leży ciężko i nieruchomo, zmieszany z kamuszkami żwiru. Raz jeszcze nabrał czystej wody, a potem uniósł patelnię i poruszył nią łowiąc światło przenikające między ścianami parowu. Przed oczyma zamigotały mu tysiące drobnych, połyskliwych cząstek. W samym środku patelni jaśniała niewyraźnie bryłka rodzimego złota, wielka jak groch. Nareszcie więc znaleźli złoża tak bogate, że Rod drżał spoglądając na te skarby, a wrywający mu się okrzyk tłumiło nierówne bicie serca. W jednej chwili ujrzał spełnienie wszystkich nadziei i marzeń. Był bogaty! Lśniące cząstki kruszcu nosły wolność jemu i matce. Minęła gorzka walka o byt w dusznym mieście. Znikły troski, upokorzenia, zabiegi celem utrzymania choćby tego skromnego domku, w którym umarł ojciec. Gdy zwrócił się w stronę Wabigoona, twarz jego wyrażała najwyższy zachwyt. Wyszedł na brzeg i podsunął swą patelnię pod oczy przyjaciela.

— Nowa bryłka! — zawołał Wabi z przejęciem.

— Tak, ale nie to jest najważniejsze! Chodzi przede wszystkim o...

Poruszył patelnią, aż tysiące złotych kruszynek błysnęło przed oczyma czerwonoskórego chłopca.

— Chodzi o ten pył! Piach jest pełen złota!

Głos mu drżał. Twarz bardzo pobladła. Wabi, siedzący w kucki obok skały, spojrzał mu w oczy; nie zamienili więcej ani słowa.

Mukoki popatrzył na chłopców, lecz także milczał. Potem zabrał się znów do pracy z pomocą improwizowanego czerpaka, a Rod pomału domywał swą patelnię. W pół godziny później pokazał ją Wabieniu. Żwir znikł. Pozostały piasek ociążał złotymi kruszynami; na pół zagrzebana w nim, tkwiła złota bryłka. Na patelni Wabiego nie było większych grudek, ale jej dno połyskiwało nalotem żółtego pyłu.

Mukoki wyciągnął z sadzawki nową porcję piachu i żwiru, a teraz klęczał obok swej zdobyczy, wyrzuconej na płaską skałę. Gdy Rod zbliżył się, chcąc nabrać nową patelnię błota, stary wojownik nie zrobił żadnego ruchu, który by świadczył o dokonaniu ważnego odkrycia. Wśród ścian parowu zapadał wczesny zmierzch, toteż Rod, kończąc czwartą patelnię, zauważył, że jest zbyt ciemno, by łowić w piasku lśnienia żółtych drobinek. Z wyjątkiem pierwszej bryłki znalazł jedynie złoty pył. Wśród zdobyczy Wabiego widniały trzy niewielkie grudki rodzimego złota.

Gdy zaprzestali roboty, Mukoki wstał ze swego miejsca przy skale, chichocząc, wykrzywiając się i wyciągając ku obu chłopcom otwartą dłoń. Wabi pierwszy zobaczył, co ona zawiera, i jego okrzyk sprowadził Roda. Wgłębienie dłoni starego myśliwca było pełne bryłek rodzimego złota. Mukoki wysypał je na rękę Wabigoona, a młody Indianin z kolei przerzucił skarb na dłoń Roda. Rod, poczuwszy znaczny ciężar, nie mógł już pohamować wybuchu szczęścia. Skacząc i pokrzykując pobiegł do obozu i wrócił szybko, niosąc małą wagę zabraną z Wabinosh House. Bryłki rodzimego złota znalezione w ciągu popołudnia ważyły całe siedem uncji, a złoty pył, po odjęciu trzeciej części jako przypuszczalnej wagi piasku, ważył nieco więcej niż jedenaście uncji.

— Osiemnaście uncji i ćwierć!

Rod podał wynik głosem drżącym z niedowierzania.

— Osiemnaście uncji po dwadzieścia dolarów za uncję ta trzysta sześćdziesiąt dolarów — obliczył szybko.

— Mniej niż pół dnia pracy — rzekł Wabi. — To więcej niż zdobycz Johna Balla i dwu Francuzów. Wypada miesięcznie osiemnaście tysięcy dolarów!

— A do jesieni... — zaczął Rod.

Przerwał mu chichot Mukiego; twarz starego wojownika była pokryta labiryntem radosnych zmarszczek i fałd.

— A ileż zarobimy w ciągu dwudziestu tysięcy lat? — pytał. Jak się chłopcy mieli wkrótce przekonać, słowa Mukiego

nie były tylko dowcipem. W ciągu paru dni praca energicznie postępowała naprzód. Woreczek z jeleniej skóry, ukryty w cieniu cedrów, ciężał coraz bardziej. Z każdą pomyślną godziną rojenia poszukiwaczy złota zmieniały się w rzeczywistość. Piątego dnia znaleziono wśród złotego piasku piętnaście cennych bryłek, w tym jedną wielkości koniuszka dużego palca. Siódmy dzień był najbardziej pomyślny, lecz dziewiątego dnia zaszła rzecz nieprzewidziana. Mukoki miał pracować bez przerwy, by dostarczać chłopcom nowych porcji ładu. Jednak czerpak przynosił teraz za każdym zanurzeniem tylko garść lub dwie żwiru i piasku. I wszyscy trzej pojęli wreszcie prawdę.

Skarb w sadzawce był na wyczerpaniu.

To odkrycie jednak nie zmartwiło ich zbytnio. Gdzieś w pobliżu musiało się znajdować samo źródło złota i trzej łowcy nie wątpili, że uda się im je odnaleźć. Zresztą mieli już po dwa tysiące dolarów na osobę, co im się wydawało dużym majątkiem. Pracowali jeszcze trzy dni i po upływie tego czasu czerpak Mukiego nie dostarczał już z dna ani piachu, ani żwiru.

Ostatnią patelnię przemyto wczesnym rankiem, a ponieważ w ciepłym powietrzu mięso karibu zaczęło się psuć, Mukoki i Wabigoon ruszyli zaraz po obiedzie, by zdobyć świeży zapas zwierzyny. Rod zaś pozostał w obozie. Gdy dziwny półmrok jał zalegać parów, mimo że słońce jeszcze nie zaszło, Rod zaczął przygotowywać kolację. Wiedział, że obaj Indianie nie będą zwlekać z powrotem do obozu, i przekonany, że nadejdą lada chwila, zabrał się do rozrabiania ciasta, z którego miał piec zwykłą porcję placków. Był tym tak bardzo pochłonięty, że nie zauważył niejasnych zarysów postaci wypełzającej cał za całem spoza skał. Nie dostrzegł oczu lśniących między nim a kaskadą.

Zdał sobie sprawę z czyjejs obecności dopiero słysząc niski, płaczący krzyk — i zerwał się cały

drżący. O kilkanaście metrów dostrzegł twarz — białe, upiorne oblicze wyglądające z mroku — a poniżej, na pół ukrytą w gęstwie włosów i brody, skuloną postać obłąkanego myśliwca.

Rodryg Drew nie czuł lęku i w duszy dziękował za to Bogu. Stojąc wyprostowany w blasku ognia, wyciągnął ręce, jak to już czynił poprzednio wobec tej żalostnej istoty, i znów łagodnie, prosząco wymówił imię Johna Balla. W odpowiedzi zabrzmiał cichy, prawie niedosłyszalny bełkot biednego wariata. Dźwięk powtarzał się raz po raz, bez końca, uderzająco podobny w brzmieniu do dwóch słów: imienia i nazwiska. Rod drżał jak w febrze. Obłąkany, wciąż bełkocząc: John Ball, John Ball, sunął naprzód cal za cal, niemal na czworakach, aż biały chłopak dostrzegł, że jedną rękę trzyma wyciągniętą i że trzepoce się w niej ryba.

Rod dał jeden krok i również wyciągnął rękę, ale wtedy wariat stanął i skulił się, jakby w obawie ciosu.

— John. Ball, John Ball! — powtórzył Rod.

Posuwając się naprzód krok za krokiem, nie uprzytamniał sobie żadnych innych słów. Był już zaledwie w odległości dziesięciu stóp od starca. Zbliżył się jeszcze. Mógł go już dosięgnąć jednym skokiem. Wówczas stanął.

Obłąkany położył swą rybę na ziemi. Powoli zaczął się cofać, bełkocząc w gęstwie brody słowa bez związku. Raptem wyprostował się pognał w stronę sadzawki. Rod pędem ruszył za nim. Zobaczył ludzki kształt skaczący z brzegu w głąb wody, usłyszał głośny plusk i znów nastąpiła cisza.

Rod stał długą chwilę, a bryzgi kaskady zrosiły mu twarz. Tym razem na widok skoku obłąkańca w zimną toń sadzawki nie doznał już uczucia grozy. Zrozumiał, że starzec nie zamierza popełnić samobójstwa, lecz dąży do siebie tylko wiadomej kryjówki. Ale gdzie się ona znajduje? Czy Roda prześliznęły się wzdłuż skłębionej strugi wodnej, spływającej w dół skalistego urwiska. Była szeroka mniej więcej na dwanaście stóp i okrywała stok parowu niby gruby, nieprzezroczysty welon. Co znajdowało się poza nią? Czy możliwe, że w skalnym murze za wodospadem istnieje kryjówka, w której zamieszkuje John Ball?

Rod wrócił do obozu przekonany, że wreszcie znalazł rozwiązanie tajemnicy. John Ball ukrywał się poza kaskadą. Dziwaczny bełkot starca dźwięczał mu wciąż w uszach; był pewien, że rozróżnił w nim brzmienie jego własnego imienia i nazwiska. Jeśli miał kiedy wątpliwość, obecnie pozbył się jej całkowicie. Obłąkany myśliwiec był Johnem Ballem. Rod, upewniony o tym, przystanął obok ryby leżącej na piasku — pokojowego daru obłąkańca.

W świetle ognia spostrzegł, iż jest to dziwacznie wyglądający stwór, o ciemnym zabarwieniu, pokryty drobną, niemal czarną łuską. Miał wielkość dużego pstrąga, a jednak nie był pstrągiem. Ciężki łeb upodabniał go częściowo do łososia. Rod przyjrzał mu się uważnie i raptem drgnął, widząc, że jest zupełnie pozbawiony oczu.

Olśniło go przecucie wielkiej prawdy. Wiedział już, co ukrywa się poza kaskadą, kędy znikł John Ball. Oto trzymał w dłoni ślepy twór, pochodzący z innego świata, z samego wnętrza ziemi. Tam w głębi istniała wielka, tajemnicza pieczara, pełna niewidomych mieszkańców, żyjących w wiecznych ciemnościach, pieczara, w której John Ball znajdował pożywienie i legowisko.

XVII. PODZIEMNY ŚWIAT

Gdy Wabi i Mukoki wrócili w pół godziny później, placki jeszcze nie były upieczone. Ogień przygasł. Obok zarzewia siedział Rod, mając u stóp dziwną rybę. Wskazał ją przyjaciołom, nim jeszcze Mukoki zrzucił na ziemię niesione mięso. Pokrótce opowiedział, co zaszło. Uzupełnił fakty paroma własnymi domysłami. Podkreślił przede wszystkim, że poza oponą wodospadu istnieje wejście do wielkiej jaskini i że w tej jaskini znajdują nie tylko Johna Balla, lecz również źródło niezmiernych bogactw, których część wydobyto z dna sadzawki.

Zapadła noc. Mówiono mało o złocie, natomiast dużo o Johnie Ballu. Rod opowiadał kilkakrotnie o odwiedzinach obłąkańca, o jego drżącym pokornym głosie, o podarowaniu ryby i o błysku, który się pojawił w oczach wariata na dźwięk własnego imienia. Nawet surowy Mukoki wzruszył się. Wariat nie nosił już z sobą fuzji. Nie nastawiał na życie trzech wędrowców. W zamglonym umyśle rosło nowe uczucie; szukał towarzystwa ludzi, lękliwie co prawda, lecz ze wzrastającym zaufaniem. Pożądał ich bliskości, ich przyjaźni i Rod był pewien, że w mózgu Johna Balla nie zagasła ostatnia iskierka rozumu.

Gdy wreszcie trzech łowcy ułożyli się do snu pod szałasem, byli podnieceni, ale nie żądzą złota. Wiedzieli, że bieg czasu nie zaćmi blasku cennego kruszcu. Skarb jeszcze poczeka. Najbliższe dni będą poświęcone ocaleniu Johna Balla.

Zerwali się o świcie, a gdy nadszedł dzień, byli już gotowi zbadać, co się kryje za osłoną wodospadu. Wabi owinął kawałem ceraty fuzję oraz pół tuzina smolnych pochodni. Mukoki zapakował sporą ilość pieczonego mięsa. Rod, stojąc na brzegu, wskazywał wstęgę kaskady.

— Skoczył właśnie pod sam wodospad — rzekł. — Wejście do jaskini leży tuż za osłoną spadającej wody.

Wabi położył na skale kurtkę i czapkę.

— Spróbuję pierwszy — rzekł. — Zaczekajcie, aż wrócę.

Nie mówiąc nic więcej, dał nurka. Upływała minuta za minutą, a czerwonoskóry chłopak nie wracał. Rod zamarł z trwogi, ale Mukoki chichotał pełen ufności.

— Znalazł jaskinię — rzekł w odpowiedzi na badawczy wzrok Roda.

Gdy to mówił, Wabi wynurzył się z toni niby wielka ryba. Rod pomógł mu wygramolić się na skałę.

— Ależ mamy szczęście, Muki! — wykrzyknął, zaledwie odzyskawszy oddech. — Tuż za wodospadem natrafiłem na prostopadły mur skalny, który nam zastąpił drogę w czasie poszukiwania Johna Balla, wtedy gdy myśleliśmy, że utonął. Stałem równymi nogami na dnie i — tu wykonał rękoma wymowny ruch — miałem już głowę i ramiona poza obrębem wody, w jaskini wielkiej jak dom!

— Więc łatwo tam dotrzeć — stwierdził stary myśliwiec, zwrócony w stronę Roda. — Trzeba dać nurka wzdłuż skały.

— Nie ma potrzeby nurkować — przerwał Wabi. — Tuż u stóp kaskady jest najwyżej cztery stopy głębokości. Można przejść w bród.

Młody Indianin ujął karabin oraz pochodnie owinięte w ceratę i wszedł w nurt potoku tuż u podstawy skalnego muru, po czym zagłębił się wraz z głową w spienionym wirze kaskady. Mukoki dążył śladem przyjaciela, a za nimi postępował Rod, wciągnawszy przedtem duży haust powietrza. Przez chwilę czuł na całym ciele gniotący ciężar; potężny grzmot prawie go ogłuszył, a niewidzialna siła ciągnęła w dół. Gdy jednak znalazł się bezpiecznie po drugiej stronie potoku, powietrze wciąż

jeszcze napelniało mu płuca i po tym poznał, że trudne przejście zajęło ledwie parę sekund. Przez chwilę nie mógł nic dojrzeć. Potem rozróżnił obok ciemną postać, wynurzającą się z wody. Przed sobą miał chaos nocnego mroku i wiedział już, że spogląda w głąb wielkiej pieczary.

Wpił palce w skalistą krawędź i wydobył się na brzeg, tak jak to zrobili przed nim obaj Indianie. Stał na kobiercu z miękkiego piasku. Raptem wyczuł na ramieniu uścisk czyjejś ręki. Jego uszu dosięgnął słaby okrzyk, ledwo dosłyszalny wśród grzmotu katarakty.

— Spójrz!

Przetarł zamglone wodą oczy i patrzył przed siebie. Na razie nie mógł nic dojrzeć. Potem słabo, niby odległa gwiazda, zamajaczył błysk światła. Z wolna światło nabrało wyrazistości i Rod ku swemu wielkiemu zdumieniu zauważył, że unosi się ku górze jak ogromny błędny ogień. Po chwili lśnienie stopniowo opadło i wreszcie znikło.

Obaj chłopcy zobaczyli, że Mukoki, czając się, sunie w głąb pieczary, i bez słowa poszli za nim. W miarę jak oddalali się od kaskady, łomot spadającej wody coraz słabiej brzmiał im w uszach. Otoczył ich mrok gęstszy niż ciemność najgłębszej nocy, więc ujęli się wzajem za ręce. Rod dobrze wiedział, dlaczego jego towarzysze nie zapalają pochodni. Kędyś przed nimi płonęło inne światło, niesione przez obłąkanego myśliwca. Krew Roda pulsowała gorączkowo. Dokąd prowadzi ich John Ball?

Raptem zdał sobie sprawę, że nie stąpają już po gładkiej piaszczystej równi, ale wznoszą się w górę, jak to przed chwilą czynił człowiek z pochodnią. Mukoki zatrzymał się; dobrą chwilę stali wszyscy trzej nasłuchując. Daleki grzmot wodospadu brzmiał im w uszach jak stłumiony szept. Poza tym dźwiękiem w niesamowitym podziemnym świecie panowała zupełna cisza. Mieli właśnie ruszyć dalej, gdy coś osadziło ich na miejscu; było to odległe, łkające echo. Serce w piersi Roda niemal przestało bić. Głos umilkł z wolna i nastąpiła głucha cisza. Potem zabrzmiał niski, jękliwy płacz, pełen ludzkiej rozpacz, a jednak tak dziki, że nawet Wabi zadrżał, próżno usiłując przebić wzrokiem nieprzeniknioną ciemność. Echa powtarzały jeszcze rozdzierający lament, a już Mukoki ruszył przodem, wiodąc za sobą obu chłopców.

Krok za krokiem brnęli ścieżką wskazaną im przez błędny ogień pochodni szalonego myśliwca. Rod wiedział, że wstępuje na piaszczysty pagórek i że po drugiej jego stronie znów dojrzą światło, ale nie oczekiwał, że nastąpi to tak: prędko. Wszyscy trzej stanęli nagle, jakby powstrzymani niewidzialną zaporą, i szeroko otworzyli oczy na niespodziewany widok. Za ledwie o sto kroków, wbita w piasek, płonęła wielka smolna pochodnia, wysoka prawie na metr, a w jej purpurowym świetle, błagalnie wyciągając ramiona, klęczał John Ball. Tuż obok lśniła tafla wody, czarna jak atrament, i przed nią właśnie John Ball wywodził swoje żale. Jego głos dobiegał teraz ku trzem wędrowcom, tak jednak stłumiony, że nawet w zupełnej ciszy jaskini ledwo go można było pochwycić. Rod doznał wrażenia, że biedny obłąkany płacze jak zrozpaczone dziecko. Pochylił się i szepnął parę słów na ucho Wabigoona. Potem krok za krokiem tak cicho, że jego stopy obute w mokasy nie czyniły najlżejszego szelestu postąpił w stronę wariata.

Wpół drogi stanął.

— Halo, Johnie Ball! — zawołał łagodnie.

Blade światło pochodni wydzieliło z mroku jego postać. Dał znów krok naprzód. Szept obłąkańca ustał, ale John Ball nie poruszył się. Klęczał nadal, wyciągając ręce w stronę ciemnego chaosu. Rod podszedł tuż i dopiero wtedy spytał:

— Czy to ty, Johnie Ball?

Klęcząca postać obróciła się z wolna, a wówczas Rod znów ujrzał w tych dzikich oczach nieśmiały, drgający błysk rozumu. Biały chłopak wyciągnął ręce i zbliżył się jeszcze, wciąż

wymawiając imię szaleńca. Ten nie ruszał się, nie cofał, lecz kucnął w piasku i wciąż szeptał jakieś niepojęte wyrazy. Rod był już oddalony zaledwie o dwa metry, gdy obłąkaniec skoczył na równe nogi zręcznie jak kot i z głośnym szlochem rzucił się w czarną toń. Woda sięgnęła mu wnet po pierś. Błagalnie wyciągając ręce w tajemniczą głąb jaskini, zwrócił twarz w stronę Roda. Biały chłopak odgadł, że stara się coś mu wyjaśnić.

— Co się stało, Johnie Ball?

Stanął nad brzegiem czarnej wody, a potem wszedł w głębinę, aż chłodny płyn sięgnął mu po kolana. Wyteżył wzrok w kierunku, który wskazywały wyciągnięte dłonie starca.

— Co się stało?

Również wykonał ręką wskazujący ruch, a wariat, podniecony, kiwnął głową. Potem przyłożył dłonie do warg na kształt tuby, jak to nieraz robili Wabi i Mukoki wabiąc łosie, i wydał donośny okrzyk. Serce Roda drgnęło, gdyż najwyraźniej rozróżnił kobiece imię.

— Dolores! Dolores!

Krzyk zamarł w dali, przedrzeźniany echem, ale biały chłopak powtórzył wnet dosłyszany wyraz:

— Dolores! Dolores! Dolores!

Plusnęła woda. John Ball klęczał już u nóg Rodryga, obejmując mu kolana, i z łkaniem powtarzał imię Dolores. Rod utulił oburącz ramiona starca, a siwa, kudłata głowa lgnęła do niego. Łkający głos ścichł; ciało biednego samotnika stało się ciężkie i sztywne, więc Rod krzyknął głośno, przywołując towarzyszy. Obaj Indianie przybiegli wnet z pomocą. Wspólnymi siłami przeniesiono zemdlonego starca w obręb świetlnego kręgu pochodni. Oczy biedaka były zamknięte, palce, podobne do szponów, zacisnęły się mocno na wynędzniałej piersi i dopiero gdy Mukoki położył dłoń na jego sercu, można było stwierdzić, że starzec jeszcze oddycha.

— Teraz trzeba go przenieść do obozu — rzekł Wabi. — Rod, idź naprzód i oświetlaj drogę.

John Ball był bardzo lekki, toteż dwaj Indianie nieśli go bez trudu. U wyjścia z jaskini owinięto mu głowę ceratą i trzech myśliwi, obarczeni bezwładnym ciałem starca, wkroczyli w odmet kaskady. Dopiero w godzinę później nędzarz powtórnie otworzył oczy. Rod klęczał tuż obok, a obłąkany samotnik dobrą chwilę nie spuszczał oczu z twarzy chłopca; potem znów przymknął powieki i zapadł raz jeszcze w ów stan nieświadomości, który go już nawiedził w jaskini. Rod wstał bardzo blady. Spojrzał na Mukiego i Wabigoona.

— Boję się, że on umiera — rzekł.

Indianie nic nie odpowiedzieli. Jakiś czas wszyscy trzej siedzieli w milczeniu wokół Johna Balla, wyglądając oznak jego powrotu do- przytomności. Wreszcie Mukoki wstał, by zdjąć znad ognia garnek zupy. Ten ruch jakby obudził starca z uśpienia, więc Rod pochylił się nad nim i przytknął mu do warg czarkę wody. Potem karmił go ciepłą strawą.

W ciągu całego dnia obłąkany starzec jedynie chwilami odzyskiwał przytomność, po każdym przebudzeniu wpadając na nowo w dziwny sen. W czasie nieświadomości Wabi uciął mu krótko brodę i włosy i po raz pierwszy ujrzeli dokładnie wychudłe oblicze tego, który przed pół wiekiem nakreślił na skrawku brzozy kory drogę wiodącą do złotego skarbu. Noc nie przyniosła większych zmian; jedynie od czasu do czasu John Ball wymawiał jakieś dziwne słowa, a za każdym razem Rod łowił wśród nich imię usłyszane w jaskini. Następnego dnia minął bez widocznej poprawy lub pogorszenia. Trzecia doba również nie dała zasadniczej zmiany. Nawet Mukoki, spróbowałszy wszystkich leków, jakie mu podsuwała znajomość sił przyrody, opuścił ręce, zniechęcony. John Ball na pozór nie miał gorączki. Jednak trzy czwarte czasu leżał jak martwy. Przez jego zaciśnięte wargi udawało się jedynie wlać trochę zupy.

Nazajutrz po pierwszej wyprawie Wabi odbył nową wycieczkę w głąb podziemnego świata. Gdy

wrócił, przyniósł rozwiązanie zagadki męczącej ich tak dawno. Złoto pochodziło z pieczary. Delikatny piasek, po którym szli w głąb jaskini, zawierał moc złotych bryłek i złotego pyłu. W czasie wiosennych roztopów wezbrane wody przepływając przez jaskinię porywały z sobą cenny muł a gromadziły go w sadzawce u stóp kaskady. Wrzenie nurtu wyrzucało nieraz piasek do łóżyska potoku, lecz cięższe cząstki, a przede wszystkim grudki rodzimego złota pozostawały na dnie pułapki.

Jednak radość wywołana tym odkryciem przygasła, tłumiona troską o Johna Balla. Złoto było dla Roda urzeczywistnieniem jego ambicji i marzeń; wiedział, że jest ono potrzebne jego matce i wszystkim bliskim sercu Mukiego i Wabigoona. Ale złoto mogło zaczekać. Zgromadzili już przecie sporo bogactwa i po resztę mogli przybyć później. Teraz należało uczynić cokolwiek dla Johna Balla, człowieka, któremu zawdzięczali cały swój majątek i do którego właśnie należał złoty skarb. Na trzeci dzień Rod wyłuszczył swoje plany obu Indianom.

— Musimy jak najprędzej zabrać Johna Balla do faktorii — rzekł. — To jedyna możliwość uratowania mu życia. Jeśli ruszymy teraz, gdy strumień jest jeszcze o tyle głęboki, że poniesie naszą łódź, zdołamy dotrzeć do Wabinosh House w ciągu dziesięciu lub piętnastu dni.

— Niepodobna gnąć czółna przeciw prądowi siłą wiosł — powiedział Wabi.

— Masz rację, możemy jednak ułożyć Johna Balla w łódce i ciągnąć go idąc brzegiem. Droga będzie długa i ciężka, ale...

Spojrzał badawczo w oczy przyjaciela, a potem dodał:

— Czy chcemy, żeby John Ball żył, czy też wolimy, by umarł?

— Gdyby to mogło zachować mu życie, zrobiłbym tysiąc mil dla uratowania go — rzucił spiesznie młody Indianin. — Chodzi zresztą tylko o pewien wkład pracy. Wiemy, gdzie się znajduje reszta skarbu, i możemy tu wrócić za parę tygodni.

Tegoż popołudnia John Ball zbudził się z niezwykle długiego snu. Oczy mu lśniły nowym, nie znanym dotąd blaskiem, a gdy Rod pochylił się nad nim, wyszeptał cicho, lecz wyraźnie:

— Dolores! Dolores! Gdzie jest Dolores?

— Kto to jest Dolores, Johnie Ball? — wyszeptał biały chłopak.

Ball uniósł wychudłą dłoń, chwycił się za pierś i jęknął boleśnie. Po chwili powtórzył jakby sam do siebie:

— Dolores! Kto to jest Dolores?

Indianie zbliżyli się i nasłuchiwali w milczeniu. Ale John Ball nie wymówił nic więcej. Przełknął parę łyżek zupy i znów zapadł w śmiertelny trans.

— Kto to jest Dolores? — pytał Wabi poblądły, patrząc na Roda. — Czyżby w jaskini znajdował się jeszcze ktoś?

— Mówi zapewne o kimś, kogo znał przed pół wiekiem — odparł Rod. Ale sam był równie wzruszony jak jego czerwonoskóry przyjaciel. — Dolores! To imię kobiety lub dziewczyny. Musimy uratować Johna Balla. Musimy zaraz ruszać w drogę.

— Gdy jest nieprzytomny, można by go owiązać sznurem i wciągnąć do górnego parowu — szybko dodał Wabi. — Muki, bierz się do pracy! W tej chwili ruszamy!

Do zmroku brakowało dwóch godzin, lecz teraz, gdy postanowiono rozpocząć wkrótce drogę powrotną, nie marnowano ani chwili. Wabi wspiał się po wiszącej linie do górnego parowu po czym wciągnął za sobą tę część zapasów i narzędzi, którą uznano za konieczne zabrać. Mukoki ukrył resztę w starej chacie. Wreszcie wciągnięto na górę Johna Balla. Potem w ciągu godziny, nim szare cienie nocy zaległy wokoło, wszyscy trzej, dążąc w górę płytkiego strumienia, holowali za sobą łódź wraz z jej bezwładnym pasażerem. Tej nocy obłąkany starzec nie był ani na chwilę pozbawiony, opieki. Do jedenastej siedział przy nim Mukoki. Potem nadeszła kolej na Wabigoona. Nieco po północy Rod

zbudził się nagle, czując, że ktoś gwałtownie szarpie go za ramię.

— Na miłość boską wstawaj! — szeptał młody Indianin — On mówi, Rod! Mówi o Dolores i o jakimś potworze, większym niż którekolwiek ze znanych stworzeń. Słuchaj!

Obląkany zawodził z cicha:

— Zabiłem go, Dolores! Zabiłem! Zabiłem! Gdzie jesteś, Dolores?

Tu westchnął i zamilkł.

— Zabił kogo? — pytał Rod, a serce tłukło mu się w piersi. — Potwora — szepnął Wabi. — Rod, coś strasznego stało się w tej jaskini. Nie znamy jeszcze całej tragedii. Francuzi, którzy się wzajem pomordowali w chacie, grali tu jedynie podrzędną rolę. Główne osoby dramatu to John Ball i Dolores. Nasłuchiwali obaj dłużej chwilę, ale starzec leżał wciąż bez słowa i bez ruchu.

— Idź lepiej spać — rzekł wreszcie Wabi. — Myślałem, że powie coś więcej i że będziesz ciekaw to usłyszeć. Zbudzę cię o drugiej.

Ale Rod nie mógł zasnąć. Leżał długi czas z otwartymi oczyma, myśląc o Johnie Ballu i o jego dziwnym majaczeniu. Kim była Dolores? Co za niesamowity dramat rozegrał się w podziemnym świecie? Pomimo silnych nerwów odczuwał pewien niepokój, ilekroć przypominał sobie łkający głos wariata i wymawianie przezeń kobiece imię. Nie zwierzył się zresztą Wabiemu ze swego zdenerwowania ani teraz, ani następnego dnia. Szło w tej chwili przede wszystkim o wygranie czasu, o zdystansowanie śmierci.

Zdawało się bowiem, że John Ball lada chwila skona. Czwartego dnia podórzy na jego wynędzniałych policzkach zakwitł gorączkowy rumieniec, a nazajutrz biedny starzec miotał się w ataku maligny. Podróżowano teraz dniem i nocą, z rzadka odpoczywając po parę godzin. John Ball bredził nieustannie o Dolores, o wielkich potworach i o niezgłębionych tajnikach jaskini. W jego słowach nieznane zwierzęta przybierały czasem kształty półludzkie, miały oczy lśniące spoza gęstwy futer i ręce, którymi miotały oszczepy. Po upływie dalszych czterech dni myśliwi, śmiertelnie znużeni, dotarli nad brzeg jeziora Nipigon. Po drugiej stronie wody w odległości trzydziestu mil stała faktoria. Postanowiono, że Rod wraz z Mukim wyruszą co prędzej z prośbą o pomoc, gdy tymczasem Wabi dopilnuje chorego. Ci dwaj, mając jechać natychmiast po wieczornym posiłku, owinęli się w koce i po trzech godzinach snu zostali zbudzeni przez Wabigoona. Wiosłowali całą noc, czasem tylko odpoczywając krótką chwilę. Słońce wychodziło właśnie ponad lasy, gdy przybili do brzegu w pobliżu faktorii. Kiedy Rod skoczył na ląd, zobaczył postać kobiecą, wychodzącą z lasu zaledwie o paręset metrów. Poznał Minnetaki. Nieznacznie spojrzął na Mukiego. Indianin, obdarzony sokolim wzrokiem, również dostrzegł i poznał dziewczynę.

— Muki, pójde brzegiem lasu i zrobię jej niespodziankę — rzekł Rod śmiało. — Poczekasz tu na nas?

Mukoki zachichotał na znak zgody, a wtedy biały chłopak skoczył w stronę lasu. Był niemal bez tchu, gdy stanął o sta jardów za dziewczyną, ukryty za osłoną drzew. Zagwizdał z cicha. Był to szczególnie modulowany dźwięk, którego nauczyła go kiedyś Minnetaki. Rod wiedział, że ten sygnał znają tylko oni oboje. Dziewczyna odwróciła się słysząc gwizd, a Rod cofnął się w głąb lasu. Gwizdnął ponownie i Minnetaki po chwili wahania podeszła bliżej. Za trzecim razem wreszcie odpowiedziała nieśmiało, jak gdyby poznając dźwięk idący z leśnej głębi.

Rod gwizdnął po raz czwarty i roześmiał się. Minnetaki powtórzyła sygnał, rozglądając się bacznie pośród kolumnady pni. Chłopak dostrzegł błysk zdumienia w jej oczach i nagle, głośno wołając jej imię, wyskoczył spomiędzy drzew. Minnetaki krzyknęła radośnie i wyciągając ręce, pobięła mu na spotkanie.

XVIII. DZIEJE JOHNA BALLA

Tegoż ranka dwa wielkie czółna ruszyły przez jezioro Nipigon, by przywieźć do Wabinosh House Wabiego oraz Johna Balla. Minnetaki jechała na spotkanie brata, lecz Rod pozostał w faktorii i cały dzień bez przerwy zaspokajał ciekawość jej mieszkańców. Trudno było o bardziej fascynującą opowieść niż dzieje wyprawy trzech łowców złota, choć Rod opowiadał w sposób możliwie najprostszy. Już sam wygląd białego chłopca świadczył o przebytych trudach. Twarz miał nadmiernie wychudzoną skutkiem braku snu i ciągłej pracy, a ręce pokryte dziesiątkiem skaleczeń i blizn. Położył się dopiero późno w nocy, a zbudził z ciężkiego snu nazajutrz w południe.

Czółna już wróciły i John Ball znajdował się pod opieką lekarza. Przy obiedzie Rod i Wabi musieli ponownie opowiadać przygody i nawet Mukoki, siedzący przy wspólnym stole, był zasypywany lawiną pytań. Podczas tej gawędy Rod parokrotnie uczuł na swej ręce dłoń Minnetaki, gdy zaś agent jął mówić o bliskim powrocie do tajemniczej jaskini, dziewczyna uszczypnęła Roda tak mocno, że ten aż drgnął. Dopiero po skończonym posiłku, gdy zostali we dwoje, biały chłopak zrozumiał, o co chodzi.

— Wstydzę się za ciebie, Rod! — rzekła Minnetaki, stając przed nim z drwiącą minką. — Obaj z Wabim zachowaliście się przy obiedzie bardzo głupio! Czy zapomnieliście o swej obietnicy? Czy zapomnieliście, że mam iść z wami na następną wyprawę? Chciałam, żebyś zaraz przy obiedzie to poruszył.

— Ależ kiedy ja... ja... nie mogłem — wybąkał Rod zmieszany.

— Wszystko jedno, jadę z wami! — oznajmiła Minnetaki stanowczo. — Jadę z wami, chłopcy, choćbym miała uciec z domu. To nieładnie, że zostawiacie mnie zawsze samą. Zresztą, kiedy was nie było, przygotowałam już wszystko. Namówiłam twoją mamę i swoją, a Mballa, nasza stara Indianka, pojedzie ze mną. Jest tylko jedna osoba, która wciąż mówi: nie! — i Minnetaki załamała dłonie.

— Ojciec — uzupełnił Rod śmiejąc się.

— Tak.

— Cóż, jeśli jest sam jeden przeciwko nam wszystkim, mamy szansę.

— Namówię mamę i Wabiego, by go przypilnowali dziś wieczór — rzekła dziewczyna. — Już się nie oprze! Mama obiecała, że zamknie drzwi i nie wypuści go, aż się zgodzi. Ach, jak to będzie wspaniale!

— Może ojciec też z nami pojedzie? — zagadnął Rod.

— Nie. Nie może opuścić faktorii. Gdyby pojechał, Wabi musiałby zostać. Rod liczył na palcach.

— Będzie nas zatem sześcioro. Wabi, Mukoki, ty, John Ball, Mballa i ja. To cała wyprawa!

Oczy dziewczyny lśniły radością.

— Czy wiesz — rzekła — że Mballa uważa Mukiego za najmilszego Indianina pod słońcem. Ach, byłabym tak rada, gdyby...

Wydeła pąsowe wargi i czekała, aż Rod odgadnie jej myśli. Udało mu się to z łatwością.

— Ja też byłbym rad! — wykrzyknął. Potem dodał: — Muki to najzaciejszy w świecie chłop!

— A Mballa najzaciejsza niewiasta.

Chłopak wyciągnął dłoń.

— Podajmy sobie ręce, Minnetaki. Ja zaopiekuję się Mukim, a ty Mballa. Cóż to będzie za wspaniała wyprawa!

— Ale przygód też nie zabraknie? — pytała Minnetaki z niepokojem.

— Przygód będzie mnóstwo — zapewnił Rod poważniejąc nagle. — To będzie najciekawsza ze

wszystkich naszych wypraw, szczególnie jeśli John Ball wyzdrowieje. Nie mówiłem tego innym, ale doprawdy sędzę, że ta wielka pieczara zawiera coś jeszcze prócz złota.

Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny. W jej oczach było silne napięcie.

— Myślisz, że Dolores?

— Sam nie wiem, co myśleć. Ale znajdziemy tam coś z pewnością.

Rozmawiali jeszcze godzinę o Johnie Ballu i jego dziwnych majaczeniach. Potem Minnetaki pobiegła do matki i do pani Drew, a Rod odnalazł Wabigoona i Mukiego. Tej nocy ukończono wreszcie pertraktacje. Jerzy Newsome, choć niechętnie, pozwolił córce towarzyszyć trzem myśliwcom w ich następnej wyprawie.

John Ball cały tydzień znajdował się pomiędzy życiem a śmiercią. Później jednak nastąpiło przesilenie. Wynędzniałe ciało starca nabierało z każdym dniem nowych sił, a oczy nowego blasku. Z końcem drugiego tygodnia widać już było wyraźnie, że biedny samotnik powraca do zdrowia. Z wolna jął rozpoznawać odwiedzające go osoby, a gdy Rod siadał przy jego łóżku, starał się zawsze trzymać dłoń chłopca. Początkowo widok pani Drew, Minnetaki lub jej matki silnie go poruszał. W ich obecności powtarzał bez przerwy to imię kobiecie, które Rod po raz pierwszy słyszał w jaskini. Z czasem jednak odzyskał zdolność myślenia i mowę, a ci, którzy uważnie wsłuchiwali się w jego słowa, poznali wreszcie dzieje Johna Balla. Zresztą i teraz w opowiadaniu starca były luki. Lekarz twierdził, że z czasem chory zupełnie odzyska pamięć i zdoła odtworzyć każdy szczegół minionych lat, teraz jednak wspominał on tylko najważniejsze zdarzenia swego życia.

John Ball nie mógł określić, w którym roku mianowicie jako młody chłopak opuścił faktorię York położoną nad Zatoką Hudsona, by w towarzystwie dwu Francuzów odbyć daleką podróż ku cywilizacji. Skrawek papieru znaleziony przez Roda pozwolił ustalić przypuszczalną datę; John Ball był synem agenta z faktorii York i miał spędzić rok w szkołach w Montrealu. W drodze on właśnie znalazł złoto w głębi parowu. Nie przypominał już sobie zresztą żadnych szczegółów. Wiedział tylko, że zostali na miejscu, by wydobywać skarby, i że on, jako odkrywca i jako syn jednego z bogaczy Północy miał otrzymać podwójną część. Jesienią postanowił wracać do faktorii York zamiast wędrować aż do Montrealu. Przypominał sobie niejasno jakąś sprzeczkę na temat złota, jakiś wspólnie skreślony plan, a potem pewnego ranka pochylone nad sobą twarze obu Francuzów, ból i mroczny chaos.

Gdy ponownie zbudził się do życia, nie był już w parowie; otaczał go dziwny, mały lud, sięgający mu zaledwie ramion, odziany w futra i zbrojny w dzidy oraz harpuny; Choć starzec nie podał nazwy plemienia karłów, ci, co słuchali jego dziejów, wiedzieli, że John Ball trafił między Eskimosów. Obchodzili się z nim łagodnie i żył wśród nich długi czas, polując i łowiąc ryby, a śpiąc w chatkach zbudowanych ze śniegu i lodu.

Potem trafił znów między Małych. Wrócił jakoś do faktorii York, lecz zapewne po wielu latach, gdyż jego rodzice już nie żyli, a stanowisko agenta zajmował obcy człowiek. Prawdopodobnie John Ball odzyskał w owym czasie pełnię władz umysłowych. Przypominał sobie, choć niejasno, parę nieudanych wypraw celem wydobycia złota, potem podróż do wielkiego miasta, zapewne Montrealu, pobyt w nim, wreszcie ślub z młodą dziewczyną. Mówiąc o niej, John Ball gorączkowo, błyskał oczyma i z łkaniem powtarzał drogie imię: W chorobie stracił poczucie minionych lat. Zdawało mu się, że się ocknął z długiego snu i że zaledwie parę godzin temu piękna Dolores była tuż obok.

I znowu pewien okres życia ginał w mroku niepamięci. Po jakimś czasie, nie wiedział jak długim; John Ball wrócił wraz z żoną na daleką Północ i kiedyś latem ruszyli we dwoje na poszukiwanie zaginionego parowu. Znaleźli go. Nie wiedział kiedy i jak. Dalsze dzieje w opowieściach Johna Balla roily się od strasznych wizji. Zwiedzali podziemny świat, pozbawiony słońca, księżycy i

gwiazd; znaleźli złoto, które dobywali przy świetle pochodni. A pewnego dnia kobieta oddaliła się nieco i nigdy już nie wróciła.

Wtedy właśnie opanowało go dawne szaleństwo. Poszukując zaginionej żony, John Ball nigdy nie zdołał dotrzeć do krańca pieczary. Widywał dziwaczne stwory ludzkie, walczył z niezwykle zwierzętami, które były większe niż łosie; oglądał grzmiące wodospady i bystre potoki, omywające wnętrze ziemi. Nawet po powrocie do zdrowia John Ball utrzymywał, iż wszystko to jest prawdą.

Jerzy Newsome niezwłocznie napisał do Montrealu, pytając o Johna Balla, i po upływie miesiąca otrzymał odpowiedź, że człowiek tego imienia i nazwiska pracował w latach 1877 i 1878 jako rzeczoznawca niewyprawnych skór. Prawdopodobnie wkrótce potem wyruszył na poszukiwanie skarbu, a w wyniku tego spędził przeszło ćwierć wieku na samotnym bytowaniu wśród dzikich pustkowi.

Właśnie w tym czasie, gdy chory powoli, ale pewnie wracał do zdrowia, matka Roda przedstawiła plan, który wywołał wielkie podniecenie wśród mieszkańców faktorii. Chodziło o to, by agent wraz z rodziną zechciał towarzyszyć jej i Rodrygowi w parotygodniowym wyjeździe do Detroit. Ku powszechnemu zdumieniu Jerzy Newsome przystał na to bez trudu, zastrzegając tylko, że wczesną jesienią pani Drew wraz z synem powrócą znów do faktorii. Jeden z agentów z głównej siedziby kompanii przybył właśnie do Wabinosh House na połów ryb i zgodził się chętnie w ciągu miesiąca strzec interesów faktorii.

Radość Wabiego i Roda nie miała granic, gdy i Mukoki zgodził się wziąć udział w wyprawie. Z początku co prawda stary wojownik trzymał się twardo, odpierając ataki chłopców, lecz gdy Minnetaki zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła aksamitny policzek do jego pomarszczonej twarzy — poddał się bez zastrzeżeń. Tak więc pewnego ranka trzy wielkie czółna odbiły od brzegu i pomknęły po wodnej toni. Spośród siedmiu jadących jeden tylko Mukoki, spoglądając na ginący w dali bór, czuł pewien niepokój. Mukoki bowiem miał zobaczyć nowy świat, zupełnie inny niż kraj jego ojców, więc wierne serce, ukryte pod bluzą z jeleniej skóry, biło niespokojnie na myśl o tak zuchwałej wyprawie.

Oto jaki był początek podróży.

Przygotowano na podstawie bookini.pl